ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA,

1897.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

str.

Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 5 maja 1897 r.

PANI.

(Fantazya liryczna).



1.

Pamiętam jeden widok: łąka... po niéj krocie
Klejnotów rozsypane, szmaragdy zieleni,
Ametysty-głowienki i perły-stokrocie
W płowych jaskrów oprawie i kaczeńców złocie
Snopami różnobarwnych iskrzą się promieni.

Środkiem łąki, wśród wiklin, lśniąca się przewija
Modroszaréj Bystrzycy jedwabista wstęga,
Rzekłbyś o ślizkim grzbiecie srebrnołuska żmija...
Czasem gałąź się schyla i krople wód spija,
To znów jak łuk wygięta na drugi brzég sięga.

A fala, cicho szemrząc, wartko daléj płynie,
I długo jeszcze świeci srebrem, aż, hen w szańce
Ciemnych lasów wpadając, w owych gąszczach ginie,
Co, kładąc wieniec świerków na czoło nizinie,
Dokoła widnokręgu opasały krańce.

I był tam jeszcze, pomnę, zielonawo-szarą
Pleśnią wieków porosły zameczek warowny,
Co, zwykłą dawnych murów przemawiając gwarą,
Baśń nie baśń, może prawdę, opowiadał starą...
Pamiętam... dzisiaj nieraz myśl ma, ptak wędrowny,

Lekkiém skrzydłem ten obraz tak drogi potrąca,
I znów w poświacie wspomnień dziecięcych skąpana
Błądzi po łące dawném rozrzewnieniem drżąca,
Śnią mi się kwiaty, zamek i rzeka szemrząca,
I w aureoli ciebie widzę, ukochana.

2.

Czyli ten obraz niezapomniany
W serce dzieciny rzucił zarzewiem,
Czy urok złote zadały łany,
Czy lasy twoje, czy sady?... nie wiem.

Idę ci łanem... żyto się kłania,
Szumią wesoło chabry i maki,
Przepiórka „pójdźcie żąć” gdzieś podzwania...
Sambyś zaśpiewał jako te ptaki.

Idę ci lasem... górą szemranie,
Coś ci tam gada jodła sośninie,
To cisza jakaś nagła nastanie,
To chórem szeptów pieśń znowu płynie.

Zaszyj się w gąszcze... tam coraz ciszéj,
Drzewa się zrosły, ciemne paprocie
U pni się cisną, w zielonéj niszy
W pobożnéj jakiéjś zadrżysz tęsknocie.

Idę ci sadem... a sad nasz stary,
Kiedy się rankiem z drzémki swéj budzi,
Kiedy zeń nocne zejdą opary,
Piękny—żeś wrócić nie rad do ludzi.

Wiosną — jak w śniegu od kwiatów bieli,
Latem — zielony z płota do płota,
A gdy go jesień płodem obdzieli,
To ćmią się oczy z purpury złota.

U stóp drzew w trawie... kto ją tam kosi...
Takie ci trawy, takie ci zioła!
Tu tojad hełmik liliowy wznosi,
To raść białego uchyla czoła,

Fierletka płatki stula... nicpotém,
W nocy wdzięczyła się do księżyca...
Kiwając głową, szepce coś o tém
Skromnéj jasnocie siostra-bukwica.

Zuchwałą dawno nietknięta kosą
Pod moją stopą więź wilczomleczy
Z poranną łzy swe mieszając rosą,
Płacze kroplami mleczystéj cieczy.

Dobrze tu, cicho... idę ci drogą...
A wszędzie: w lesie, w sadzie, na łanie,
I rzewnie czegoś, i czegoś błogo,
Wszystko się w jedno zlewa kochanie...

3.

Już w melancholii zżętych ról
Stanęła moja Pani,
A wicher tęsknéj dumki ból
Jéj niesie w dani.
Uczył go dumki pewnie bór,
Gdy zeń spadały liście,
Albo w korali strojne sznur
Jarzębin kiście,
Uczyła mgła, co rankiem drży,
I len na ugorze,
I uczył deszcz .. słychać w niéj łzy,
Ach łzy... i smutku morze.

4.

W białą się świtkę
I w mgieł namitkę
Pani moja przybrała,
Z lodu wisiorków,
Z szronu bisiorków
Iskrami sypie cała;
Idzie mróz młody,
Prosi na gody,
Grzecznie się bardzo kłania;
Wiatr gra dmąc w lica,
Lecz mołodyca
Jeszcze się trochę wzbrania;
Białe śnieżyny,
Lekkie dziewczyny,
Wir raźnie w tańcu kręci,
Mróz tańczyć zmusza,
Hej! hulaj dusza!
Już tańczą bez pamięci...

5.

O Pani!... piękna moja!... w każdéj tyś wdzięczna szacie,
Nawet cię zima zdobi i smętny strój jesieni,
Nienasyconém okiem patrzę i patrzę na cię,
A nic miłości mojéj ku tobie nie odmieni.

I choć łzą krwawą duszy wzgardzona miłość płacze,
Wciąż falą wzbiéra w łonie uczucie mi zdeptane,
I póki tylko serce zdoła bić tułacze,
O luba, póki życia — kochać cię nie przestanę.

6.

A kiedy z łąk twych, lasów i pól
Pan moją duszę biédną
Weźmie do siebie,
Za cały ziemskiéj wędrówki ból
Tę łaskę jedną
Wyprosić chcę sobie w niebie:

Niech, gdy zrzuciwszy ziemski ból
Zasiądę u stóp Pana
W anielskiéj szacie,
Bóg da mi widok twych łąk i pól,
O ukochana,
Bym wiecznie mógł patrzéć na cię.

F. Arnsztajnowa.



STRONNICTWA POLITYCZNE

w STANACH ZJEDNOCZONYCH

I WYBÓR PREZYDENTA.



Nie wiele dni już oddziela nas od téj chwili [1]), gdy rozstrzygnie się wielkie zagadnienie, zajmujące teraz wszystkie umysły w tém państwie: na czyją korzyść przechyli się szalka zwycięstwa w obecnych wyborach prezydyalnych, wątpliwość może być naturalnie tylko co do republikańskiego lub demokratycznego kandydatów, a nie wiem, czy kiedy roznamiętnienie przedwyborcze dosięgało tego stopnia, jak w kampanii obecnéj, pochłaniającéj od kilku miesięcy niezliczone usiłowania masy jednostek i ogromne sumy pieniężne. Przynajmniéj co

[1]) Artykuł ten rozpoczęty przed wyborami i zamierzony na mniejszą skalę, rozciągnął się i co do czasu i co do objętości, wskutek konieczności przestudyowania dosyć obfitéj literatury historycznéj, dotyczącéj przeszłości stronnictw amerykańskich, dla wysnucia z licznych, często bardzo tendencyjnych dzieł i broszur, poglądu możliwie bezstronnego na tę przeszłość, bez znajomości któréj niezrozumiałe byłyby stosunki obecne. Takie opóźnienie pracy pozwoliło mi wciągnąć w jéj zakres i samą walkę wyborczą, oraz jéj wyniki. Mimo to nie chciałem odrzucić pierwszych kilku kartek, chociaż już nie na czasie będących, gdyż odzwierciadlają one usposobienie chwili poprzedzającéj wybory. Nic mi więc nie pozostaje, tylko prosić czytelnika o przyjęcie czasu teraźniejszego na tych kartkach jako *praesens historicum*.

do tych ostatnich — każdy widząc, jak prowadzi się walka wyborcza, zwłaszcza ze strony republikanów, a znający stosunki i interesa, na których opiéra się ta partya, nie koniecznie uważałby za bajkę krążącą tu pogłoskę, że bankierzy angielscy ofiarowali temu stronnictwu 200,000,000 dolarów na agitacyę.

Samo utrzymanie niezliczonych t. zw. „głównych kwater" stronnictwa, t. j. sal przeznaczonych na zebrania („meetingi“), rozdawnictwo broszur, oraz dla innych celów agitacyjnych, a których są setki i tysiące w każdém większém mieście, olbrzymie stosy broszur i pamfletów, ogłoszeń zbiérających na meetingi, rozrzucanych w setkach tysięcy egzemplarzy proklamacyi i t. d., podróże, mowy—opłacane dziesiątkami i setkami dolarów, parady i manifestacye obejmujące dziesiątki tysięcy osób, a przedewszystkiém zakupienie prasy — wszystkie niemal większe organa jéj otrzymują subsydya od republikanów — wszystko to musiało kosztować miliony i miliony.

Przyglądając się od trzech miesięcy walce przedwyborczéj w dwóch największych miastach kraju, piszący te wiersze, miał sposobność sam być świadkiem haniebnych tranzakcyi, któremi stronnictwo kupuje sobie głos i sumienie redaktorów pism, a które tu uważają się za rzecz tak prostą i naturalną, jak gdyby szło o sprzedaż najzwyklejszéj rzeczy. Propozycye 25—50 dolarów za przeniewierzenie należą do pospolitych, a jeśli ktoś ze względów na drażliwość europejską w tym przedmiocie odrzuca propozycyę, uważają to za objaw głupoty nie do darowania lub co najmniéj za dziwactwo. Często bywa, że pismo, chcąc podnieść sumę, za którą sprzedaje swój honor, ogłasza, że jeszcze nie jest zdecydowane po czyjéj stronie ma stanąć, a gdy stosowny dodatek do uprzedniéj propozycyi przeważy jéj domniemane wątpliwości — oświadcza, że przyszło nań natchnienie i prawda odsłoniła się przed niém—w postaci złotego dolara.

Bo dziwném to może się wydać dla tych, którzy mniéj znają historyę stronnictw w Stanach Zjednoczonych — główną kwestyą powodującą rozdwojenie pomiędzy dwoma głównemi stronnictwami tego kraju jest kwestya monetarna, kwestya czy ma być złoty dolar, czy srebrny jednostką miarodajną.

Republikanie stoją za złotym dolarem, czyli za *status quo* istniejącego od r. 1873 faktycznego monometalizmu, gdyż prawo z r. 1873, przeprowadzone niejako podstępnie i w tajemnicy trzymane przez pewien czas, zniosło dotychczasowe bicie obu metali, dopuszczając je tylko dla złota. Innemi słowy, przed r. 1873 każdy, kto miał bryłę złota lub srebra, mógł udać się do mennicy i otrzymywał tyle złotych lub srebrnych dolarów, ile z téj bryły wybić można było. Po r. 1873

prawo to utrzymano tylko dla złota; srebro zostało „zdemonetyzowane”, a chociaż dolary srebrne zostały w obiegu, a nawet sami zwolennicy złotéj waluty zmuszeni byli w braku złota bić srebrne dolary, w coraz to większéj ilości, jednakże srebro utraciło znaczenie monety i stało się bilonem; dolar srebrny zachowuje dziś wartość jednego dolara jedynie wskutek leżącego na nim stempla państwowego; rzeczywista zaś wartość zawartego w niém srebra, wskutek względnego upadku ceny na ten metal w stosunku do podniesionéj ceny złota [1]), spowodowanego przez wykluczenie srebra z obiegu w większéj części państw, po r. 1871 nie przenosi 53 centów złotéj waluty, t. j. około połowy złotego dolara.

Demokraci obstają za powrotem do wolnego bicia obu metali, twierdząc, że skoro prawo takie zostanie przeprowadzone, srebro podniesie się w cenie i wróci do poprzedniego stosunku 1 : 16 (t. j. że pewna jednostka wagi złota warta będzie 16 podobnych jednostek srebra), który chcą zachować jako stosunek urzędowy, zatrzymując pierwotną wielkość dolara srebrnego, ustanowioną przez kongres z r. 1792, a wynoszącą 371.25 gran czystego srebra.

Obok tego republikanie domagają się wysokich ceł protekcyjnych, demokraci zaś są za umiarkowanemi cłami t. zw. „dochodowemi”. Trzeba zaznaczyć, że obecne „niskie” cła, są takie, iż przeraziłyby każdego męża stanu europejskiego: nie ma tu ani jednego prawie przedmiotu nieoclonego (z wyjątkiem takich np. rzeczy, jak książki w obcych językach), a najmniejsza taksa jest 25% wartości—ocenionéj zwykle według cen tutejszych. Taryfa ta wydaje się republikanom już rodzajem „wolnego handlu” i domagają się oni absolutnego protekcyonizmu.

Takie są zasadnicze założenia obu głównych „platform” (programatów). Obok tego istnieje kilka innych stronnictw, z których jedne podają własnych kandydatów, inne łączą się z tymi lub owymi. Kandydatem republikańskim na prezydenta jest William Mac Kinley

---

[1]) Cena srebra od r. 1874 do r. 1890 upadła cokolwiek i bezwzględnie, mianowicie o 4%; cena zaś złota (czyli jego pokupna siła) w tym przeciągu czasu podniosła się o 16%, t. j. cztery razy tyle. Główną więc przyczyną „dewaluacyi“ srebra jest podniesienie ceny złota (stosunek cen w r. 1890 wynosił 19.8 : 1). Porównanie cen na pszenicę wykazuje, że dochód z jednego akra mierzony w srebrnych dolarach został przeciętnie prawie ten sam (w dwóch dziesiątkach lat spadł z 13.4 na 11.7), w złotych dolarach upadł z 12.3 (w przeciągu 1873 — 83 r.) na 8.6 (w latach 1884—93).

z Ohio, na vice-prezydenta — Garret A. Hobart z New-Jersey [1]); ze strony demokratów: na prezydenta William J. Bryan z Nebraski, na vice-prezydenta Arthur Sewall z Maine; partya ludowa (populiści) połączyła się z demokratami srebrnemi co do prezydenta, na vice-prezydenta zaś stawia Tomasza Watsona z Georgii. Natomiast część demokratów — przeważnie kapitaliści i bankierzy — oddzielili się od ogółu i wystawiwszy w swojéj platformie hasło złotego dolara, stawiają beznadziejną kandydaturę milionera chicagoskiego Johna Palmera, na vice-prezydenta zaś Simona Bucknera z Kentucky; socyaliści nie mieli tego taktu, co populiści, i nie chcąc łączyć się częściowo z demokratami przeciwko „złotym", wystawili, jak i na poprzednich wyborach, odrębną kandydaturę tak na prezydenta, jak i na vice-prezydenta, wystawiając na pierwszego Karola H. Matchetta, robotnika z Nowego Yorku, na drugiego Mateusza Magure z New-Jersey. Wreszcie, dwa odrębne stronnictwa stanowią nacyonaliści i prohibicyoniści; oba dążące do wprowadzenia zakazu fabrykowania i sprzedaży napojów alkoholicznych, różniąc się zaś co do pewnych punktów [2]), wystawiają na kandydatów: pierwsze: Jozuego Leveringa z Maryland i Williama Tuckera z tegoż stanu; drugie: Karola Bentleya z Nebraski i Jamesa Southgate z Karoliny Północnéj.

Co do geograficznego rozpowszechnienia dwóch głównych stronnictw w Stanach, to najlepsze o niém wyobrażenie daje jedna z niezliczonych w tym czasie karykatur przedstawiająca mapę Stanów Zjednoczonych w postaci psa, trzymającege w pysku kość srebrną: cały jego tułów jest srebrny; tylko ogon utworzony z kilkunastu stanów wschodnich jest złoty; w środku zostaje biała plama, którą zajmują stany: Dakota północna i południowa, Nebraska, Kansas, Jowa, Minnesota, Missouri, Michigan, Wisconsin, Illinois, Indiana, Kentucky. Jakkolwiek małym się wydaje na mapie złoty ogon w porównaniu ze srebrném tułowiem, składa się on wszakże z najgęściéj zaludnionych stanów; tak że obie zdecydowane co do ilości głosów części kraju równoważą się wzajemnie; szalę zwycięstwa przeważą, więc owe środkowe stany, które stanowią dziś jeszcze wielki znak zapytania, a na które skupiają oba stronnictwa swoje wysiłki, a republikanie prócz tego —

---

[1]) Od wyborów 1797 r., gdy równa ilość głosów (po 73 wypadło na Jeffersona i na Burra) utworzony został XII dodatek do konstytucyi stanowiący, ażeby osobno i wprost głosowano na prezydenta i na vice-prezydenta.

[2]) Nacyonaliści w programacie swoim umieścili także żądania prawa głosu dla wszystkich bez różnicy płci, oraz powrotu do wolnego bicia srebra.

potoki złota. Złoty argument powinien przemawiać za złotym dolarem.

Taka jest w krótkości sytuacya chwili obecnéj. Gdy czytelnicy będą mieli w ręku ten artykuł, kampania wyborcza już się skończy; będzie wiadomo napewno kto — czy Mac-Kinley, czy Bryan wyjdzie z urny wyborczéj przy głosowaniu 3-go stycznia 1897 r., gdyż już 13 listopada roku bieżącego wybrani będą owi wyborcy — a wiadomo zgóry za kim poda głos każdy z nich, gdyż zdradzić swego stronnictwa nie ośmieli się żaden. Nie miejsce więc tu roztrząsać widoki kandydatów, liczyć szanse każdéj partyi. Inne pytania natomiast wypływają z po za tych faktów, a znaczenie ich jest trwalsze, niż chwilowe zwycięstwo tego lub owego stronnictwa; trwalsze niż platformy danéj kampanii wyborczéj, ważniejsze niż imię i dzisiejsze hasła wybranego.

Jakie są rzeczywiste interesa i antagonizmy, ukrywające się po za srebrnym i złotym krążkiem monetarnym? Jakie sprężyny wprawiają w ruch te i inne stronnictwa? Jakie siły społeczne i polityczne gromadzą one pod sztandarami swemi? W jakim stosunku do nich są przemysł i rolnictwo, kapitaliści i robotnicy, bogaci i ubodzy? Dlaczego Zachód jest za srebrem, a Wschód za złotem? Co za ludzie stoją na czele stronnictw? Jaki jest wogóle rozkład sił i oddziaływań, kierunków ideowych, namiętności i interesów w tym olbrzymim organizmie, spojonym z tylu rozmaitych narodowości od Murzynów, Indyan i Chińczyków do Słowian, Włochów, Anglo-sasów i Celtów? Ażeby odpowiedzieć na te pytania, musimy się przedewszystkiém cofnąć wstecz o wiele lat — do chwil poprzedzających powstanie związku, do pierwszych zawiązków obecnych głównych stronnictw; następnie zaś — rozejrzeć się w stosunkach polityczno-społecznych kilkunastu lat ostatnich, wykryć, o ile to możliwe, przyczynę „ciężkich czasów" panujących tu obecnie, źródła przesileń tak często nawiedzających przemysł tutejszy i z tego całokształtu warunków przemysłowych i handlowych, społecznych i ekonomicznych, rzucić światło na spór monetarny, pod którego hasłami odbywa się walka obecna.

I.

Najdawniejsze stronnictwa amerykańskie były odbiciem dwóch angielskich: whigów i torysów; powstały one w czasie energicznéj pier-

wotnéj emigracyi z Anglii [1]). „Torysem—powiada Johnson—jest ten, kto się trzyma dawnéj konstytucyi państwa i apostolskiéj hierarchii w kościele angielskim.” Whiga określa jako miłośnika wolności, nie odrzucającego wszakże monarchii, a zwolennika protestantyzmu.”

Takie znaczenie miały te nazwy za czasów pierwszéj rewolucyi angielskiéj, a pochodzą one od nazw pogardliwych, któremi się obrzucali przeciwnicy. „Whig” („whey”) znaczy serwatka; ponieważ zaś pastuchów szkockich posądzano, iż żyją samą serwatką, nazywano ich „whiga-

---

[1]) Na miejscu tu będzie przytoczenie materyałów, z których korzystałem dla ułożenia następującego szkicu historycznego stronnictw. Literatura, bogata i historycznie już opracowana, dla okresu poprzedzającego wojnę domową, staje się szczupłą i pamfletyczną dla czasów najnowszych.

Jedném z najlepszych dzieł, dotyczącém okresu pierwszego i wogóle tak pod względem formy, jak i myśli, głębszém od innych jest *The Inquiry into the origin and course of Political Parties of the U. S.*, by Martin Van Buren, N.-Y. 1867. Autor jego był sam prezydentem Stanów Zjednoczonych i brał czynny udział w życiu polityczném w ciągu szeregu lat. Mniéj lub więcéj suche wykłady faktów zawierają dzieła Holmes'a *U. S. Political Parties and they principles*, 1858, Noah Brooks'a *Stort studies in party politics*, N. Y. 1895; Rufus Blanchard *Rise and fall of the political parties of the U. S.*, Chicago, 1884. Bardziéj zagląda wgłąb stosunków Jos. Brucker: *Zwei Havptpartey in die Vereinigten Staaten* (Milwaukee, 1880, toż samo po angielsku). Historya stronnictwa republikańskiego ma wiele opracowań, z których wymienimy obszerne: Fr. A. Flowera *History of the Republican. Party its origin growth and mission*, Springfield, 1884 i Smolley'a *A brief history of the Republican Party*, N. Y., 1884. Stronnictwu narodowo-republikańskiemu poświęcone jest dziełko *The Sons and the sires* (ojcowie i synowie), — *a history of the rise, progress and destiny of the American Party by an american*. Philad. 1855. Wreszcie wiele materyału historycznie już opracowanego zawiéra 10-tomowe dzieło Holsta: *Constitutional History of the U. S.* (1892) przekład z niemieckiego, obejmujące okres do wojny domowéj, pisane z jawną niechęcią dla demokracyi; Raynolds'a *National Platforms and Political History* (Chicago, 1896) zawiéra dosłownie przytoczone wszystkie platformy partyi od założenia unii po dziś dzień i niektóre inne fakta (nazwiska kandydatów i t. p.).

Dla walki obecnéj służyły mi liczne broszury (t. zw *pamflets*) i mowy, które w niezmiernéj ilości egzemplarzy rozdają się i rozrzucają we wszystkich niemal językach podczas każdych wyborów. Niektóre z nich mają dziwaczne tytuły i zabarwione są odcieniem religijnym, np. republikańska: *The Silversnake—a temptation* (Wąż srebrny—pokusa), lub demokratyczna: *Bible versus Plutocrat* (Biblia przeciwko plutokracie) i t. p.

Zbiory podobnych broszur, acz niekompletne, dotyczące poprzednich kampanii, można znaleść po bibliotekach publicznych (np. w *Chicago Public Library*). Niektóre z tych broszur dosięgają potężnéj objętości, jak np. Everetta Chamberlin'a *The struggle of 172* (Chicago, 1872); jest to pamflet na korzyść Granta przeciwko Greeli'emu, obejmujący nie mniéj jak 570 stron i zawierający wiele ciekawych szczegółów historycznych, między innemi—historyę stronnictwa republikańskiego (nowego) od chwili zorganizowania się (1854) do 1872 r.

more". *Tory* znaczy po staro-irlandzku rabuś czyli dosłownie: „oddaj mi piéniądze", nazwę tę stosowano do bandytów irlandzkich, ukrywających się w moczarach. Pierwsi, jak wiadomo, byli zwolennikami Stuartów, drudzy ich przeciwnikami.

W trzynastu koloniach angielskich Ameryki Północnéj byli zarówno zwolennicy jednego, jak i drugiego stronnictwa; w Massachusetts np. musiał być bardzo silny żywioł torysowski, skoro kolonia ta nie chciała uznać się zależną od Cromwella. Whigowie, jak wiadomo, nie utracili wpływu i po Restauracyi, mając tak wybitnych przedstawicieli, jak Burke, Chatham, Fox, już w owych czasach dają się widzieć przeciwieństwa w zapatrywaniach obu stronnictw na sprawy amerykańskie: gdy wrzała w Kanadzie wojna pomiędzy Anglikami a Francuzami, stronnictwo torysów było przeciwne ostatecznemu wyparciu Francuzów z Kanady; gdyż, powiadali, obawa przed Francuzami zmusza kolonie angielskie do oglądania się na metropolię swoją, od któréj będą potrzebowały wsparcia w razie napaści ze strony Francuzów lub ich spólników — Indyan. Przeciwnie, whigowie domagali się prowadzenia wojny aż do zupełnego wygnania Francuzów z Kanady, co też nastąpiło ostatecznie w r. 1760 (traktat pokojowy został podpisany w Paryżu 1763 r.).

W następnym roku parlament angielski wydał t. zw. *Declaratory Act*, który go upoważniał do opodatkowywania kolonii amerykańskich, zaś r. 1765 słynny *Stamp Act*, stosujący to prawo.

Akta te nadały niezwykłe dotąd znaczenie stronnictwom amerykańskim. Większość ludu przeszła odrazu na stronę krańcowych whigów, większość zaś gubernatorów, oraz nieznaczna garstka ludzi starego pokroju, przystąpiła do torysów i stanęła w obronie „boskich praw króla".

Dążności whigów nie były wówczas przeciwne monarchii; nie marzono jeszcze o niezależności; życzono sobie jedynie przedstawicielstwa w parlamencie. Jakkolwiek w następnym roku *Stamp Act* został odwołany, zrobiono to jednak w formie, która mogła tylko rozjątrzyć bardziéj urazę Amerykanów; od tego czasu zaczęły się też wytwarzać w opinii ogółu trzynastu kolonii nowe i szersze wymagania wolności, którym wyraz nadała propozycya, pochodząca z Massachusetts, aby przedstawiciele wszystkich kolonii zebrali się dla bliższego rozejrzenia się w swojém położeniu.

Zjazd ów (t. zw. „Kongres lądowy") zgromadził się w Filadelfii 5-go września 1774 r. Posiedzenia jego trwały 6 tygodni przy zamkniętych drzwiach. Postanowiono na nim wstrzymać się od wywozu oraz przywozu wszelkich wyrobów, a jednocześnie zredagowano do

króla i narodu Wielkiéj Brytanii adres „w wyrazach, jakie przystoją wielkim ludziom wielkiego narodu” — wedle wyrażenia jednego z historyków.

Akt ten przeprowadzili whigowie amerykańscy, licząc prawdopodobnie na poparcie swego stronnictwa w Anglii, w czém się nie zawiedli, jak świadczą wypadki, które nastąpiły.

Zasady, wygłoszone przez whigów na kongresie 1774 r., dojrzały w r. 1776, wydając słynną „Deklaracyę Niezależności“, a w dwa lata późniéj 9 lipca 1778 roku, podpisane zostały w Filadelfii „Artykuły konfederacyi i związku wieczystego.“

Te dwa akty zniosły stronnictwa pierwotne: gdy bowiem torysowie angielscy traktowali whigów amerykańskich jako buntowników, ich znowu uważano za zdrajców. Majątki torysów amerykańskich, którzy nie wyrzekli się przynależności do tego stronnictwa, skonfiskowano.

Nastąpiła wojna rewolucyjna, zakończona uznaniem niezależności Stanów. Pomimo silnego oporu ze strony torysów angielskich, przedstawiciele Stanów: Franklin, Adams, Laurens i Jay zostali przyjęci jako posłowie niezależnego państwa, gdyż stanowczo odmawiali traktowania rzeczy w innych warunkach. Traktat ostateczny został przez nich podpisany 3 września 1783 r. Akt ten odcinał kolonie amerykańskie od Anglii.

Podczas wojny, od chwili, gdy „Artykuły konfederacyi“ zostały ogłoszone, whigowie angielscy popierali wszystkie żądania Amerykanów, prócz niezależności, i w każdéj chwili gotowi byli uczynił zadość życzeniom wypowiedzianym przez kongres Lądowy.

Odłączenie się Stanów od Anglii zniosło, jak widzieliśmy, pierwotne dwa stronnictwa amerykańskie — whigów i torysów; debaty nad konstytucyą, która miała rządzić nowo utworzoném państwem, wytworzyły dwa nowe.

Jaka władza kontrolująca i kierownicza miała być utworzona nad wolnemi teraz koloniami? Nad tą kwestyą pracowały najlepsze umysły kraju. Zasady ogólne, na których spocząć miała przyszła konstytucya, znajdujemy w dwóch pismach: *The Federalist*, obejmującym artykuły Hamiltona, Madisona i Jay'a, oraz w *The Rights of Man* („Prawa człowieka) pióra Tomasza Paine'a—dziełach, których doniosłość dla prawa politycznego odsłonił światu Al. Toqueville.

Zagadnienie, wobec którego stanął naród amerykański było: jak można ochronić prawa cywilne, nie popełniając żadnych kroków ku monarchii?

Trzynaście istniejących kolonii połączone były przez „Artykuły konfederacyi“, podpisane pod naciskiem spodziewanéj wojny, które więc w żadnym razie nie mogły przewidzieć okoliczności, jakie wytworzy dalszy pokojowy rozwój kraju. Ujrzymy też niebawem, iż każde niemal przyłączenie do Stanów nowego terytoryum, stawało się powodem odmiennego ukształtowania stronnictw lub utworzenia nowych, oraz walki między niemi.

W chwili narodzenia się nowego państwa istniało silne stronnictwo, które było przeciwne wszelkim środkom, potęgującym władzę centralną, z obawy, aby w ten sposób nie utorowano drogi do monarchii [1]), a przynajmniéj nie pogwałcone miejscowych swobód stanów poszczególnych.

Przeciwnie, przyszli twórcy konstytucyi uważali, iż władza centralna, utworzona przez Akt konfederacyi była zbyt słaba:

„Władze udzielone rządom stanów pojedyńczych przez ich konstytucye były, jak wykazało doświadczenie, zbyt rozległe; przeciwnie, władza nadana rządowi związkowemu przez konfederacyę okazała się zbyt małą, powiada Paine w „Prawach człowieka”. Wada nie tkwiła w zasadzie, lecz w podziale władz.”

Liczne artykuły i broszury wykazywały konieczność nowego ukształtowania konstytucyi; a gdy opinia została w tym kierunku przygotowana, z Virginii wyszła propozycya konferencyi, złożonéj z przedstawicieli 5 czy 6 stanów w Annapolis (stanie Maryland) 1786 roku. Nie czując się wszakże upoważnionem do wchodzenia w szczegóły reform pożądanych, zgromadzenie to ograniczyło się do uznania ich konieczności, oraz wypowiedziało życzenie, aby w roku następnym zebrało się podobnież zgromadzenie złożone z przedstawicieli wszystkich stanów, co też nastąpiło w r. 1787. Washington obrany został prezesem téj konwencyi.

---

[1]) Że takie podejrzenia nie były całkiem bezzasadne, świadczy o têm propropozycya korony Waszyngtonowi (Sparks). Van Buren (l. c., str. 32), przytoczywszy opinie Olisa, Hopkinsa i Morrisa, również jak ustęp z pamiętników Jeffersona, solennie przezeń zaprzysiężony, a dowodzący, że ideałem politycznym dla Adamsa i Hamiltona była konstytucya monarchiczna Anglii, dodaje: „Naturalnêm jest przypuszczenie — a jest nie mało stwierdzających je faktów — że zdania tak głęboko wpojone w umysł tych wybitnych przywódców, były przynajmniéj w znacznéj mierze rozpowszechnione wśród ich zwolenników.“ Dodajmy przy téj sposobności, iż sympatye Kościuszki były po stronie antyfederalistów, z których najwybitniejszym przywódcą Jeffersonem, zawiązał ścisłą i serdeczną przyjaźń. Bardzo trafną wydaje się nam uwaga autora najnowszego życiorysu naszego bohatéra, że ta różnica poglądów politycznych stała na przeszkodzie ku zbliżeniu i serdeczności pomiędzy nim a Washingtonem.

Gdy przedyskutowano główne zasady przyszłéj konstytucyi, w celu nadania jéj powagi i wprowadzenia jéj w życie postanowiono: 1) ogłosić ją; 2) aby każdy stan wybrał konwencyę dla zbadania jéj i przyjęcia lub odrzucenia; 3) skoro tylko 9 stanów przystanie na nią, powinny wybrać odpowiednią ilość członków do nowego rządu federalnego, który natychmiast rozpocznie czynność swoją, stary zaś zostanie rozwiązany.

Przeważna ilość stanów przyjęła konstytucyę znaczną większością głosów, niektóre jednogłośnie. W konwencyi ze stanu Massachusets przewaga głosów nie przenosiła 20 na 300 głosujących, po skończeniu wszakże głosowania przeciwni konstytucyi członkowie powstali i oświadczyli, „że chociaż wygłaszali sądy i podawali głosy przeciwne konstytucyi, ponieważ niektóre jéj części ukazywały się im w odmienném świetle, niż innym członkom konwencyi, skoro jednak głosowanie wypadło na korzyść téj formy konstytucyi, jaką proponowano, będą ją popiérali we wszystkiém, tak jak gdyby sami byli podali za nią głosy" — godny naśladowania przykład prawdziwego patryotyzmu i poczucia obowiązków obywatelskich.

Dyskusye prowadzone podczas tych konwencyi wyjaśniły dwa kierunki myśli, stosownie do których utworzyły się dwa nowe stronnictwa polityczne: federalistów i anti-federalistów [1]).

[1]) Słuszną uwagę robi Van Buren (l. c., str. 35—36) o niewłaściwości tych nazw, federaliści bowiem dążyli do utworzdnia jednolitego państwa; przeciwnicy ich—do zachowania związku na zasadach federacyi. Pierwsi byli przytém zwolennikami umiarkowanéj swobody i wielbicielami konstytucyi angielskiéj; drudzy—uczniami Rousseau'a i entuzyastami rewolucyi francuskiéj. Ideałem ich była republika demokratyczna.

Pogląd Jeffersona i jego stronnictwa polegał na ścisłém pojmowaniu (*construction*) konstytucyi. Rządy pojedyńczych stanów były według nich podstawą systematu politycznego Ameryki; władze ich były nieograniczone z wyjątkiem przez konstytucye stanów lub federalną. Rząd federalny nie miał innych władz, prócz tych, jakie mu nadawała konstytucya za zgodą stanów pojedyńczych; jeśli zaś pozostaje wątpliwość co do tego, gdzie umieścić należy odpowiednią władzę (t. j. w rządach stanów czy w federalnym) należy ją rozstrzygać zawsze na korzyść rządów stanowych. Innemi słowy, rząd federalny nie miał prawa oznaczania granic swojéj władzy; prawo to należało do stanów pojedyńczych (por. Noah Brooks, l. c, str. 66 — 67). Stąd logicznie wysnuwało się prawo nulifikacyi (ob. niżéj). Przeciwnicy ich drogą „luźnego pojmowania" i swobodnéj interpretacyi konstytucyi, dążyli do uczynienia ze „stanów zjednoczonych" państwa scentralizowanego.

Pierwsze było za nadaniem większéj siły rządowi centralnemu i za ściślejszém spojeniem pojedyńczych stanów: drugie—za większą ich niezależnością. Około roku 1791 przybrało ono nazwę republikanów, a późniéj — demokratów.

Pierwsza środa stycznia 1789 r. zaznaczona była jako dzień elekcyi wyborców prezydenta i vice-prezydenta według zasad nowéj konstytucyi; pierwsza środa lutego — jako dzień, w którym mieli podać głosy. Rezultatem tego głosowania był obiór Washingtona na prezydenta, Jana Adamsa na vice-prezydenta. Była to pierwsza administracya Stanów Zjednoczonych. Pierwszy kongres (izba posłów i senat) miał zebrać się w Nowym Yorku.

Nadzwyczajna sesya kongresu zwołana została w celu nadania zupełnéj gwarancyi wolności mowy, prasy i swobodzie religijnéj. Było to wymaganiem anti-federalistów i ważnym krokiem ku zażegnaniu ich nieufności. Rezultatem tego zebrania było 10 dodatków do konstytucyi.

W ten sposób usunięto możliwość nieporozumień i na przekór wyrażonym w pismach angielskich sądom, iż Ameryka nie potrafi się rządzić w braku rodowitéj arystokracyi. Pierwsza administracya jaknajświetniéj uporała się z najważniejszemi trudnościami, z jakiemi miało do czynienia nowe państwo. Głównym przedmiotem pierwszéj regularnéj sesyi kongresu, zwołanéj w Filadelfii, była kwestya przelania długów pojedyńczych stanów, zaciągniętych przeważnie na potrzeby wojny, lub przed nią, na rząd federalny. Na drugiéj sesyi w Filadelfii 1790 r. postanowiono założyć Bank Stanów Zjednoczonych z kapitałem 10,000,000 funtów, z których 2,000,000 włożyć miał rząd Stanów. Środki te wywołały silne niezadowolenie w obozie anti-federalistów.

Cztéry lata upłynęły, po których Washington i Adams zostali wybrani powtórnie. Najważniejszą kwestyą teraz na porządku dziennym był jakikolwiek traktat handlowy z Anglią, zapewniający możność rozwoju przemysłowego w Stanach. Traktat ten został zawarty przez pośrednictwo Jay'a i podpisany przez Washingtona. Pominięcie w nim punktu zabezpieczającego marynarzy amerykańskich na morzu (których statki angielskie prześladowały i chwytały jako przemytników), a na który prawdopodobnie rząd angielski nie byłby wówczas przystał, wywołało niechęć ku Washingtonowi w pewnych kołach, którą wzmogło wydalenie z Ameryki przedstawiciela rewolucyjnéj Francyi, Geneta, usiłującego zjednać poparcie Stanów dla swojéj ojczyzny. Wzmocniło to stronnictwo anti-federalne, na czele którego stał Tomasz Jefferson.

Wszakże przy następujących wyborach przedstawiciele obu stronnictw godzili się na kandydaturę Washingtona, gdy ten wszakże stanowczo usunął się po wydaniu słynnego listu pożegnalnego, wybór padł na Adams'a, który miał tylko o trzy głosy więcéj niż Jefferson (71 i 68); w ten sposób ten ostatni został vice-prezydentem. Wzmagająca się sympatya ku Francyi i rozszerzenie w Stanach Zjednoczonych idei francuskiéj rewolucyi, wzmogły tymczasem żywioł demokratyczny tak, iż na następnych wyborach anti-federaliści mieli większość. Prezydentem został Jefferson, autor „Deklaracyi niezależności".

Od téj chwili federaliści nigdy już nie przyszli do władzy, chociaż nie przestali przez pewien czas wywierać wpływu na życie polityczne narodu. Ważną zasługą tego stronnictwa było wytworzenie ścisłego związku politycznego między stanami, spojenie ich w jedną całość; oględna polityka zewnętrzna, zwłaszcza względem Anglii, mająca zresztą głównie na celu interesa handlowe klasy przemysłowéj, przyczyniła się do wzmocnienia nieutrwalonéj jeszcze organizacyi młodziutkiego państwa.

Jakież żywioły wchodziły w skład każdéj z partyi?

Stronnictwo federalistów, powiada jeden z przytoczonych wyżéj autorów [1]), „składało się z tego, co zwykle nazywają lepszą klasą narodu: duchowieństwo wszelkiego rodzaju, najbardziéj popularni prawnicy, najbogatsi kupcy i wszyscy ci wogóle, którzy nie bardzo śpieszą się z oporem względem istniejącéj władzy."

W szeregi republikanów (inaczéj demokratów), niegdyś anti-federalistów, przeciwnie wchodziły „czynne umysły kraju, ludzie mało dbający o imię dziedziczne lub sławę; ludzie dumni ze swéj własnéj indywidualności i ceniący każdą rzecz według wartości, jaką okazuje sama przez się, odarta ze stroju pretensyi."

Z innéj nieco strony oświetla ich charakter bardzo niechętny dla demokracyi niemiecki autor „Historyi konstytucyjnéj Stanów Zjednoczonych [2]), wyjaśniając przyczyny tak sprzecznéj oceny polityki zagranicznéj Stanów.

Jak wspominaliśmy, traktat z Anglią, zawarty przez Jay'a, był niechętnie widziany przez żywioły demokratyczne; ubliżał on istotnie godności Stanów jako państwa, pozostawiając statki amerykańskie na pastwę Anglikom, przytém obrażał ich sympatye i uczucie wdzięczności dla Francyi za pomoc w rewolucyi. Niezadowolenie to wybuchło

---

[1]) Rufus Blanchard. *Rise and Fall of Political Parties in the U. S.*, str. 58.

[2]) Holst. Przekład angielski p. t. *Constitutional and Political History of the United States.* T. I, str. 124.

bardzo energicznie w większych miastach: w Filadelfii tłum ostentacyjnie spalił tekst traktatu przed oknami ambasady angielskiéj; w Charlston wleczono po błocie flagę angielską. — „Przyjęcie jakiego doznał ten traktat, powiada Holst, nie może być wytłómaczone istniejącemi wówczas między Stanami Zjednoczonemi a Anglią stosunkami. Opozycya przybrała charakter tak wściekły jedynie wskutek panującéj wówczas frankomanii." Owa tak niemiła dla niemieckiego lojalnego serca „frankomania" nie była czém inném tylko sympatyą ludu amerykańskiego dla uniwersalnych (a więc wcale nie francusko-narodowych) zasad wygłaszanych wówczas w ojczyźnie Robespierra. Zdradza się zresztą wyraźnie z tém autor przytoczony, gdy powiada: „Od chwili, gdy dobrodziejstwa konstytucyi dały się uczuć, niższe warstwy ludności wielkich miast zaczęły zwiększać szeregi anti-federalistów. Dźwięczne frazesy i wszelkie rodzaje sztuki demagogicznéj mogły tu mieć jak największe powodzenie. Tłum wielkomiejski stanowił zawsze najwdzięczniejsze pole dla doktryneryzmu" [1]).

Każe to nam domyślać się, iż owe dobrodziejstwa konstytucyi nie spływały równomiernie na wszystkie klasy ludności. W istocie była ona dziełem burżuazyi, klas zamożniejszych [2]), z których rekrutowało się stronnictwo federalistyczne, gdy przeciwnie stronnictwo demokratyczne czyli anti-federalistyczne składało się z mas ludowych. Cały program działalności pierwszego miał na celu przeważnie interesa klasowe—interesa kapitalistów i przemysłowców amerykańskich — stąd dążenie do pokoju z Anglią bądź co bądź, gdyż z Anglią odbywały się główne stosunki handlowe Stanów; pragnęło ono uczynić państwo spólnikiem swoim, zakładając bank Stanów (1791), który późniéj został zniesiony przez rząd demokratyczny. Świadomém dążeniem Hamiltona

---

[1]) Holst. l. c. p. 124.

[2]) Jefferson, głowa stronnictwa demokratycznego, był ambasadorem we Francyi kiedy przyjmowano konstytucyę i wyrażał niezadowolenie dla braku gwarancyi wolności słowa i prasy, co zresztą zostało po części naprawione przez dodatki późniejsze. Rząd federalistyczny zawsze okazywał skłonność do użycia siły przeciwko masom ludzi, jak to było np. podczas zaburzeń z powodu wprowadzenia podatku na spirytus; jednym ze środków, który najbardziéj może podkopał jego popularność było t. zw. *Alien and Sedition Law*. (Prawo o cudzoziemcach i burzycielach 1798), dające prezydentowi prawo wygnania osób niebezpiecznych dla pokoju powszechnego oraz uwięzienia tych, którzy są podejrzani jako należący do spisku, a nawet za ostrą krytykę rządu. Wydane zostało ono pozornie przeciw ruchowi jakobińskiemu wywołanemu przez Geneta, faktycznie—przeciw stronnictwu Jeffersona. Wybitniejszemi ofiarami jego byli członek kongresu Mateusz Lyon i sędzia Chase. Prześladowano zawzięcie redaktorów pism republikańskich (demokratycznych).

było utworzenie potęgi pieniężnéj na wzór angielskiéj, na któréj chciał oprzéć władzę rządową. Takie środki jak założenie banku, przelanie długów stanowych na rząd związkowy, popieranie przemysłu i torowanie środków komunikacyi, zmierzały ku zjednaniu dla rządu klas zamożnych. (Por. Van Buren l. c. str. 149, 161—169).

Jak dalece polityka federalistów była klasową, świadczy o tém ustęp z cytowanego już i przychylnego dla nich autora:

„Jeszcze w r. 1793, gdy pokój z Anglią został zagrożony przez agitacyę Geneta i jéj następstwa, znaleźli się w Nowéj Anglii tacy, którzy, w sposób niedwuznaczny wyrażali się, iż rozerwanie związku byłoby bardziéj pożądane niż wojna z Anglią [1]). Więc nawet główną zasadę polityczną — jedność polityczno-państwową — gotowi byli poświęcić dla interesów swojéj klasy, dla utrzymania zyskownego handlu z Anglią.

Pomimo więc iż należały tu inteligentniejsze klasy narodu, było to przeważnie stronnictwo interesu; przeciwnie demokraci, byli raczéj bezinteresownymi wielbicielami zasad rewolucyi francuskiéj; byli „doktrynerami", stronnictwem reprezentującém pewną ideę.

We względzie politycznym więc, przeciwstawność federalistów demokratów była przeciwstawnością zasad umiarkowanéj rzeczypospolitéj ze skłonnością do centralizacyi, do autokratyzmu a nawet do monarchii konstytucyjnéj z jednéj strony a zasad najszerzéj pojętéj demokracyi i decentralizacyi z drugiéj. Rządy federalistów lubiły otaczać się pewną okazałością zewnętrzną, którą zniósł natychmiast po objęciu prezydentury Jefferson. Pod względem społecznym była to przeciwstawność klas zamożnych i klas ubogich, burżuazyi i ludu.

Pod względem geograficznym stronnictwo federalistów miało przewagę w Nowéj Anglii—stanach najbardziéj przemysłowych i prowadzących obszerny handel z Anglią; demokraci mieli najwięcéj zwolenników w stanach południowych, przeważnie rolniczych.

Przejście władzy do rąk stronnictwa demokratycznego usuwało właściwie mówiąc *casus belli* między oboma, od téj bowiem chwili demokraci utracili powód do narzekania na nadużycia władzy ze strony federalistów; ci zaś utracili możność podawania do tego okazyi. Ostateczną wszakże przyczyną śmierci moralnéj federalistów, były t. zw. „Postanowienia Hartfordzkie", w których najlepiéj się ujawnił patryotyzm tego stronnictwa oraz pojmowanie obowiązku pojedynczych stanów względem związku, a które okryły piętnem hańby dziejowéj swoich twórców.

---

[1]) Holst. l. c. str. 126.

Było to podczas wojny z Anglią rozpoczętéj w r. 1812 z powodu prześladowania przez Anglików marynarzy amerykańskich; początkowo federaliści pojedynczych stanów stawiali niedorzeczne i sprzeczne z zasadą federalizmu żądania, nie dając np. wojsk swoich dla celów obrony ogólnéj a natomiast żądając wypłacenia ich żołdu z funduszu związkowego, a w końcu, gdy największe niebezpieczeństwo groziło wspólnéj ojczyźnie, delegaci stanów: Massachusetts, Connecticut, Rhod Island, New Hampshire i Vermont zebrali się w Hartford, aby przy zamkniętych drzwiach naradzać się nad warunkami, pod któremi zostaną jéj wierni. Zawarcie w tym czasie (1814) pokoju, pozbawiło konwencyę Hartfordzką wszelkiego znaczenia prócz tego, iż odjęła ona stronnictwu federalistów resztę popularności, która głównie opićrała się nie na ich zasadach, lecz na osobach takich jak Washington, Adams, Hamilton i in. Teraz upadła ona tak dalece, iż po następnych wyborach widzimy tylko 6 federalistów w senacie i 22 w izbie kongresu. W ciągu 24 lat następnych rząd kraju zostawał w ręku demokratów; przez ten czas usunęli oni wszelkie podatki uboczne i cła wewnętrzne a zewnętrzne ograniczyli do przedmiotów zbytku, zaprowadzili oszczędność w administracyi znosząc szereg niepotrzebnych urzędów, kupili od Francyi Louizyanę (1803), zredukowali dług państwowy z 83 mil. dol. w r. 1801 do 45 mil., wreszcie stoczyli wojnę z Anglią w r. 1812. Wszystko to zjednało stronnictwu temu sympatyę ludu i przyczyniło się do przydomku „stronnictwa ludowego.”

Po wojnie z 1812 r., polityka demokratów zmieniła się; stronnictwo rozpadło się w r. 1824 na cztery nowe, a w 1826 powstały dwa stronnictwa bezimienne z których „Jacksońskie” przybrało właściwą nazwę demokratów.

Drugie pod nazwą *Adams'men*, grupujące te same żywioły, które wchodziły w skład federalistów, ukonstytuowało się jako nowe stronnictwo. W 1826 r. wydana została pierwsza koncesya na kolej żelazną, a w następnym odbył się zjazd przemysłowców w Harrisburg, który ogłosił szereg „argumentów za taryfą protekcyjną.” Około tego hasła ugrupowało się stronnictwo, którego uznanym wodzem został J. Adams, a które przybrało nazwę Republikanów Narodowych i na następnych wyborach (1828) wystawiło swoich kandydatów. Opozycya przeciwko téj taryfie wybrała teraz nazwę Demokratów. Obok tych głównych stronnictw powstało trzecie: Antimasonów, skierowane głównie przeciwko tajnym towarzystwom. Powodem jego powstania było oburzenie, wywołane gwałtowną śmiercią niejakiego Wilh. Morgana, którego wrzucono do Niagary za to, że wydał książkę, odsłaniającą tajemnice masoneryi.

Republikanie Narodowi przybrali niebawem nazwę *whigów*, rosnąc coraz bardziéj w siłę pod hasłami protekcyonizmu i żądania banku państwowego, pozwalającego korzystać z sum państwowych dla kredytowania przedsiębiorstw prywatnych. „Bankierowie i handlarze całego kraju, równie jak i cała ta klasa ludzi, która sprzyjała polepszeniom wewnętrznym (t. j. stanowym) kosztem państwa (t. j. kasy federalnéj), która stała w obronie wysokiéj taryfy i wysokich cen, dla celów spekulacyjnych połączyli się w związek, pod nazwą ogólną whigów, przeciwny polityce demokratycznéj zwłaszcza zaś typu Jacksońskiego" [1]). Tymczasem stronnictwo demokratyczne uległo częściowemu rozbiciu; najbardziéj krańcowa jego gałąź znana pod przezwiskiem „loco-foco" posunęła swoją nieufność względem banków i monopolu pieniężnego do wymagania zupełnego usunięcia banknotów. W platformie jéj z roku 1836 czytamy:

„Wyznajemy się bezwzględnymi nieprzyjaciołmi banknotów i pieniędzy papierowych jako środka obiegowego, gdyż złoto i srebro stanowią jedyną bezpieczną i konstytucyjną monetę; wrogami wszelkich monopolów nadanych przez prawodawstwo, gdyż są one pogwałceniem równoprawności ludu" i t. d.

W tym czasie (1832 — 1836) prezydent demokratyczny Andrew Jackson zdołał po długim oporze znieść bank Stanów Zjednoczonych, który daremnie myślał przedłużyć swoje istnienie, opłacając członków kongresu, prasę i innych ludzi wpływowych. Był to w istocie olbrzymi monopol i instytucya prywatna, w któréj $^1/_3$ cz. kapitału zakładowego stanowił fundusz państwowy, nie dająca przeto dostatecznéj gwarancyi pewności tego funduszu. Była to instytucya, która „podobnie jak Octopus ścisnęła swojemi niezliczonemi ramiony kongres i prasę." O zuchwałéj potędze jéj świadczy fakt, że dyrektorowie banku, wiedząc o zamiarze Jacksona zniesienia go (t. j. nie przedłużenia upływającego w 1836 r. terminu na który był założony), udali się do niego przed jego wyborami i przypomnieli, że bank przez ludzi interesów ma kontrolę nad wyborem wszelkich kandydatów, nie wykluczając i prezydenta. Na to miał odpowiedzieć Jackson, że jest to zawielka potęga na jednego człowieka lub instytucyą i że jeśli oni zdołają przekupić kongres, to on położy swoje *veto*. (George Fred.). Tak téż

[1]) R. Blanchard, l. c. str. 123. Przez polepszenia wewnętrzne pojmowano głównie drogi komunikacyi, zwłaszcza zaś regulacyę rzek. Doświadczenie ekonomiczne przekonywa, że szybki rozwój komunikacyi, sprzyjając handlowi, powoduje szybki wzrost bogactwa jednostek i zubożenie mas. Środek więc ten zmierzał również ku polityce klasowéj.

się stało. Panika finansowa, wynikła w następnym roku (1837), spowodowała wprowadzenie do programatu demokratycznego oddzielenia banku od państwa.

Wystąpienie na pierwszy plan kwestyi niewolniczéj nadało niebawem nowe ugrupowanie stronnictwom. Ponieważ demokraci, wierni tradycyjnéj zasadzie poszanowania niezależności stanów, byli przeciwni przymusowemu zniesieniu niewolnictwa przez rząd federalny, whigowie więc mieli nadzieję zjednać sobie bardzo już wówczas wpływowe stronnictwo abolucyonistów przez pozorne zbliżenie się do ich wymagań. Nieprzyjaciele wszakże niewolnictwa, dotąd prześladowani przez opinią, która nazywała ich „długowłosymi filozofami", „krzykaczami wolności", a często i kamienowała ich rękami tłumu — jak było np. z redaktorem pisma Eliaszem Lovejoyem, zabitym przez tłum w Altonie r. 1837—co wszystko jest niewątpliwym symptomatem bezinteresowności téj gromadki—wzmogli się tak na sile, że w r. 1839 zebrali się na konwencyę w Warszawie stanu N. Yorskiego i utworzyli Stronnictwo wolności (*Liberty party*) [1]).

Źródła agitacyi przeciw-niewolniczéj były czysto humanitarne. Przy założeniu związku i przez pierwsze lata formowania się ostatecznego konstytucyi spodziewano się, że wydany wówczas zakaz przywozu niewolników (całkowita ich liczba wynosiła podówczas pół miliona na

---

[1]) Bardzo pouczające są epizody téj walki ideowéj; godnem uwagi, że nie tylko niewolnicze południe, ale i przemysłowa północ z równą zawziętością kamienowała apostołów wolności. Pierwszym organem abolucyonistów był *The Genius of Universal Emancipation*, założony przez kwakra z N. Jersey. Beniamina Lundy, który porzucił rodzinę i świetnie prowadzony interes i poświęcił całe życie i majątek szerzeniu propagandy, (por. Gosdell. *Slavery and Antislavery*). — Lloyd Garrison założył w r. 1831 w Bostonie drugie pismo w tym kierunku, *The Liberator*, które sam pisał, drukował i roznosił, mając negra za jedynego pomocnika. Niebawem został uwięziony za artykuł przeciwko kapitanowi okrętu, wiozącemu ładunek niewolników. — Prawa przeciwko oświacie niewolników, drakońskie na południu, były nie mniéj surowe na północy. Prudencya Crandall została uwięziona w Canterbury (Connecticut) za to, że przyjmowała dziewczęta murzyńskie do szkoły swojej (1833). W New Hampshire zburzono szkołę, która ogłosiła iż przyjmuje uczniów bez różnicy kolorów. W N. Yorku tłum opanowywa salę, aby nie dopuścić meetingu abolucyonistów. W 1834 tłum napada na dom Lewisa Tappana, filantropa i abolucyonisty w N. Yorku i niszczy jego sprzęty. Podobneż sceny odbywają się w innych miastach i miasteczkach. (Por. Holst. l. c. T. II, str. 80—103 i t. d.) I. Birney był plantatorem w Alabamie; w 1834 uwolniwszy swoich niewolników, założył w Cincinnati (Ohio) pismo abolucyonistyczne *The Philantropist*; tłum kilkakrotnie napadał na jego drukarnię i zburzył ją wreszcie doszczętnie. Udawszy się do N. Yorku niebawem został obrany kandydatem przez partyę wolności.

2,000,000 ludności wolnéj) spowoduje stopniowe zniesienie téj haniebnéj instytucyi, dzięki samemu wzrostowi uczuć humanitarnych i dobrowolnym wyzwoleniom, których przykłady dawali lepsi obywatele kraju [1]). Gdy jednak minął czas szlachetnych uniesień, interes materyalny wziął górę nad idealizmem i zakaz handlu niewolniczego stał się martwą literą. Tymczasem każdy nowy przyrost terytoryalny stanów wysuwał naprzód kwestyę niewolniczą jako kwestyę interesu. Szło tu o przewagę północy lub południa w związku, co było wynikiem nadmienionego wyżéj rozkładu geograficznego sił i interesów stronnictw. Ponieważ według początkowéj ugody z r. 1787, niewolnictwo było wykluczone ze wszystkich stanów, leżących na północ od rzeki Ohio, więc już przyłączenie (r. 1819) Missouri, które chciało przystąpić do związku jako stan niewolniczy, wywołało bardzo silną opozycyę; załatwiono ją kompromisem (1820), według którego wszelkie nowe stany, mające przystąpić do związku, a leżące na zachód od Missouri a na północ od 36⁰ 30' równoleżnika (północna granica tego stanu) miały być wolne od niewolnictwa. Podział zdań co do téj kwestyi nie odpowiadał ściśle podziałowi stronnictw; wszakże większość oponujących przeciw przyjęciu nowych stanów niewolniczych należała do byłych federalistów; większość zwolenników przyjęcia bez ograniczeń— do demokratów. Dziwném może się wydać, że stronnictwo, które niedawno miało za punkt wyjścia zasady jak najszerzéj pojętéj równości, obstawało dziś przy niewolnictwie a przynajmniéj okazywało taką tolerancyę w stosunku do téj instytucyi, mniéj dziwną wszakże wyda się ta sprzeczność, jeśli przypomnimy sobie, że Rousseau, apostoł idei, któremi się żywiło owo stronnictwo, znalazł w swoim umyśle kilka słów na obronę niewolnictwa w starożytności. Co zaś do demokratów amerykańskich, to nie należy szukać źródeł ich opozycyi przeciwko powszechnemu zniesieniu niewolnictwa w saméj tylko wierności zasadzie bezwzględnéj autonomii pojedyńczych stanów, w ścisłym konstrukcyonizmie [2]), jak mówiono wówczas t. j. w trzymaniu się litery konstytucyi, gdy przeciwnie luźni konstrukcyoniści, swobodnie ją interpretując, usiłowali z niéj wywieść podstawy do rozszerzenia w niektórych wypadkach (do tych, prócz kwestyi zniesienia

---

[1]) Por. Holst, T. I.

[2]) Nazwy te powstały jeszcze za Washingtona: ścisłymi konstrukcyonistami byli Madison i Jefferson; twierdzili oni, że kongres ma tylko dwa rodzaje praw: te które są wyraźnie wymienione w konstytucyi, oraz te, które są niezbędne dla ich utrzymania. Do tych Hamilton, Washington i federaliści dodawali trzeci, t. j. takie, które ich zdaniem, mogą być wyprowadzone z ogólnego charakteru konstytucyi.

niewolnictwa, załączano prawo robienia ulepszeń miejscowych z funduszu związkowego) prerogatyw rządu centralnego, kosztem miejscowych rządów stanów. Interesowną podstawą obrony niewolnictwa była ta okoliczność, że demokraci stanowili przeważną większość na południu, t. j. w stanach rolniczych; zniesienie zaś niewolnictwa, przy braku wolnych robotników i ówczesnym systemacie gospodarki, spowodowałoby przesilenie rolnicze, podobne do tego, jakie u nas wywołało zniesienie pańszczyzny, z tą tylko różnicą, że przewrót byłby gwałtowniejszy. To téż widzimy, że „pod tym względem stany południowe były jednozgodne niezależnie od stronnictw, gdy przeciwnie opozycya pochodziła z północy, również niezależnie od jéj podziału na stronnictwa."

Częste wypadki ucieczki niewolników ze stanów niewolniczych do wolnych, wywoływały również częste kontrowersy o prawie co do zbiegów-niewolników. Ale co, właściwie mówiąc, nadało decydujące znaczenie kwestyi niewolnictwa, tak iż niebawem stało się ono osią, około któréj ugrupowały się nowe stronnictwa, było to powstanie Texasu przeciwko Meksykowi (1836), popierane początkowo przez wolontaryuszów amerykańskich, a następnie przyłączenie tego terytoryum do Stanów i wynikła stąd wojna z Meksykiem, pociągająca za sobą obszerne nabytki terytoryalne dla Stanów. Ponieważ nabytki te leżały na południe od granicy ustanowionéj w kompromisie Missouryjskim, więc przyłączenie owych ziem na przyjętych w nim zasadach zwiększało w znacznym stopniu potęgę Stanów południowych i dawało im stanowczą przewagę nad Północą. Przyłączenie Texasu nastąpiło w r. 1845 zgodnie z kompromisem, t. j. jako stanu niewolniczego. I w téj kwestyi głosowanie odpowiadało przeciwstawności Południa z Północą, gdyż większość whigów południowych głosowała łącznie z demokratami. Nieco wcześniéj (1843) zebrała się w Buffalo konwencya już zorganizowanego stronnictwa wolności; zakończenie wszakże wojny z Meksykiem postawiło na porządku dziennym kwestyą, czy nabyte terytorya: Nowy Meksyk i Kalifornia, mają być wolnemi stanami czy niewolniczemi?

Obstawanie południowców przy ostatniém rozwiązaniu wywołało przerzedzenie szeregów demokratycznych na północy i utworzenie nowego stronnictwa z odłamów demokratów północnych, abolucyonistów i whigów pod nazwą *Free Soilers*, t. j. zwolenników wolnego gruntu. Demokraci w Nowym Yorku rozdzielili się na przeciwników i zwolenników niewoli. Pierwszych przezwano „podpalaczami stodół", przeciwnicy bowiem twierdzili, iż gotowi są zniszczyć związek byle znieść niewolnictwo, podobnie jak szalony farmer, który pali stodołę, aby

zniszczyć szczury. W Massachusets whigowie rozdzielili się na „Whigów Sumienia" i „bawełnianych". Te odłamy weszły późniéj w skład stronnictwa wolnego gruntu. Powodem do utworzenia tego stronnictwa była dyskusya nad wnioskiem do kongresu D. Willmota z Pensylvanii, domagającym się przyłączenia wymienionych terytoryów jako stanów wolnych. Hasłem jego (wygłoszoném w platformie z r. 1848) było: „ochrona wolnéj pracy od ucisku potęgi niewolniczéj, wolny grunt, dla wolnego ludu"; czyli jak je formułują w ostatnim punkcie długiéj deklaracyi (w któréj między innemi powiedziano „że kongres zarówno pozbawiony jest prawa utworzenia niewolnika jak i utworzenia króla"): „Wolny grunt, wolna mowa, wolna praca i wolni ludzie". W praktycznych wymaganiach stronnictwo to było bardziéj umiarkowane od abolucyonistów, nie żądało bowiem powszechnego ziesienia niewolnictwa, lecz tylko zakazu jego na nowoprzyłączających się terytoryach. Stronnictwo to obrało za kandydata Van Burena i złożyło 290,000 głosów.

Dążenie do zniesienia niewolnictwa nie płynęło z samych idealnych Północy pobudek. Jak i obstawanie Południa za niewolnictwem, opór Północy przeciwko niemu nie był bezinteresowny: szło tu, jak widzimy z przytoczonych słów programatu, o zniesienie współzawodnictwa pracy niewolniczéj, niekorzystnego dla pracy wolnéj, która była podstawą bytu materyalnego i bogactwa północnych przemysłowych stanów.

Ponieważ jednak interes w agitacyi przeciwniewolniczéj szedł w parze z ideą postępową i humanitarną, zwycięstwo jéj było zapewnione, gdyż wcześniéj czy późniéj musiała ona zjednoczyć pod swojemi sztandarami ludzi bezinteresownych, entuzyastów całego kraju, którzy zwykle dają polot ideowy—z ludźmi praktycznego interesu Północy, również jak poprzednio stronnictwo ludowe zwyciężyło federalistów, gdyż praktyczne dążności klasowe połączyło z idealnemi wymaganiami praw człowieka, równości, wolności i prawdziwego patryotyzmu.

Tymczasem nowe stany przybywały, mnożąc powody do starć. Kwestyę Oregonu załatwiono równolegle z meksykańską; teraz przybywały Nowy Meksyk, Utah i Kalifornia, szybko zaludniona przez poszukiwaczy złota; obok wystąpiła propozycya zniesienia niewolnictwa w okręgu kolumbijskim. Wszystkie te kwestye (prócz ostatniéj) połączono, na propozycyę H. Clay'a [1]) w jeden t. zw. *omnibus bill* i usiło-

[1]) „Był on stary i osłabiony, jednak mimo to przez dwa dni mówił w obronie swego planu. Wiele przybyło do Washingtonu zdaleka, aby usłyszeć ostatni

wano załatwić kompromisem: nowe stany przyjęto bez niewolnictwa, dla zadowolenia zaś południowców wydano „Prawo o niewolnikach-zbiegach”, które obowiązywało wszystkich obywateli do okazywania pomocy w ich ściganiu i łowieniu.

To ostatnie wywołało silne niezadowolenie w obozie przeciwnym niewolnictwu. Przed nowemi więc wyborami w r. 1852 stronnictwo Wolnéj Ziemi w platformie swojéj potępiwszy owo prawo, rozwinęło i rozszerzyło zasady swoje, wciągając do niéj zarazem pogląd na wszystkie punkta kontrowersów ówczesnych. Stwierdziwszy najsamprzód założenia Deklaracyi Niezależności: że rząd zawdzięcza słusznie swe prawa dobrowolnéj zgodzie rządzonych i że jest ustanowiony dla zabezpieczenia wszystkim prawa do życia, wolności i dążenia do szczęścia, że zadaniem prawdziwéj demokracyi jest utrzymanie wolności ludu, wszechwładztwa stanów i trwałości związku, staje daléj zgodnie z dawnemi zasadami demokracyi po stronie ścisłego konstrukcyonizmu, uważając władzę federalną za ograniczoną i wynikającą jedynie z konstytucyi, powtarza założenia poprzedniéj platformy, zaprzeczające mu prawa stwarzania niewolników, uznaje niewolnictwo za grzéch a jego zniesienie za nieodzowne żądanie patryotyzmu, ludzkości i chrześciaństwa, żąda wszakże, aby rząd federalny usunął się od prawodawstwa w kwestyach niewolnictwa oraz zbiegów niewolników, pozostawiając je stanom i wywierając jedynie w granicach konstytucyjnych wpływ na korzyść wolności. Domaga się daléj zniesienia niepotrzebnych urzędów i zaprowadzenia oszczędności, staje w obronie prawa kongresu do polepszenia środków komunikacyi. Obok tych punktów, które z wyjątkiem kwestyi niewolniczéj oraz ostatniego, zgadzają się z wymaganiami demokracyi, znajdujemy dwa zupełnie nowe, i bardzo charakterystyczne.

„11. Że wszyscy ludzie mają naturalne prawo do części ziemi, i że ponieważ korzystanie z ziemi niezbędne jest dla życia, prawo wszystkich do niéj jest również święte jak prawo do życia”.

„12. Że grunta publiczne Stanów Zjednoczonych należą do narodu i nie powinny być ani sprzedawane jednostkom ani darowywane towarzystwom [1]), lecz przechowywane jako święty depozyt dla dobra ludu i rozdawane darmo w ilości ograniczonéj osadnikom pozbawionym ziemi”.

---

i największy wysiłek ujmującego mówcy. Po ukończeniu mowy, wielbiciele zbliżyli się doń, dziękując, kobiety całowały go ze łzami. Zadaniem jego było ocalenie związku, obrona pokoju" (Noah Brooks *Stort Studies* etc. str. 135).

[1]) W r. 1849 darowano towarzystwom kolejowym Mobile i Ohio milion akrów ziemi.

W ten sposób stronnictwo to usiłowało rozstrzygnąć dawny spór o użyciu dochodów ze sprzedaży gruntów publicznych oraz znieść nadużycia monopolistów w tym względzie.

Stosunek swój do innych stronnictw, platforma Wolnéj Ziemi tak określa:

„20. Że stronnictwo Wolnych Demokratów nie jest utworzone w celu popierania whigów ani demokratycznego skrzydła wielkiego stronnictwa kompromisu w kwestyi niewolniczéj, lecz dla zniesienia obu, i że wyrzekając się obu, jako skorumpowanych bezpowrotnie i w najwyższym stopniu niegodnych zaufania, Wolna Demokracya ma zamiar objąć rząd federalny i rządzić tak, aby ubezpieczyć prawa i interesy całego narodu".

Cel ten ziścił się wprawdzie nie zupełnie w téj formie, jak był tu wypowiedziany. Na najbliższych wyborach zwyciężyło jeszcze stronnictwo staro-demokratyczne. Pierce został prezydentem, King—wiceprezydentem [1]). Jak dalece kwestya niewolnicza w téj chwili skupiała w sobie wszystkie interesa, dowodem tego upadek ostateczny stronnictwa whigów, spowodowany przez ich niejasne i lękliwe stanowisko względem téj kwestyi. Gdy tylko występowała na porządek dzienny kwestya niewolnictwa, wszyscy południowi whigowie głosowali ze starodemokratycznem stronnictwem; część whigów przeszła do stronnictwa amerykańskiego i tylko ułamki partyi tu i owdzie występowały jeszcze samodzielnie.

W r. 1854 lepsze żywioły whigów i demokratów zgrupowały się dokoła haseł wolnéj ziemi i utworzyły partyą, która przybrała nazwę „Republikanów Narodowych", i za główny punkt programatu wystawiła wstrzymanie plagi niewolnictwa. Pobudkami, które w ten sposób przyśpieszyły zwycięstwo przeciwników niewoli, stały się ciągłe zatargi i walki w Kanzas pomiędzy osadnikami wolnymi a właścicielami niewolników i próba zniesienia kompromisu Missuryjskiego. Po daremnych usiłowaniach skierowania dawnych whigów na drogę stanowczego oporu przeciwko rozszerzeniu niewolnictwa, założyciel „Trybuny" Greely, pod naciskiem i za poradą przyjaciela i b. współpraco-

---

1) Obok tych trzech wystąpiło w tym roku jeszcze czwarte stronnictwo pod nazwą *Native American Party*, przezwane także *Know Nothings* (Nic-niewiemscy) od nazwy towarzystwa tajnego, które je wspierało. Ich hasłem była: Ameryka dla amerykanów; przeciwni byli imigracyi irlandzkiéj i wpływowi kościoła katolickiego, jaki ona za sobą pociągała. Według innych wskazówek, nazwa *Know Nothing* miała pochodzić stąd, że w platformie ich ubolewającéj nad podziałem kraju na stronnictwa polityczne i geograficzne, nic nie powiedziano o palących kwestyach dnia.

wnika A. E. Bassay'a [1]) zaproponował utworzenie nowéj partyi i dał jéj nazwę republikańskiéj a siłą pióra swego i 100,000 egzem. „Trybuny" szybko dał jéj hasłom popularność. Był to ważny punkt zwrotny w życiu wewnętrzném Stanów Zjednoczonych.

„Rozpadnięcie się stronnictwa whigów wskutek stosunku ich do kwestyi niewolnictwa, było początkiem nowego formowania się stronnictw na podstawie téj kwestyi, a to formowanie się było początkiem końca ó w c z e s n e g o Związku" [2]).

Istotnie Stany Zjednoczone przed wojną o niewolnictwo były raczéj konfederacyą państw, opartą na ich dobrowolnéj zgodzie; po niéj stały się państwem jednolitém, którego części nie mogą się oddzielić dobrowolnie, państwem, dążącém przytém coraz szybciéj ku centralizacyi politycznéj.

Wojna domowa rozstrzygnęła faktycznie i mieczem dawny nierozwiązany spór pomiędzy federalistami a anti-federalistami, spór o to, czy wszechwładztwo należy do Stanów czyli do władzy federalnéj, a ta okoliczność, że kwestya, o którą obecnie oparł się ten spór, była kwestyą niewolnictwa, tak wstrętną dla postępu i ludzkości, wpłynęła fatalnie na dalszy rozwój idei federalistycznéj.

Możnaby podać w wątpliwość, czy słusznem jest dziś zaliczanie Stanów Zjednoczonych do osobnego typu „państwa związkowego"? Teoretycy, w pojmowaniu konstytucyi tego państwa idący przeważnie za Toquevillem (który znowuż teorye swoje oparł na pismach „ojców konstytucyi"), zapominają jakiego przewrotu dokonała wojna domowa w rozumieniu téj konstytucyi. Rzec można, iż ona zabiła zasadę federalizmu. Do rozwoju téj idei brakowało jednej rzeczy, bez któréj nie mogła się stać trwałą podstawą bytu państwowego, mianowicie dostatecznie poważnego kryteryum do rozstrzygnięcia w razie zatargu pomiędzy władzą centralną a stanową.

Nierostrzygnięty spór federalistów i anti-federalistów zostawił niejasność poglądów, która nieraz zagrażała całości związku secesyonizmem.

„Rezolucye Kentuckie", zredagowane przez Tomasza Jeffersona w r. 1798 z powodu despotycznego, niekonstytucyjnego „prawa o cudzoziemcach i burzycielach", wydanego przez rząd federalny, zawierały jasno sformułowaną zasadę n u l i f i k a c y i. W punkcie piérwszym tych postanowień czytamy: „że pojedyncze stany, tworzące związek, nie są połączone pod wspólnym rządem na zasadach nieograniczonego

---

[1]) Ob. Fr. A. Flower *Hist. of the Rep. Pariy.*

[2]) Holst, Vol. IV, str. 229.

poddaństwa, lecz jedynie przez umowę w formie pod nazwą konstytucyi Państw zjednoczonych [3]) oraz jéj dopełnień utworzyły rząd ogólny dla celów specyalnych i opatrzyły go w ściśle określone pełnomocnictwa, zachowując zresztą każdemu stanowi całą masę pozostających praw co do rządu swego wewnętrznego." Wniosek stąd, że gdy postanowienia rządu centralnego wychodzą z granic wyznaczonych dlań przez konstytucyę, są one nie ważne i nie obowiązujące dla pojedynczych stanów, i że w tym wypadku „jak i w każdym innym wypadku umowy pomiędzy stronami, które nie mają wspólnego sędziego, każda strona ma prawo sama sądzić, zarówno o złamaniu umowy jako też o środkach zapobiegawczych", a gdy pojedyncze stany przychodzą do wniosku, że postanowienie rządu centralnego nie jest konstytucyjne, mogą je nulifikować t. j. nie przyjąć go na swojém terytoryum.

Pierwsze jednak zamachy na całość związku nie wyszły z obozu demokratycznego. Jednym z nich były już wspomniane Hartfordzkie konwencye; drugi wyszedł również z obozu federalistów: był to spisek w celu oddzielenia Nowéj Anglii od związku, wywołany nabyciem przez rząd demokratyczny Luizyany (1816), co zwiększało terytoryum niewolnicze.

W r. 1831 izby Karoliny Południowéj nulifikowały wysoką taryfę celną i uchwaliły środki wojenne dla przeciwdziałania próbom narzucenia jéj. Zatarg ten załatwiono drogą kompromisu. Teraz spór toczył się o kwestyę wielkiéj wagi, jednoczącą przytém całe południe. Zwycięstwo republikanów na wyborach 1860 r. i wybór Linkolna uczyniły niewątpliwém, że Północ nie ustąpi. Warunki więc do secesyi były i naglące i przyjazne. Całe Południe, wszystkie t. zw. „Stany bawełniane" ogłosiły więc oddzielenie się od związku i utworzenie nowego—pod nazwą *Confederate States of America*, na prezydenta któ-

---

[3]) Niedorzeczna nazwa polska „Stanów" powstała wskutek błędnego tłomaczenia wyrazu *State—Etat*, które tu znaczy państwo. Dziś Państwa Zjednoczone coraz szybciéj toczą się po pochyłości ku scentralizowanemu jednolitemu państwu. Dążność niwelacyjna objawia się nawet w takich czysto prywatnych prawach jak małżeństwie: kongres coraz to wprowadza nowe ograniczenia w bardzo niegdyś liberalnych prawach rozwodowych rozmaitych stanów, zaprowadził w mormońskiém państwie Utah jednożeństwo i t. p. Istniejący obecnie projekt wyrobienia wspólnego kodeksu, będzie jednym z wielkich kroków w tym kierunku. Zresztą antagonizmy ekonomiczne pomiędzy południem i zachodem z jednéj — jako stanami rolniczemi, a przemysłowym wschodem, z drugiej strony, są dziś tak silne, że niektórzy przewidują w przyszłości powstanie 3-ch rzeczypospolitych z dzisiejszych Stanów Zjednoczonych. Zobaczymy niżéj, jak ta przeciwstawność interesów objawia się w rozkładzie sił pojedyńczych stronnictw i jak ciąży na życiu politycznem całości.

rego obrany został Jefferson Davis. Jakkolwiek większość w stanach północnych była przeświadczona, że krok ten jest nie prawny, ani wszakże ta większość, ani sam prezydent, nie byli przekonani o prawie swojém użycia siły dla utrzymania całości związku, a niewiadomo jak by się złożyły okoliczności, gdyby gwałtowność z jaką rozpoczęły się kroki zbrojne, nie była przerwała wszelkich namysłów w tym przedmiocie i nie roznamiętniła obu stron tak, że wszelki kompromis stał się niemożliwym. Skoro tylko południowcy strzałami armatniemi spotkali posiłki, wysłane do fortu Summer na Erie (styczeń 1851), przez stany Nowéj Anglii, wezwano tu lud do broni a zapał był tak wielki, że w ciągu tygodnia stanęło pod bronią 300,000 wolontaryuszów, których z ogromnym entuzyazmem witała ludność miast po drodze do Washingtonu.

Wojna skupiła na sobie wszystkie interesa; zamiast walki stronnictw stanął na pierwszym planie antagonizm północy z południem, a zwycięstwo pierwszéj oddało władzę w ręce republikanów.

Wypadki wojny chwilowo zagrażały rozdwojeniem stronnictwa republikańskiego i w r. 1864 wydzieliło się zeń radykalne skrzydło, domagające się bardziéj stanowczego rozstrzygnięcia kwestyi niewolnictwa z pominięciem wszelkich kompromisów. Wszakże pomimo wszystkie przeszkody, pomimo nieszczęsną śmierć Linkolna, stronnictwo to zwycięsko przeprowadziło dzieło wyzwolenia murzynów i utrzymania jedności związku, przywracając w krótkim czasie wszystkie prawa secesyonistom, skoro ci przyjęli XIV dodatek do konstytucyi, znoszący niewolę (t. zw. „rekonstrukcyą" stanów). Nie zachwiało też jego przewagi oddzielenie się w r. 1872 gromady pod nazwą „liberalnych republikanów", głosującéj razem z demokratami za Greelym, założycielem „Trybuny".

Zaledwie jednak zostało ukończone to dzieło, zaledwie niedawni niewolnicy zostali obywatelami z prawem głosu narówni z białymi, gdy na porządek dzienny występuje nowa kwestya, coraz bardziéj z biegiem czasu dążąca do tego, aby pochłonąć w sobie wszelakie inne różnice partyjne.

Czasy następujące po wojnie domowéj, są czasami niezwykłego rozszerzania się przemysłu w Stanach Zjednoczonych. Świadczy o tém już rzut oka na rozwój kolei żelaznych w tém państwie: w r. 1830 było tylko 23 mile kolei żelaznéj w Stanach Zjednoczonych; w r. 1840 ilość ta urosła do 2818; w 1850 było już 9021; w 1860 wzrost dosięgnął już 30,635 mil a w ciągu następnego dziesiątka lat liczba ta podwoiła się.

W jednym roku 1871 zbudowano 7670 mil kolei. Rozwój ten przygotowany był przez niezwykle wysoką taryfę celną, która od r. 1824 wynosiła przeciętnie około 50% wartości towarów przywożonych a w r. 1830 wzniosła się nawet do 61,69%; późniéj chociaż obniżona stopniowo przez Clay'a do 20% (1857), ze zwycięstwem republikanów szybko wzniosła się do 48.69 (przeciętne dla r. 1868) i późniéj trzymała się mniéj więcéj na tym poziomie.

Najwięcéj wszakże wpłynęło na szybki rozwój przemysłu zniesienie niewolnictwa—a więc wytworzenie licznéj klasy robotników — i połączone z tém zwycięstwo przemysłu nad rolnictwem. Przewrót dokonany przez wojnę domową pod tym względem, można porównać ze zniesieniem praw zbożowych w Anglii.

Wszystko to razem stało się przyczyną, że na widownią polityczną wystąpił zatarg pomiędzy kapitałem i pracą w jego formie współczesnéj — jako kwestya robotnicza. Kwestya to potrącana na meetingach i wprowadzana w grę polityczną już od r. 1825, dopiéro po wojnie domowéj przybrała znaczenie rozleglejsze. W r. 1865 zgromadził się pierwszy „kongres pracy“ w Louisville (Kentucky), a w następnych latach w Chicago, Baltimore, Nowym Yorku i Filadelfii. W r. 1870 zgromadzony na większą skalę w Cincinnati, ukonstytuował się jako „Stronnictwo narodowe reformy pracy” (*National Labour-Reform Party*), które wydało swoję platformę w r. 1872, występując do walki wyborczéj i wystawiając jako kandydatów na prezydenta i wice prezydenta, Davisa i Parkera.

W platformie téj, wychodząc z zasady równości praw obywatelskich, wkłada na rząd obowiązek „ustanowienia sprawiedliwéj miary podziału kapitału i pracy, przez wprowadzenie czysto narodowego środka cyrkulacyi, opartego na zaufaniu i bogactwie narodu, wypuszczonego wprost do ludu bez pośrednictwa jakichkolwiek korporacyi bankierskich, a który ma być legalnym środkiem wypłaty wszelkich długów prywatnych i publicznych”...

Daléj idzie jeszcze parę punktów dotyczących nadużyć bankowych, następnie wymaganie zachowania gruntów niezajętych dla ludu, zmniejszenia ceł granicznych i obarczenie niemi jedynie przedmiotów zbytku, wzbronienie imigracyi Chińczyków, ośmiogodzinny dzień, a obok tego dwa żądania szerszéj doniosłości: aby środki na cele wojny i inne nadzwyczajne wydatki czerpały się z obecnych zasobów kraju, nie spadały zaś ciężarem na przyszłe pokolenia oraz reorganizacyi administracyi kraju w takim kierunku, aby usunąć ją z pod wpływu stronnictw.

Każdemu, kto jest obeznany z historyą ruchów robotniczych w Europie, dziwném się wyda owo wciąganie zagadnień finansowych w programata tego stronnictwa w Ameryce, oraz opiéranie nadziei sprawiedliwego rozkładu bogactw jedynie na wprowadzeniu lepszego środka obiegowego. Taka jest wszakże osobliwość życia ekonomicznego amerykańskiego—osobliwość, która kładzie swoje piętno wybitne i na walce obecnéj—że kwestye finansowe zajmują tu pierwsze miejsce. Niezwykłą wagę do nich przywiązywaną objaśnić może tylko częściowo fakt, że politycy tutejsi i twórcy programatów nie są zwykle ludźmi posiadającymi głębsze naukowe wykształcenie, lecz ludźmi jak tu mówią *self-made men*, t. j. samoukami z bystrym umysłem, darem spostrzegawczym i odwagą; uogólnień więc swoich nie biorą z wiedzy, lecz z osobistego, a przeto z konieczności ograniczonego spostrzeżenia.

Faktem wszakże niewątpliwym, a coraz bardziéj się ujawniającym jest ten, że ogromne skoncentrowanie kapitałów w ręku jednostek handlujących pieniędzmi, nadało specyalny charakter kwestyi społecznéj w tym kraju i wydzieliło z łona kapitalistów pewną gromadę — finansistów i wszelkich spekulantów pieniężnych, która wywiera wyjątkowy, a wysoce niekorzystny wpływ na cały przemysł krajowy.

Zarobki we wszystkich gałęziach przemysłu są tu tak wysokie, że położenie robotnika można byłoby nazwać świetném, gdyby nie nadzwyczajna niestałość pracy. Co parę tygodni niemal narażony jest pracownik na konieczność szukania nowych zarobków i wydawania na życie tego, co zaoszczędził podczas szczęśliwych dni „jab'u". Owe zaś wahania: ściskanie i rozszerzenie produkcyi, powodujące to wyrzucenie na bruk masy robotników, to świetne czasy zarobkowe, zostają w jawnéj i widocznéj zależności od wycofania z obiegu lub wprowadzenia doń ilości pieniędzy, jakichkolwiebądź (papierowych lub metalowych). Każdy to widzi, widzi, że ten ruch pieniężny znajduje się w ręku bankierów, i nie zadając sobie pracy głębszego badania przyczyn i skutków, kładzie cały ciężar kwestyi społecznej na karb téj jednéj przyczyny.

Jak dalece ludzie nawet światli i uczeni ulegają temu złudzeniu, świadczy o tém świéża praca Brooksa Adamsa [1]), który wprowadził ten czynnik do swojéj oryginalnéj filozofii dziejów, nadając mu znaczenie powszechne nawet w odległych okresach historycznych. Że

[1]) *The Law of civilization and decay*, 1896. Dowodzi on, że cywilizacya obecna zmierza ku wytworzeniu na miejscu poetycko-emocyalnego typu ekonomicznego, którego ostatecznym wynikiem są lichwiarz i farmer. Przytém we wszystkich okresach dziejowych zmniejszenie obiegu ma być przyczyną ujarzmienia robotnika i rolnika przez lichwiarza.

wszakże zła wola i nieuczciwa spekulacya bankierów wywiera potężny wpływ, naturalnie ujemny, na przemysł, za przykład tego może służyć epizod z r. 1869, gdy zgraja spekulantów pod przewodnictwem Goulda i Fiska, skupiwszy wszystkie 15,000,000 dolarów złotem, jakie znajdowały się wówczas w bankach Nowego Yorku, podnieśli w ciągu kilku dni cenę na złoty dolar z 1.30 (tak stały banknoty, wypuszczone w nadmiernéj ilości podczas wojny domowéj) do 1.60; a chociaż dalsze podniesienie ceny zostało wstrzymane przez puszczenie w obieg kilku milionów z zapasów rządowych, wszakże lichwiarze wycofali się z zyskiem 11,000,000 dolarów. Częste paniki bankowe i przesilenia przemysłowe, wynikające z raptownego ściągnięcia do banków monety obiegowéj, świadczą także bardzo dowodnie o nienaturalnéj potędze téj specyalnéj formy kapitału, a jeszcze więcéj objawia się ona w zakulisowych wpływach gromadki finansistów, na prawodawstwo, na całe życie polityczne narodu.

Jednym z takich aktów prawodawczych, pędzącym wodę na młyn bankierów i różnych lichwiarzy, było prawo z r. 1870 nakazujące wypłatę zaobowiązań państwowych w monecie (*Credit strenghtening Act*), które podnosiło cenę obligacyi państwowych, a więc wzbogacając kapitalistów, zwiększało ciężar ludu. Prawo to, równie jak inne środki finansowe, zmierzające ku temuż celowi, stało się przyczyną powołania do życia nowego stronnictwa Greenbakerów, t. j. zwolenników papiérowych piéniędzy (nazwa pochodzi od zielonego grzbietu asygnat rządowych), które ukonstytuowawszy się na konwencyi w Indianopolis, wystąpiło do walki w r. 1876. Powstałe pod wpływem idei Samuela Cary'ego i Ewings'a z Ohio, zmierzało ku temu, aby rząd wydał papiéry obligowe przynoszące mały procent (3.60), a któreby były zarazem środkiem obiegowym dla ludu i zwiększyły tak ścieśniony przez prawo 1873 r. obieg piéniędzy. Tymczasem republikanie w r. 1875 przeprowadzili nowe prawo w tym samym duchu (*Resumptionact*) [1]).

Stronnictwo greenbakrów niebawem połączyło się z robotniczém i pod wspólną nazwą: *Greenback-Labour Party* albo *National-Greenback.* Na wyborach posłów do kongresu 1878 r. stronnictwo to złożyło 1,000,365 głosów w 37 stanach i wybrało 14 kongresmanów (posłów); w roku zaś 1880 wydało platformę, zaczynającą się od słów:

„Rząd państwa powinien zabezpieczyć boskie prawo każdego robotnika do owoców pracy, dając przez to możność wytwórcom bogactw zaopatrzyć się w potrzeby dobrobytu fizycznego i ułatwienia niezbędne

1) Mianowicie, iż od r. 1879 wszystkie zaobowiązania państwowe mają być wypłacane monetą metalową, którą od r. 1873 było samo tylko złoto.

dla rozwoju umysłowego, społecznego i moralnego." Domagało się zniesienia prawodawstwa klasowego, popiérającego korporacye pieniężne, ośmiogodzinnego dnia i podatku dochodowego.

W r. 1876 wystąpiło na scenę stronnictwo prohibicyonistów, których głównym celem jest zakaz sprzedaży i fabrykacyi napojów alkoholowych we wszystkich ziemiach, zostających pod rządem Stanów Zjednoczonych, obok tego cały szereg innych dążeń przeważnie moralno-religijnych: zakaz loteryi, prostytucyi i poligamii, święcenie niedzieli, rozległe wykształcenie szkolne i szeroka tolerancya religijna; wprowadzenie sądów polubownych w stosunkach między-narodowych, oddzielenie rządu od banków, możliwie bezpośrednie wybory prezydenta i t. d. [1]).

W tym samym roku wydało stronnictwo „Narodowe amerykańskie" (*American National Party*) platformę, bardzo zbliżoną do poprzedniéj, z niewielkiemi różnicami co do polityki finansowéj. Obok innych sympatycznych rzeczy znajdujemy tu, tak rzadkie w ustach Amerykanina żądanie sprawiedliwości w stosunkach z Indyanami. W r. 1884 wystąpiło ze swoim kandydatem na prezydenta nowe stronnictwo pod nazwą „Stronnictwa równych praw", domagające się, aby kobiéty na równi z mężczyznami miały głosy wyborcze i zrównania ich praw majątkowych z męzkiemi; prócz tego polepszeń w stosunku do Indyan, środków przeciwko handlowi spirytualiami i t. p. [2]).

W r. 1887 i 1888 powstały dwa nowe stronnictwa: „Związku pracy" — jednoczące rozmaite stowarzyszenia, jak: Rycerzy pracy, Związku rolników, Greenbackers i t. d., oraz „Połączone stronnnictwo pracy", powołane do życia przez ruch w imię doktryny Henryka George'a [3]), które oba następnie zlały się w jedno ze stronnictwem ludowém w r. 1890.

Takie rozproszenie dążności, objawiające się zaraz po zakończeniu wojny domowéj i przeprowadzeniu jéj następstw, czyli „rekonstrukcyi", t. j. nadania praw politycznych zwyciężonym stanom w miarę tego, jak one przyjmowały XIV uzupełnienie konstytucyi, gwarantujące wolność i prawa obywatelskie wszystkim bez różnicy koloru, jest

[1]) Stronnictwo to złożyło w r. 1892 nie mniéj od 300,000 głosów. Na wyborach ostatnich 130,000. Ruch ten jest dosyć silny i wywiéra swój wpływ na prawodawstwo miejscowe. Są miasta i okręgi, gdzie dziś już nie wolno sprzedawać napojów alkoholowych. Popierają go energicznie kobiéty, dla zrozumiałych przyczyn.

[2]) Dziś kobiéty mają prawa wyborcze tylko w niewielu stanach.

[3]) Autora książki p. t. *Progress and Powerty*, przetłómaczonéj częściowo (tom I) na język polski p. t. „Postęp i nędza".

wynikiem rozwiązania tego zagadnienia, które było osią życia politycznego—w ciągu poprzedzających wojnę dziesiątków lat, a grupowanie się stronnictw dokoła kwestyi robotniczéj wykazuje, w jakim kierunku poczęło życie to rozwijać się teraz. Samo to rozstrzelenie sił i dążności jest bardzo zrozumiałe. Od chwili sformowania stronnictwa republikańskiego, łączyło ono w sobie zarówno te żywioły bezinteresowne i ideowe, które pragnęły zniesienia niewolnictwa jako „grzechu" przeciw ludzkości i postępowi, niemniéj jak i te, które do tego pobudził interes własny.

Teraz pierwsze zaczęły się od niéj stopniowo oddzielać, szukając nowych dróg postępu, nowych środków dla zażegnania krzywd społecznych i wad organizacyi państwowéj; drugie zaś utraciwszy pierwotny cel swego istnienia, t. j. walkę przeciwko niewolnictwu, pozbywszy się stopniowo żywiołów ideowych, staje się stronnictwem reprezentującém wyłącznie interesa jednéj klasy bankierów i przemysłowców, gdy przeciwne im interesa robotników, fermerów i wogóle ludności uboższéj grupują dokoła haseł swoich nowe stronnictwa. Już od pierwszego obioru Granta w r. 1868 nastąpiła ogromna zmiana w dążnościach i składzie osobistym stronnictwa. Dawni przywódcy jego, jak: Linkoln, Chase, Seward, Wells, którzy mieli na celu nadanie wolności i równości czterem milionom swoich kolorowych współobywateli i zwycięsko przeprowadzili to dzieło, już nie żyli. Na widownię polityczną wyszli ludzie, jak: Blaine, Conkling, Sherman, Edmunds, a cały ten okres dwukrotnéj prezydentury Granta odznacza się szalonym rozwojem spekulacyi i życia zbytkownego wśród klas zamożnych, cech, którym nadano imię „grantyzmu". Prawodawstwo przybrało zaznaczony wyżéj charakter klasowy, a takie skandale, jak np. z *Credit Mobilier* (1873)—ogromnéj spółki kolejowéj, złożonéj przeważnie z członków kongresu, którzy sami siebie obdarzali ziemią i różnemi przywilejami w drodze prawodawczéj—czyniły jasnemi dla całego ludu tajne sprężyny kierujące polityką republikańską.

Tymczasem i rozkład geograficzny sił politycznych przybrał odmienny kształt.

Na miejsce przeciwstawności dawnéj pomiędzy rolniczo-niewolniczém Południem, a opartym na pracy najemnéj przemyśle Północy (Nowéj Anglii), występuje teraz coraz wyraźniéj przeciwstawność świeżo zaludnionego przez rolników-farmerów Zachodu z tym sarym przemysłowym Wschodem, który tymczasem, z dawnéj mieszczańsko-rzemieślniczéj Nowéj Anglii, przekształcił się na fabryczno-kapitalistyczny z takim ogromnym rozrostem produkcyi, że wywóz np. w r. 1896-ym ze Stanów Zjednoczonych produktów przemysłowych,

przedstawiał sumę 228½ milionów dolarów (w r. 1895 — 183½ mil. dol.), nie mówiąc o tém, iż wszelkim potrzebom krajowym czyni zadość, gdyż wysokie cła zamykają drogę wszystkim produktom europejskim, prócz nielicznych przedmiotów zbytku.

Ów szybki rozrost kapitalizmu nie mógł naturalnie pozostać bez wpływu i na klasę robotniczą — stąd tak prędkie i potężne jéj zorganizowanie się, stąd cały szereg prób utworzenia stronnictwa robotniczego, prób, którym towarzyszył szereg rozległych doświadczeń na polu walki społeczno-ekonomicznéj.

Pierwszemi zatargami pomiędzy kapitałem a pracą były strejki 1868 roku. Późniéj w tym samym właśnie 1877 r., w którym wybór na prezydenta Hayes'a inaugurował to, co Amerykanie zwykli nazywać *era of good feelings*, t. j. rodzaj pojednawczego usposobienia między dwoma głównemi stronnictwami, wybuchła olbrzymia zmowa (*strike)* urzędników i robotników na kolejach, wynikła z powodu obniżenia płacy o $^{1}/_{10}$ część. Ruch na większéj części kolei został wstrzymany, a robotnicy wzburzeni wtrąceniem się wojska i zabiciem kilku towarzyszy w Baltimore, owladnęli Pitsbourgiem i poniszczyli tu warsztaty kolejowe; przed dwa dni mieli w ręku władzę nad miastem, którą utracili dopiéro po krwawém starciu z wojskiem. Setki ludzi zginęły przytém. Jeszcze gwałtowniejszy wybuch nastąpił w Chicago; niemniéj potężne: w St.-Louis i w San-Francisco, pomijając cały szereg mniejszych miast. Całe państwo wstrząśnięte zostało tą nową, odsłaniającą się bolesną kwestyą dnia. Jeszcze groźniejsze niemal wybuchy w r. 1889-ym wykazały, jak szybko kwestya chleba i pracy urosła na nowym lądzie do takiéj potęgi, że zagrażać zaczęła samym podwalinom bytu społecznego, wstrząsając niemi w swoich strasznych konwulsyach.

W r. 1892-im zorganizowało się stronnictwo socyalistyczne, a wystawiwszy swoich kandydatów na prezydenta i vice-prezydenta ogłosiło platformę, któréj główne punkta są: 1) pod względem społecznym: zmniejszenie godzin pracy, kontrola państwa nad kolejami i telegrafami, przejście na własność miast oświetlenia, kolei i statków miejskich, wyłączne prawo państwa wypuszczania pieniędzy, równe zarobki dla kobiét i mężczyzn; 2) polityczne: zniesienie prezydentury i senatu; przeniesienie władzy wykonawczéj w ręce biura obieralnego przez izbę posłów; proste i tajemne głosowanie; prawo głosów dla wszystkich bez różnicy płci i koloru. Stronnictwo to złożyło w roku owym 21,000 głosów, a w roku 1895 urosło do 42,954 [1]. Taki słaby

---

[1]) Na ostatnich wyborach liczba ta spadła na 33,500 głosów, podanych za

rozwój stronnictwa socyalistycznego, wobec olbrzymiéj liczby biorących udział w zaburzeniach społecznych poprzednich lat, świadczy, iż nie ono tu koncentruje żywioły niezadowolone z istniejącego porządku przemysłowego i społecznego.

W istocie klasa robotników miejskich stanowi mały stosunkowo procent ludności Stanów Zjednoczonych [1]). Nierównie liczniejszym jest ten żywioł, który zaznaczyliśmy już jako przeciwstawiający swoje odrębne interesa interesom przemysłu na wschodzie, t. j. farmerzy, zaludniający przeważnie zachód. Nie ulega wątpliwości, że interes farmera jest często przeciwstawny interesowi robotnika miejskiego; przeciwstawny przynajmniéj pozornie i wtedy, gdy polityka ekonomiczna kraju zostaje w ręku ludzi krótkowidzących.

Dla farmera pożądane są wysokie ceny na zboże, mięso i inne produkta spożywcze, które on sprzedaje; robotnik miejski, zmuszony kupować, pragnie miéć je jak najtaniéj. Farmer, przeciwnie, rad miéć jak najtaniéj rozmaite wyroby fabryczne; w interesie zaś robotnika miejskiego są wysokie na nie ceny, które dają możność utrzymać wysoką stopę zarobkową.

Robotnik więc chętnie rzuci swój głos na rzecz stronnictwa, proponującego wysoką taryfę celną, podnoszącą cenę na wyroby krajowe, również poda go za monetę drogą, gdyż otrzymując owoce pracy w postaci piéniądza, sądzi, iż dostaje więcéj siły pokupnéj, gdy ten jest droższy. Przeciwnie, farmer woli niską taryfę i tani piéniądz, gdyż on musi spieniężyć swój produkt, a im pieniądz jest tańszy, tém ceny wyższe. Przytém ceny na jego produkta regulują się nie na wewnętrznym rynku, lecz na międzynarodowym; w interesie więc rolnika jest, aby piéniądz w jego kraju zostawał w normalnym i stałym stosunku do piéniędzy innych krajów, zwłaszcza tych, które kupują produkta rolne i ustanawiają na nie ceny. Jeśli jego krajowy piéniądz jest znacznie droższy od piéniędzy tych miarodajnych krajów, to rolnik znajduje się w takiém położeniu, w jakiém np. zostaje cudzoziemiec, przybywający do Ameryki z piéniędzmi europejskiemi: pokupna siła ich upada niemal o połowę, a jeśli on, mieszkając w Ameryce, pracuje dla Europy — to zmuszony jest sprzedawać swoją pracę za tani piéniądz, a wydawać go w kraju drogim. Takie jest właśnie położenie

---

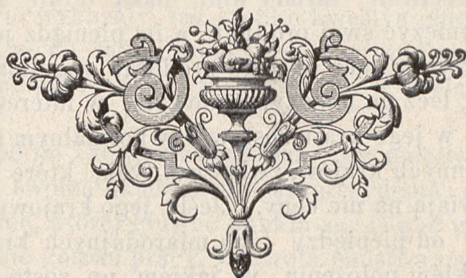
Matschetem. W porównaniu z 1,877,000 głosów tego stronnictwa w Niemczech (1893) lub 1,400,000 we Francyi (1896) jest to liczba bardzo mała.

[1]) W r. 1890 ilość robotników, zajętych w zakładach przemysłowych, stanowiła 7.53% ludności. Ludność miejska dziś stanowi około 30% całéj ludności Stanów Zjednoczonych.

farmera amerykańskiego; bo jeśli on nie sprzedaje do Europy, to sprzedaje w każdym razie według cen, ustalonych na rynku europejskim, t. j. na rynku o tanim piéniądzu i taniéj pracy.

Wprawdzie przy głębszém zapatrywaniu się na rzeczy cała ta przeciwstawność interesów okazuje się w znacznym stopniu fikcyjną, jak wogóle niedorzeczną jest logika tych panów, co chcą oprzéć harmonię i jedność całości na odpychających siłach antagonizmu jednostek. Bo pomijając już inne szczegóły, skoro dojdzie do tego, że drogi piéniądz i wysokie cła zniszczą farmera, popyt na drogie (i dodajmy — liche) produkta fabryczne miejscowe coraz się zmniejsza, fabryki zamykają się i setki tysięcy głodnych robotników zostają na bruku. Taki właśnie jest panujący obecnie tu stan rzeczy, i takie mniéj więcéj przyczyny wywołały zaburzenia, o których wspominałem. Zresztą, doświadczenie przekonało, że wysokie cła wzbogacają tylko fabrykantów, a drogi piéniądz — bankierów.

(D. n.) *Wł. M. Kozłowski.*



KATO.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.[1]

VII.

Krępic bywał w Kamionce raz, potém dwa, wreszcie trzy razy na tydzień, ale dla niego i to było zamało.

Jasna dziewczyna, która jako cudaczne dziecko tylko go zajmowała, a potém, spotkana przed pałacem Łazienkowskim w ów ranek wiosenny, sama do ranka podobna, jak na fotograficznéj płycie pozostawiła w jego sercu odbicie swéj twarzy, teraz stała się światłem jego oczu, oddechem jego płuc, wprost potrzebą życia.

Nie rozbierał swoich uczuć, nie przyglądał się im, ani mierzył ich rozmiarów i nie pytał, dokąd go one zaprowadzą, tylko kochał i był szczęśliwym, że pod bokiem Kamionki nie może żyć, bez widoku najbielszego i najświeższego z jéj kwiatów.

Panna Emilcia, bez woli i bez wiedzy, rzuciła na niego urok, zahypnotyzowała mu zmysły i myśli, ale on sobie z tego sprawy nie zdawał. Żył wspomnieniami o chwili, w któréj był przy niéj, i marzeniem

---

[1]) Patrz zeszyt kwietniowy „Ateneum" r. b., str. 39.

o téj, w któréj przy niéj będzie; czas na te chwile mierzył i było mu z tém dobrze.

Takie zapamiętanie się we własnych uczuciach i bezwzględne zapomnienie o wszystkiém co nie jest chwilą obecną, jest niezaprzeczoną własnością tylko serc bardzo młodych, albo niezepsutych.

Krępic już teraz nie myślał, że jest chłopem i że może nigdy nie dosięgnie swojéj jasnéj Lorely, nie zastanawiał się także nad wrażeniem,jakie na niéj zrobił pierwszy wybuch jego uczucia; jeden uśmiech dziewczyny, przypadkowe dotknięcie jéj rączki, lub bodaj sukienki, prowadziły go na sam szczyt zachwytu i były narkotykiem, który go odurzał.

Dla takich ludzi nie ma przeszłości i przyszłości, jest tylko wiosna, jest tylko maj—teraźniejszość. Wydziedziczeni są ci, którzy w życiu takiego maja nie mieli!

Po pamiętnéj rozmowie w łodzi na jeziorze, pierwsze spotkanie było dla obojga młodych trochę przykre.

Pannie Emilci serce uderzyło w piersi jak młotkiem, Krępic wszakże był taki poważny, taki spokojny, że dziewczyna na jedno mgnienie oka zwątpiła, czy rzeczywiście owa rozmowa miała kiedy miejsce?

Ale równocześnie, na fali wspomnienia wróciły do niéj słowa:

— Weź tego, który cię kocha...

I wątpliwość znikła.

Te słowa przez długi czas robiły na niéj dziwne wrażenie. Panna Emilcia umyślnie wybiegala do ogrodu, kryła się w największą gęstwinę i z przymkniętemi oczami, z ręką na sercu powtarzała głośno.

— Weź tego, który cię kocha.

Widziala wtedy oczy Krępica błyszczące i czegoś dziwne, widziała jak mu drżą usta, słyszała jego szept, który jéj palił twarz jak ogniem i czuła, że jéj znowu drży serce i że to drżenie obejmuje ją całą.

Potém wybiegała z cienia na słońce, zawstydzona, z rumieńcami na twarzy, zła na siebie i na niego, ale gdy wspomnienie słów Krępica poczęło blednąć, gdy wywołane, co raz mniéj ją wzruszało i wreszcie zupełnie wzruszać przestało, znowu uczuła żal, tylko teraz nie wiedziała do kogo.

Państwo Olchowiczowie przyjmowali młodego gościa z Karolówki bardzo serdecznie; pan Olchowicz dlatego, że w dzień nie potrzebował się nim krępować, a wieczorem miał przed kim żalić się na serwituty i ceny, pani Olchowiczowa dla tego, że przecie zjawił się konkurent, a konkurentów nigdy i żadna panna nie może mieć za wiele.

Ale najserdeczniéj przyjmowała go pani Marychna. Młoda kobiéta ze wzrastającym niepokojem patrzyła na stosunek matki i córki, na ich częste nieporozumienia, na tę istotną przepaść, którą między niemi prawie każdy dzień pogłębiał. Pani Olchowiczowa nie miała pojęcia o prądach, które porwały młode pokolenie dziewcząt, żyła zasadami, w których ją wychowano, wszelkie naruszenie tych zasad uważała za zbrodnię. Każdém, nawet najniewinniejszém słowem raziła córkę, tak jak córka raziła matkę.

Pani Marychna, nie otrzymawszy pozwolenia zabrania z sobą siostry i obserwując ją teraz z uwagą, doszła do przekonania, że ta jéj nierozważna, ukochana Emilcia, w chwili gwałtowniejszego rozdrażnienia będzie w stanie popełnić głupstwo, które jéj zburzy całe życie.

Otóż, jeśli już ma je popełnić koniecznie, niechże w tę niebezpieczną grę zamiast Stobickiego, wejdzie taki człowiek jak Krępic. Przynajmniéj ją kocha. Od chwili, w któréj, nie panując nad sobą, wobec wszystkich pocałował dziewczynę w rękę, pani Marychna wiedziała, że ją pokocha. Teraz to było widoczne. Przecie dość spojrzéć na niego! Prócz tego Emilcia nie ma do niego antypatyi, przeciwnie, nie tai się, że go bardzo lubi, a z czasem... I dlaczegóż zresztą, nie miałaby pokochać tego chłopaka jak topola, który umié się bawić z dziećmi, jak trzecie dziecko? Mężczyzna lubiący i rozumiejący dzieci, napewno będzie dobrym mężem i ojcem.

W taki mniéj więcéj sposób usypiała pani Marychna sumienie, które ją odrobinę niepokoiło i zręcznie, niepostrzeżenie, delikatnym swoim paluszkiem popychała tych dwoje do siebie.

A dziwny był ten jéj sposób postępowania.

Nigdy pierwsza nie rozpoczynała rozmowy o Krępicu i nigdy go nie chwaliła. Przeciwnie, ile razy była o nim przypadkowa mowa między siostrami, pani Marychna zawsze postarała się rzucić jakie słówko, które choć nie było naganą, nie było także i pochwałą młodego inżyniera.

A panna Emilcia, którą wszelka niesprawiedliwość oburzała i wyprowadzała z równowagi, nie dostrzegając powstrzymywanego uśmiechu siostry, zawsze się wtedy unosiła i wołała z gniewem.

— Nie prawda!... Sama wiész, że on jest najszlachetniejszy z ludzi jakich znasz!... On nigdy nie powiedziałby na ciebie nic złego, nigdy!... na nikogo!... On jest lepszy nawet od ciebie!

Tak, panna Emilcia czuła z głębi duszy, że Krępic jest rzeczywiście dobry, szlachetny i daleko więcéj wart niż ona i niż wszyscy mężczyźni, których naprawdę nie wielu w życiu poznała. Gdy go nie było,

a ją opadły smutne myśli, wątpliwości, niejasne pragnienia i tęsknota do swobody niczém nie krępowanéj, chyba własną wolą, coraz częściéj wtedy sobie mówiła, że z nim, jéj życie byłoby nie tylko wolniejsze, ale także szersze i w treść bogatsze. On wié czego chce, wié dokąd idzie i w co wierzy. Jego droga jest już dawno wytknięta, jest jasna i prosta. Przypominała sobie jego słowa, zawsze pewne i stanowcze jak gdyby naprzód wiedział, że ich nigdy nie cofnie i nigdy im się nie sprzeniewierzy i wtenczas myślała jeszcze, że może on przelałby w nią swoją wiarę w życie i że to pewno jest przyjemnie miéć zawsze kogoś, ktoby umiał odpowiedziéć na każdą wątpliwość. Ale gdy był, przyglądała mu się z pod oka i myślała znów -- że rodzice są jednak dla niéj mniéj obcy niż on i że to jest śmieszne, aby kobieta rzucała wszystkich i szła za takim obcym, mieszkała razem z nim i kupowała sobie suknie za jego piéniądze.

I ostatecznie, coby w jego domu robiła? Wydawałaby na obiad i tak samo jak ojcu przyszywałaby guziki. Marychna przyszywa Jasiowi także...

To ostatnie przypuszczenie nawet ją obraziło.

— Jeżeli on się tego spodziéwa, to dziękuję! — myślała z gniewem, ale gdy się spotkała z jego wzrokiem, znów nie mogła sobie wystawić, aby on zażądał od niéj przyszycia guzika, nie tylko do koszuli, ale nawet do kamizelki.

Był zupełnie inny niż Bodziewicz i niż ojciec.

Ciekawość, jeżeli mu się rozpruje żakiet, kto mu téż zeszywa?

Pewno krawiec... od czegóż zresztą są krawcy?... Na wsi do krawca daleko, ale Bodziewicz mógłby... tylko — to znów kosztuje. Oni wszyscy pracują, kobiety nic nie robią, powinny przynajmniéj oszczędzać ich pieniędzy. Zapewne... ale najlepiéj nie zaciągać żadnych długów wdzięczności i nie być zmuszoną oszczędzać w ten sposób. Ach! gdyby ona mogła sama na siebie pracować i sama wydawać! Poczciwa Marychna wzięłaby ją do Warszawy, ale czy to dadzą? Mogłaby nie wyjść za mąż, a pani Stobicka i wszystkie kumoszki z sąsiedztwa dziwiłyby się od rana do nocy!

Wzięła ją złość na kumoszki, na matkę, na Krępica, nawet na Marychnę za jéj złoty projekt i na cały świat, nic wyłączając siebie.

Po złości znów przychodziło zniechęcenie i wtenczas panna Emilcia mówiła sobie, że pan Krępic zrobiłby najlepiéj, gdyby odjechał, a ją zostawił swojemu losowi. Trochęby się jeszcze pomęczyła z sobą, a potém poszłaby za głupiego Stobickiego i byłoby dwoje głupich. Ona by wydawała jego piéniądze, a on by zaciérał dziadka karczmarza kuzynostwem ze Znamienieckimi i Łamkowskimi i byłby zupełnie

zadowolony. Pana Krępica nic nie obchodziły rody i tytuły, więc tylkoby na tym handlu stracił.

Czasami spowiadała się z tych myśli Marychnie, z tą wszakże różnicą, że prócz Stobickiego, żadnych innych nazwisk nie wymieniała. A wtenczas Marychna patrzyła na nią z trwogą i jeszcze gorliwiéj przemyśliwała, jakimby sposobem zwrócić jéj myśli ku osobie Krępica.

Tygodnie mijały. Panna Emilcia zmizerniała i stała się nadzwyczajnie drażliwą. Każda uwaga pani Olchowiczowéj wytrącała ją zupełnie z równowagi. Wybuchała wtedy albo łzami, albo gniewem, poczém uciekała do lasu, bo jeziora się teraz bała.

Wskutek prawie ciągłego przebywania na świeżém powietrzu, cera jéj się zmieniła i z różowéj stała złotawą. Krępic nie uważał, żeby ją to szpeciło, może w jego oczach nic nie byłoby w stanie tego dokazać, ale pani Olchowiczowa była innego zdania.

Porównała raz twarz i ręce młodszéj córki, z twarzą i rękami starszéj i zawołała z prawdziwą zgrozą.

— Jezus Marya, jak ta się spaliła! I co to teraz za panny, nawet o własną twarz nie dbają!

— Tak mamusiu, doszły do przekonania, że słońce nie zna różnic płci i stanu i że ma prawo opalać wszystkie skóry jednakowo.

Panna Emilcia mówiąc to, śmiała się, ale matka zmarszczyła brwi i rzekła sucho.

— Możesz te dowcipy schować dla siebie, a tymczasem bardzo cię proszę, żebyś mi po słońcu nie chodziła i codzień myła się boraksem

Teraz panna Emilia zmarszczyła brwi, zupełnie tak samo jak matka i odparła z hamowaném oburzeniem.

— Mogłaby mamusia choć tyle mieć dla mnie względu, żeby mię uważać za człowieka, nie za towar do haremu.

Pani Olchowiczowa zaczerwieniła się.

— To znaczy, że twoja matka i siostra były towarem do haremu. Dziękuję ci. Jesteś bardzo dobrą córką i siostrą, ale pomimo to, prosiłabym cię, żebyś twój sąd o nas zachowała dla siebie i nie zapominała się tak często!

— Nie zapomniałabym się nigdy, gdyby mi nie przypominano co chwila, że jestem wystawiona na sprzedaż. Mama wié, że mię to najwięcéj boli... mama naumyślnie...

Panna Emilcia wybuchnęła płaczem, zerwała się i wybiegła a w téjże chwili przed domem zaturkotało.

— Pani Stobicka z panem Józefem — zawołała Bodziewiczowa, wyjrzawszy przez okno.

— Co? Stobicka? Moja droga biegnij no po Emilcię i przychodźcie obie, tylko ją trochę ogarnij. Dopiéro czwarta godzina, ciekawa jestem, po co ona o téj porze przyjechała? Idź no ogarnij Emilkę, moje dziecko!

Pani Olchowiczowa zapomniała o nieporozumieniu i o skargach, które zwykle wylewała przed starszą córką, poprawiła na głowie czarną koronkę, wyprostowała się i z miną prawdziwéj matrony weszła do salonu, do którego w téjże saméj chwili wchodziła drugiemi drzwiami pani Stobicka z synem.

Powitały się wzajemnem pocałowaniem w ramię, przyczém pani Stobicka dygała coraz, coraz niżéj, zupełnie jak gdyby miała ochotę kucnąć na ziemi. A pan Józef najpiérw schylił głowę, potém zgiął łokieć i podniósł go w górę, o ile się dało, wreszcie ująwszy rękę gospodyni domu, złożył na niéj pocałunek. Następnie obie panie usiadły na kanapie i pani Stobicka, otarłszy chustką pot z twarzy, tak zaczęła.

— Szanowni państwo zawsze o nas pamiętają, ale panna Emilia nie bardzo lubi tańczyć, więc byłam w obawie czy czasem co nie przeszkodzi i umyślnie przyjechałam się dowiedzieć. Czy możemy mieć nadzieję, że na dwudziestego lipca państwo będą na nas łaskawi?

Gospodyni uśmiechnęła się uprzejmie i zapewniła, że o świętéj Marcie nikt w okolicy nie ośmieliłby się zapomnieć, a pani Stobicka spojrzała wtedy na syna i mówiła znowu.

— Bo to widzi szanowna pani, ja nawet nie mam wiele czasu; zabawa pojutrze, szynki trzeba gotować, baby piec, w pokojach porządki — szanowna pani rozumié co to tartasu przed takim zjazdem. Ale Józiek mi nie dawał spokoju, tylko — niech mama jedzie i niech mama jedzie! Młodzieży będzie huk, więc jakżeż by mogło być, żeby najładniejszéj panny brakowało.

— Pani zanadto łaskawa — rzekła na to gospodyni — moja Emilcia nie ma wcale pretensyi do najpiękniejszéj i wiem...

— Co tam pani wié! Najpiękniejsza jest i najrozumniejsza, a jeżeli tam kiedy kto co powié, to niech szanowna pani nic sobie z tego nie robi, bo to z zazdrości. Pewno taka z matek, co ma córki gęsi! Ja mam samych synów, to się tych plotek nasłucham, bo co liszka, to swój ogon chwali, a cudzy gani. Tak!

Odetchnęła pani Stobicka, znowu twarz z potu otarła i zaczęła się oglądać na drzwi. A pan Józef się nie odzywał, bo jak siedział, to

mu ręce zawadzały i nie umiał wtenczas mówić, ale na drzwi także się oglądał.

Gospodyni to spostrzegła i już zaczynała brwi marszczyć, gdy naraz weszły obie oczekiwane, pani Bodziewiczowa z uśmiechem, panna Emilia bez uśmiechu.

Nastąpiły nowe powitania, przyczém panna Emilia zauważyła w duszy, że matka i syn wyglądają jak karlsbadzkie andruty, albo jak księżyce w pełni, co zresztą na jedno wychodzi, i usiadłszy postanowiła nic nie mówić.

Powtórzono zaproszenie, pan Józef wstał i zrobił uwagę, że panna Emilia nie jest łaskawą na okolicznych tancerzy, ale może zachęci się tém, że będzie młodzież z Warszawy, na co panna Emilia odrzekła, że to jest jéj wszystko jedno i że tańczyć w lecie mogą tylko wyjątkowi amatorzy, poczém nie odzywała się już przez cały ciąg wizyty, pomimo, że pan Józef wciąż stał, co było dowodem, że może i ma ochotę mówić.

Gdy odjechali, pani Olchowiczowa zaczęła zasięgać rady starszéj córki, czém przybrać suknię Emilki, ale panna Emilka się podniosła i stanąwszy we drzwiach, jakby w pogotowiu do ucieczki, rzekła:

— Ja, proszę mamusi, nie pojadę na bal.

— Jest, znowu coś nowego! Już jéj nic nie przypominałam, sama odświeżyłam suknią i teraz mam nagrodę — grymasy! Czy przynajmniéj wolno matce, spytać wielkiéj córki o przyczynę takiego postanowienia?

Pani Olchowiczowa aż zbladła ze wzburzenia, przygryzała usta w obawie by nie wybuchnąć, bo to mogło utwierdzić córkę w uporze, ale w tonie jéj mowy było szyderstwo, które rozdrażniło pannę Emilcię.

— Dlatego, że ja się nie umiem bawić na balach i mamusia wié o tém. Bale wyglądają jak targi, na których matki prezentują gołe plecy swoich córek, a ja się uważam za człowieka, nie za towar i ani za pana Stobickiego, ani za nikogo nie pójdę.

Wypowiedziała to jednym tchem, poczém zniknęła za drzwiami. A pani Olchowiczowa długo stała ogłuszona, z oczami jakby przygwożdżonemi do owych drzwi, wreszcie ręce do głowy podniosła, upadła na krzesło i rozpłakała się.

— Boże! za co mię tak karzesz mojém własném dzieckiem! — jęczała.

Pani Bodziewiczowa uspakajała matkę jak mogła; dowodziła, że Emilcia musi być chora, że się jeszcze namyśli, że ona sama będzie namawiała, ale że teraz trzeba ją koniecznie zostawić w spokoju.

Tymczasem z góry już widać było powiedziane, że ten dzień będzie dla panny Emilci pamiętny.

Ojciec spotkał ją w ogrodzie zapłakaną, a gdy się tłómaczyła, bólem głowy, zabrał ją z sobą do domu i wystąpił do żony z kazaniem, — że się nią raz porządnie nie zajmie, do roboty nie zasadzi, że na czytanie pozwala i że książki przyprawią ją w końcu o prawdziwą chorobę.

Wziął z rąk córki szary tomik i rzucił go pogardliwie na sofkę, przyczém okładka się odwinęła i na pierwszéj stronie, zdaleka zaczerniały wielkie litery tytułu: — Darwin i jego teorya.

Wtedy Olchowicz oczy zmrużył, zbliżył się do sofki, wziął książkę i tu—zahuczał jak grzmot.

— Toś ty taka córka matki zacnéj i religijnéj?... To ty się takich rzeczy uczysz?... To ty...

Zakrztusił się z wielkiego krzyku, przerażona dziewczyna cofnęła się do drzwi, a pani Olchowiczowa i Marychna ujęły go za ręce i próbowały uspokoić. Napróżno! Otwartą książką trząsł przed oczami żony i poprostu ryczał.

— Patrz! przyjrzyj się, Darwina czyta!... Twoja córka czyta Darwina!... kobieto!

Przed oczami pani Olchowiczowéj, bal u państwa Stobickich walił się w gruzy, ale ona czepiała się jeszcze resztek nadziei.

Ujęła męża za rękę i rzekła najłagodniéj, jak mogła.

— Mój Emilku, ona tego nie rozumié, daj jéj pokój!

— Co? ona nie rozumie, że człowiek pochodzi od małpy, że człowiek jest bydle, że po śmierci tak samo zgnije jak szkapa?... Co ty mi tu będziesz gadała... takaś matka?!

Znowu się zakrztusił, czerwony jak purpura siadł, sapał, i wysapawszy się, kiwnął po chwili palcem na córkę.

Zbliżyła się i o kilka kroków stanęła, a on ustroił twarz w powagę, utkwił oczy w dziewczynę i uroczyście tak mówił.

— Wiédz, że kobieta bez religii, to potwór. Mężczyzna bezwyznaniowy, ma jeszcze honor, a kobieta co ma?... Nic! rozumiész... nic!

Lecz tu pana Emilia głowę podniosła i śmiało spojrzała ojcu w oczy.

— To nie prawda proszę ojca! Kobieta ma także honor, czasami nawet lepszy od honoru mężczyzn, a brak religii jeśli jest nie nieszczęściem tylko zbrodnią, to jest téż i zbrodnią u mężczyzny. Przynajmniéj przed Bogiem, nie ma już ustępstw na rzecz silniejszych i ja w to tak wierzę, jak wierzę w Boga!

Olchowicz patrzył na nią swemi wypukłemi oczyma, które teraz miały wyraz oczu karpia wyrzuconego na piasek, otworzył usta i mrugał, a w końcu machnął ręką z lekceważeniem i idąc z nieszczęsnym Darwinem do swojéj kancelaryi, mówił:

— Ty sobie miéj swój honor, kiedyś taka mądra, a ja tymczasem pozamykam wszystkie książki i basta! Dosyć tego dobrego!

Gdy wrócił, panny Emilci już nie było. Przebiegła salon i werendę, wpadła w szpaler, z rączkami zatopionemi we włosach biegła prosto do jeziora i łkając upadła na darniową ławeczkę w altanie.

Nie widziała i nie słyszała nic, zanosiła się od płaczu i tak ją tu zastał Krępic.

Zdziwiony i wystraszony stał nad nią i miał w piersiach burzę.

— Co zrobili temu dziecku? — myślał z żalem — co ono komu winne? Czemu nie wolno mu jéj uspokoić tak, jakby pragnął i umiał?

Zdjęła go do tego taka niezwalczona chęć, że ukląkł przy dziewczynie, wziął w dłonie jedną z jéj zaciśniętych rączek i począł mówić jak do dziecka.

— Panno Emilciu, co pani?... Co się stało?... Zaufaj mi, a będzie ci lżéj... Ja cię zrozumiem dziecino, tylko mi zawierz, tylko mi powiédz wszystko!

Nie przelękła się, ani żdziwiła. Spojrzała na niego przez łzy, a potém się podniosła i siedząc patrzyła mu w oczy tak, jakby go o co chciała pytać.

Zrozumiał ją.

— Mów pani wszystko, ja ci odpowiem szczerze na każde pytanie, tylko mów!

A gdy nie odbierała mu ręki, wziął jeszcze drugą i ogarniał dziewczynę wzrokiem, w którym była jego cała dusza. Ona zaś westchnęła ciężko kilka razy, poczém zaczęła mówić głosem przerywanym przez płacz i zmęczenie.

— Czy... czy panby mi nigdy... nigdy nie zabraniał czytać?

Krępic zadrżał, zerwał się i usiadł przy niéj.

— Nigdy!—wyrzucił z siebie i cały się zamienił we wzrok, w słuch i w oczekiwanie.

— I czy... czy pan by nigdy... nigdy nie kazał mi tak jak niektórzy mężowie... jeździć na bale i... nosić wycięte suknie?

Na usta Krępica miał ochotę wybiedz uśmiéch, ale chłopak zatrzymał go w połowie drogi.

— Nigdy! — rzekł głosem bardzo pewnym.

— I panu byłoby wszystko jedno, czy ja się opalę, czy nie?... I pan zawszeby mię uważał za człowieka, nie za lalkę od pokazywania?...

— Za człowieka najdroższego ze wszystkich ludzi na świecie! — wybuchnął i przypadł ustami do jéj rączek.

A ona wtedy poczęła mu się przyglądać trochę ciekawie, a trochę ze wzruszeniem i rzekła.

— To będę pańską żoną.

Spodziewał się tego słowa, czuł je wokoło siebie, a jednak gdy już padło, ciężar szczęścia go przygniótł. Odjął jéj obie rączki od swoich ust i jak człowiek oślepiony zanadto silném światłem, zakrył sobie niemi oczy.

Długo siedzieli milcząc, jedno szczęśliwe, drugie żdziwione szczęściem tamtego, poczém on zaczął mówić, a mówił cicho, jakby się bał, że jego słowa coś spłoszą.

— Powiédz mi najdroższa, — pytał — dlaczego płakałaś? Ja teraz mam do tego prawo, bo mi je dałaś sama. My teraz nie możemy miéć tajemnic przed sobą. Ty mi powiész wszystko i ja tobie będę mówił wszystko, co się mnie dotyczy.

Więc ona zaczęła mu powiadać o swoich wielkich zmartwieniach i przykrościach, przyczém, sama nie wiedząc jak i kiedy oparła mu zmęczoną główkę na ramieniu.

Miał ochotę otoczyć ją ręką i przygarnąć do siebie, ale siłą woli się powstrzymał. Nie powinien był płoszyć jéj pierwszego zaufania.

A gdy skończyła i umilkła, nachylił się nad jasną główką, dotknął ustami lnianych włosów, przysiągł sobie, że już odtąd nikt i nigdy nie zrobi jéj przykrości i począł przed nią roztaczać obraz życia, które na nich czekało.

Było w niém dużo obowiązków, poświęceń, kto wié? może ofiar, ale było przytém tyle uczucia obejmującego i małe i duże horyzonty, że szary obraz zajaśniał przed wzrokiem dziewczyny, jak tęcza.

Uczuła, że wszystkie burze, niepokoje i wątpliwości kładą się w niéj jak do snu i słuchała z przymkniętemi oczami coraz spokojniejsza i coraz cichsza.

Nagle tęcza prysła.

— Emilciu!—zabrzmiał głos pani Bodziewiczowéj.

Zerwali się. Ona zaczęła biedz naprzód, a on szedł za nią i mówił sobie:

— To moje.

A po chwili szli już we troje: Krępic z głową podniesioną wyżéj, niż zwykle, jak tryumfator, panna Emilcia zamyślona, pani Bodziewiczowa zdziwiona spokojem siostry.

Rozmawiali o rzeczach obojętnych, lecz rozmowa się nie kleiła, bo młodym słowa z ust niechętnie wychodziły, a prócz tego, pannę Emilcię nagle opanowała myśl, co będzie, gdy rodzice i siostra dowiedzą się o jéj postanowieniu?

Trochę jéj było wstyd Marychny, a rodziców się bała. On taki otwarty i szczery, pewno się przyzna odrazu do wszystkiego, i z głową podniesioną do góry, spokojnie oświadczy: oto moja narzeczona!

A jeżeli wtenczas ojciec zacznie krzyczéć, a matka powié, że za chłopa córki nie wyda i spojrzy na niego tak zimno, jak to ona umié? Jéj mogą to wszystko powiedziéć, ale jemu nie, nie! za nic w świecie! Czuła, że gdyby w jéj obecności zrobiono mu podobną przykrość, ona miałaby wrażenie, że jéj gorący ocet leją na otwartą ranę, uniosłaby się i nie wiadomo, coby wtenczas powiedziała, albo zrobiła. Nie można do tego dopuścić, musi się wpierw z nim porozumiéć, a może najlepiéj powiedziéć odrazu Marychnie?

Najlepiéj... ale kiedy jéj wstyd... Trzeba wpierw oswoić się z tą myślą, poczekać chociaż parę dni, a teraz nie pozwolić na żadne wyjaśnienia.

Nie odstępowała Krępica, gotowa powstrzymać go wzrokiem, gdyby chciał mówić, ale ciągle była pod wrażeniem strachu i tu w ogrodzie i późniéj w pokoju i przy kolacyi. Od czasu do czasu spoglądała na niego z trwogą, on jéj wtedy odpowiadał spojrzeniem, z którego było widać, że jest szczęśliwy, ale jak postanowił działać, nic tym wzrokiem nie mówił.

Gdy wstali od kolacyi, schwyciło ją nagłe przeczucie, że pewno teraz, gdy przejdą do salonu, a ona będzie sprzątała ze stołu, wszystko się odkryje. Zlękła się tak, że aż nogi się pod nią ugięły i nagle — przyszła jéj do głowy myśl, która jeszcze mogła wszystkiemu zapobiedz. On właśnie się do niéj zbliżał, żeby jéj uścisnąć rękę po kolacyi, więc szybko cofnęła się aż do kredensu, w sam róg pokoju i stawiając na półkę puszkę z herbatą, szepnęła gorączkowo:

— Zaczekaj pan dziś na mnie w altanie—koniecznie!

Spojrzał na nią zdziwiony i wolno odszedł, a ona odetchnęła jakby z niéj zdjęto stufuntowy ciężar.

— Tak, to będzie najlepiéj. Pomyśli spokojnie co zrobić i powié mu. Potém naradzi się jeszcze z Marychną—tylko nie dziś, może jutro...

Posprzątała ze stołu, zamknęła kredens i już zupełnie spokojna, przeszła do saloniku. Ojciec właśnie opowiadał o drylu, który świéżo nabył, a on słuchał, ale tak wyglądał, jakby nie słyszał nic. Co chwila zwracał na nią oczy, w których był teraz niepokój i jakby pytanie.

Wcześniéj niż zwykle, Krępic pożegnał się dzisiaj i poszedł przez ogród do swojéj łodzi, a wtedy Olchowicz ziewnął, rzekł, że to jest bardzo przyjemny chłopak, że takie bezceremonialne wizyty są najprzyjemniejsze, bo można się ugadać i iść spać o swojéj godzinie; poczém zaczęto się rozchodzić.

Obie siostry poszły na górę, ale panna Emilia, zamiast się rozbiérać, chodziła, sprzątała i była jakaś taka dziwna, że aż pani Marychna, zaczęła jéj się przyglądać i wypytywać, co jéj jest?

Panna Emilcia zaczerwieniła się pod jéj wzrokiem, uparcie powtarzała, że jéj nic nie jest i potém nie patrząc na nią, rzekła, że jeszcze musi iść do ogrodu, bo zostawiła w altanie chustkę do nosa i kapelusz.

Wstydziła się, że kłamie, nie śmiała jéj spojrzéć w oczy i przyrzekła sobie, że gdy wróci, powié wszystko. Już była we drzwiach, gdy nagle, jakby chcąc zupełnie uspokoić sumienie, odwróciła się i rzekła:

— Połóż się, Marychno, ale nie śpij, bo jak wrócę, powiem ci coś bardzo ważnego.

I wybiegła.

A w ogrodzie zdjął ją strach. Noc była gwiaździsta, lecz bezksiężycowa. Drzewa i krzewy miały kolor czarny, wyglądały jakby kryły w sobie jakąś tajemnicę i patrzyły na nią nieufnie. Przytém było tak cicho, jakby wszystko czekało na coś nadzwyczajnego i wstrzymało oddech, by lepiéj słyszéć.

— Czy też on jest jeszcze, czy też nie mógł się doczekać i odjechał? Jeśli jest, co też sobie myśli?... Chyba nic złego, bo przecież ją zna...

Biegła szybko, serce tłukło jéj się w piersiach, a myśli ciągle się zmieniały i niepokoiły ją.

— Sama — będzie z nim sama w nocy... Dawniéj nie byłaby się bała, ale teraz... Podobno wszyscy mężczyźni są w niektórych razach jednakowi... każdy korzysta ze sposobności... Może będzie ją chciał pocałować? Ale nie! on jest inny niż wszyscy. Gdyby nawet tacy poważni ludzie myśleli o głupstwach, to już byłoby źle... Ciekawość, co też może być nadzwyczajnego w takim pocałunku?... Marychna raz się śmiała i powiedziała, że nie wierzy, aby narzeczeni się

nie pocałowali, jeśli się bardzo kochają, że to przychodzi samo z siebie i że niepodobna się ustrzedz. Mama znów utrzymuje, że to dowodzi złego wychowania, bo jak się małżeństwo zerwie, to potém nikt pannie nie odejmie obcałowania. Kto wié, czy pomimo braku logiki, nie ma w tém ostatniém trochę prawdy... ale co się też wtenczas czuje?... Gdy ją pocałował w rękę, pierwszego dnia przy wszystkich, to nic nie czuła, ale wtedy w altanie było jéj jakoś dziwnie. Widocznie, pocałunki są różne i gdyby on teraz chciał... ale nie, i on nie będzie i ona nie będzie chciała. To jest zanadto głupie, oni będą inni niż wszyscy.

Zadyszana wbiegła do altany. Krępic był i czekał i zaraz począł ją wypytywać, co ma mu do powiedzenia.

Głos mu trochę drżał, bo przez tę godzinę spędzoną samotnie i w oczekiwaniu, przesunęło się przez jego głowę Bóg wié co. Najprawdopodobniejszém to mu się wydawało, że ona się rozmyśliła i że mu chce o tém powiedziéć jaknajprędzéj, żeby się nie łudził. Cierpiał tak, w téj niepewności, że już zaczął w końcu pragnąć najgorszego, byle prędzéj.

A ona tymczasem, zobaczywszy go, dopiéro teraz sobie przypomniała po co przyszła i zaraz zaczęła opowiadać, jak się bała, że on jeszcze dziś powié wszystko rodzicom i jak go chciała prosić, aby się wpierw naradził z Marychną, bo rodzice są czasami trochę dziwni, ogromnie zwracają uwagę na różne formy i mogliby mu bezwiednie zrobić przykrość.

Wtedy jego ogarnęła szalona radość. Nie odpowiedział jéj, tylko począł ją całować po rękach i śmiał się ze szczęścia tak, że aż ona zaczęła się śmiać razem z nim i nic się nie bała.

— Z czego pan taki zadowolony? — pytała, odbiérając mu ręce, które on miał widocznie ochotę pozjadać—czy z tego, że ja przez cały wieczór użyłam tyle strachu? Myślałam, że pan lepszy!

— Ależ nie, nie!—wołał wesoło.—Ja się śmieję z siebie, bo mnie tu Bóg wié co chodziło po głowie. Pani ani przypuszcza co, a ja też nie powiem, żeby nie wymówić w złą godzinę.

Pociągnął ją na ławeczkę, na którą po mimowolném zawahaniu się usiadła i począł teraz mówić, że on jaknajdłużéj chowałby swoje szczęście w tajemnicy przed całym światem, ale że za parę dni kończy mu się urlop, że musi wyjechać i że dlatego postanowił prosić pana Znamienieckiego, aby zechciał pomówić o nim z jéj rodzicami. Wié, że oni nie bardzo chętnie się na to zgodzą, bo przecie takiego skarbu nie mogą oddać pierwszemu lepszemu, a jego nie bardzo znają; ale ufa,

że uwierzą w jego wielką miłość i że może za wpływem pana Znamienieckiego nie będą się długo opierali.

Blask od jeziora padał na jasną główkę i sukienkę dziewczyny i na czarną głowę mężczyzny, zapatrzonego w nią, jak w szczęście.

Mówili jeszcze o pani Marychnie i o tém, że trzeba jéj koniecznie wszystko powiedzieć jeszcze dzisiaj, a potém panna Emilcia się podniosła i powiedziała, że już musi wracać.

Ale Krępic nie chciał jéj puścić.

— Nie, nie, jeszcze chwileczkę—powtarzał—co pani szkodzi, że ja przez pięć minut dłużéj popatrzę na mój raj?

I zaraz począł na nią tak patrzéć, że choć było ciemno, uczuła w sobie niepokój i zerwała się.

— Nie można, już późno; jutro pan znowu zobaczy swój raj czy maj, czy może wiosnę; a teraz dobranoc.

Żartowała, by pokryć niepokój i nie podając mu ręki, zwróciła się ku domowi.

— Jakto, nawet mi pani nie poda rączki—zawołał za nią—czyż teraz mam posiadać mniéj praw, niż dawniéj?

Dosłyszała w jego głosie wymówkę i smutek. Więc stanęła i wyciągnęła rękę; ale gdy zaraz potém chciała mu ją wyrwać i uciekać, on ją przytrzymał i począł okrywać pocałunkami, delikatnemi jak dotknięcie kwiatu.

Wtedy uczuła znowu, że jéj serce zadrżało, że to drżenie ogarnia ją całą i nie uciekała, bo ją nagle zdjęła szalona ciekawość. Była na siebie zła, ale stała, a on wtenczas sięgnął po drugą rękę, całował obie, coraz, coraz mocniéj, aż w końcu pociągnął dziewczynę ku sobie i objął ramieniem.

Dojrzała wtenczas, że mu oczy dziwnie błyszczały, uczuła jego oddech na swojém czole i nagle, jakby odepchnięta niewidzialną siłą, wyrwała się i uciekła.

Gdy mu znikła, Krępic się zatoczył jak pijany, wsiadł w swoją łódkę, pół nocy spędził na jeziorze, a nazajutrz rano udał się do gabinetu pana Znamienieckiego i trochę nieśmiało przedłożył mu swoją prośbę.

Lecz pan Znamieniecki nie okazał wielkiego zdziwienia. Przeciwnie, nawet się przyznał, że oddawna tego się spodziewał; powiedział, że jeśli panna Emilia jest podobna do Bodziewiczowéj, to mu tylko można powinszować i przyrzekł, że jeszcze dziś pojedzie do Kamionki i pomówi z Olchowiczami.

— Dobrze pan zrobiłeś—kończył—żeś mnie tę misyę powierzył, nie dlatego, żeby to miało wpłynąć na sam rezultat, ale że to ich le-

piéj usposobi, bo Olchowicze są trochę zacofani i bardzo przywiązani do dawnych tradycyi. Jestem pewny—dodał z uśmiechem — że pan bardzo urośniesz w ich oczach, właśnie dlatego, iż posiadasz znajomość starych form i zwyczajów.

Mówił miarowym głosem, jak zwykle i nawet nie położył pióra, które trzymał w ręku; ale gdy Krępic począł mu dziękować, popatrzył na niego uważniéj i wstał.

— Widzę, żeś pan bardzo zaatakowany — rzekł — i że młodość zawsze będzie żyła wiarami i złudzeniami. Niech panu los da tyle szczęścia, ile pan go jesteś wart. Życzę z duszy.

Uścisnął mu rękę silnie, a potém zaczął chodzić po pokoju zamyślony.

— Wolałby, żeby Zygmunt tak przyszedł do niego — pomyślał Krępic i aby sobie skrócić czas, poszedł do biblioteki czytać.

A w Kamionce nie oczekiwano dzisiaj żadnych nadzwyczajnych wypadków, pomimo że pani Marychna była jakaś zamyślona, a nawet niespokojna i często coś szeptała z siostrą.

Pani Olchowiczowa domyślała się, że to mowa o balu u państwa Stobickich, nie przeszkadzała córkom, z kawałków staréj materyi fabrykowała nowe krawaty dla męża i zięcia i trochę niespokojnie oczekiwała rezultatu tych szeptów. Pan Olchowicz, jak zwykle, po obiedzie położył się na drzémkę i chrapał na tony nader urozmaicone i tak ich zastał Znamieniecki.

Pomimo dalekiego pokrewieństwa i bliskiego sąsiedztwa, właściciel Karolówki bywał w Kamionce rzadko, bowiem wogóle bywał mało i skutkiem tego jego wizyty były cenione. Aby w niektórych okolicach na wsi uzyskać patent na arystokracyę i być pożądanym, trzeba tylko niezbyt często odwiedzać sąsiadów.

Pani Olchowiczowa, dowiedziawszy się o przyjeździe kuzyna, podniosła gwałt. Wysłała obie córki aż do przydpokoju, kazała obudzić męża, a sama zrzuciwszy szlafroczek, włożyła świéżo uprasowaną suknię i nową koronkę.

W pokoju bawialnym zastała już wszystkich zebranych i żdziwiła się, że córki ledwie ją zobaczyły, podniosły się i wyszły. Ale żdziwienie jéj wzrosło, gdy dostrzegła, że Znamieniecki jest ubrany jak na pierwszą wizytę, wreszcie doszło do kulminacyjnego punktu, gdy pocałowawszy jéj rękę, od razu zapowiedział, że przyjechał w misyi bardzo poważnéj.

Usiadła trochę zatrwożona, ale więcéj ciekawa i utkwiła oczy w twarzy gościa, Olchowicz uczynił to samo, poprzednio nos utarłszy,

a gość rzucił wzrokiem na swoje paznogcie i bez uśmiechu oraz wstępu, rzekł:

— Kolega i przyjaciel mojego syna, pan Andrzéj Krępic, za mojém pośrednictwem prosi was, szanowni kuzyni, o rękę waszéj córki, panny Emilii.

Milczenie. Pani Olchowiczowa zaczerwieniła się, uniosła trochę na kanapce i znów siadła, pan Olchowicz szerzéj, niż zwykle, otworzył oczy i usta i patrzył na żonę, to na gościa i zrobiło się w pokoju tak cicho, że niemal można było słyszéć bicie serc dwóch sióstr, przytulonych do siebie, na kanapie, w sąsiednim pokoju.

Wtedy pan Znamieniecki powiódł oczami po twarzach gospodarzy i rzekł miarowo:

— W moim dzisiejszym obowiązku nie leży udzielanie rad, jednakże życząc państwu dobrze, muszę powiedziéć, że gdybym posiadał córkę i gdyby ona powzięła sympatyę dla takiego człowieka, jak pan Krępic, to miałbym o niéj wysokie wyobrażenie i oddałbym mu ją bez wahania.

— Racya, święta racya!—zachuczał na to gospodarz i wyciągnął do gościa rękę. — Nie ma jak fach w garści i jeżeli tylko Emilcia się zgodzi... Emilka!

Ale tu pani Olchowiczowa mu przerwała.

— Czekaj! — rzekła porywczo, poczém zwróciła się do Znamienieckiego.—Opinia szanownego kuzyna i jego pośrednictwo w téj sprawie, mówią wiele na korzyść pana Krępica, ale pomimo to ani rodzina tego pana, ani jego majątkowa pozycya, nie są wcale nadzwyczajne. Emilcia ma dopiéro ośmnaście lat i choć rzeczywiście, przez te dwa lata jak bawi w domu, nie miała dużo partyi, to nie dowód, by potrzebowała chwytać taką, jaka się zdarza. Nie jest przyzwyczajona do mierności, a pan Krępic nie może jéj ofiarować nic więcéj.

Gospodarz popatrzył na żonę wytrzeszczonemi oczami, potém zwrócił wzrok na gościa i jakby stamtąd zaczerpnąwszy natchnienia, zahuczał znowu:

— Rodzina głupstwo! jak postęp to postęp! Ja nawet wolę porządnego chłopa, niż takiego karczmarza szachraja, jak ojciec Stobickiéj. A pozycya?... a cóż to, czy to on nie może zostać dyrektorem, administratorem, albo reprezentantem? Czy to Zygmuntowi źle? Ile on ma teraz ten twój Krępic, kuzynie?

Znamieniecki przyglądał się obojgu państwa Olchowiczom z pewnego rodzaju skrzywieniem ust, które tak dobrze mogło oznaczać szyderstwo, jak i znudzenie lub niesmak i na zapytanie gospodarza odparł, że nawet dobrze nie wié, jaką Krępic ma pensyę, ale że prawdo-

podobnie musi mieć na utrzymanie żony, jeśli się chce żenić i że jemu, to jest Znamienieckiemu, zdaje się, że tu może należałoby się przedewszystkiém zapytać o zdanie panny Emilii.

— Racya! — zgodził się natychmiast Olchowicz, któremu najwidoczniéj było pilno i nie czekając krzyknął—Emilka!

Znamieniecki aż drgnął i z podziwem spojrzał na pierś gospodarza, która umiała na taki głos się zdobyć, a w tém weszła panna Emilia z panią Marychną i nie puszczając ręki siostry, do ojca się zbliżyła i stanęła.

— Kuzyn Znamieniecki—zaczął wtedy Olchowicz tonem uroczystym—prosi nas o twoją rękę dla pana Krępica. Cóż, chcesz tego pana, czy nie chcesz? Gadaj, a szczerze!

— Tak, ojczulku, chcę. Pan Krępic wie o tém i w przeciwnym razie nie prosiłby was o mnie.

Dziewczyna powiedziała to wyraźnie i choć miała wielką ochotę albo uciec, albo przynajmniéj opuścić rzęsy, wytrzymała wzrok rodziców i Znamienieckiego do końca.

A Olchowiczowi teraz stanęły łzy w oczach. Schwycił głowę córki w obie ręce, całował ją i mówił:

— To ci panie zuch dziewczyna, ani się zająknęła! Ten tego—za mąż nie pójdę, aż tu i jest zięć i do tego fachowiec. No, ruszaj do matki!

Popchnął ją w kierunku kanapy, gdzie pani Olchowiczowa oszołomiona, z pełną głową porwanych myśli — sto rubli miesięcznie, syn chłopa, wnuk karczmarza, fachowiec, Znamieniecki dałby córkę — nachyliła się i pocałowała pannę Emilię w głowę.

Ceremonia została skończona, ku wielkiéj zdaje się uldze swata i narzeczonéj. Zdecydowano jeszcze, że Krępic może przyjechać podziękować, ale że o ślubie, a stało się to na wyraźne żądanie pani Olchowiczowéj—wtedy dopiéro będzie mowa, gdy narzeczony dostanie odpowiednią posadę—i pan Znamieniecki odjechał.

Na ganku Krępic na niego czekał, ale z twarzy Zygmuntowego ojca zawsze trudno było coś wyczytać, a dziś mniéj niż zwykle — tak się przynajmniéj wydało młodemu.

Przeszli do gabinetu, Znamieniecki spokojny i chłodny, Krępic wzruszony i milczący i dopiéro wtedy pierwszy zapytał:

— Jaką pan masz właściwie pensyę, panie Andrzeju?

Zapytany spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Sto rubli miesięcznie, ale na Nowy rok mam nadzieję, że mi podniosą—odparł i zmarszczył brwi.—Panna Emilia nie jest wymaga-

jąca—mówił dalej--wiem, że się nie lubi bawić i stroić i prócz tego, chyba mnie najwięcej obchodzi to, by mojej żonie niczego nie brakło.

-- Nie ulega kwestyi, ale rodziców także obchodzi, czy ich dziecko będzie miało to, do czego przywykło. Temu się trudno dziwić.

— Więc?—zapytał Krępic i przygryzł usta.

— Więc możesz pan jechać podziękować rodzicom, a o ślubie nie ma być mowy, aż pan dostaniesz odpowiednią posadę.

Oczy Krępica zajaśniały przy pierwszych słowach, pociemniały przy ostatnich. Wyciągnął do Znamienieckiego rękę, podaną sobie uścisnął gorąco, ale rzekł chłodno:

— Czy można się dowiedzieć, od jakiej sumy zaczyna się pensya, odpowiadająca wymaganiom państwa Olchowiczów?

— Tego nie wiem, ale czyż pan nie wspominałeś, że Aromacki wychodzi od Rotte'go i że po nim zawakuje posada szefa biura?

-- I owszem, wychodzi od października.

— Któż przypuszczalnie wejdzie na jego miejsce?

— Skąd to można wiedzieć? Biorąc pod uwagę lata służby, powinien iść inżynier Rańkowski.

-- A biorąc pod uwagę oddane usługi? Zdaje mi się, że pan zrobiłeś im jakieś przeróbki, czy poprawki i oszczędziłeś fabryce sporo wydatków?

Krępic milczał z głową spuszczoną, wreszcie rzekł:

— Na to nie można liczyć. Tu wszystko znaczy szczęście i kaprys pana Rotte'go, a ja za sto dwadzieścia rubli, a nawet za sto, mogę utrzymać siebie i żonę. Sam, nie wydawałem całej pensyi.

Znamieniecki podniósł głowę.

— Nie wydawałeś pan?—powtórzył. — Proszę mi wybaczyć niedyskrecyę, ale znam pana tak dawno i tak dobrze, że sobie na nią pozwalam—czy mogę wiedzieć, ile pan zdołałeś zaoszczędzić?

— I owszem. Zaraz w pierwszym roku trochę odłożyłem, ale niewiele, w drugim schowałem dwieście rubli, w trzecim tyleż, a w tym może zaoszczędzę czterysta, albo i więcej. Zawsze miałem zamiar stworzyć rodzinę, dlatego nie wydawałem wszystkiego i gdyby nie nadzwyczajne wydatki, odemnie niezależne, miałbym jeszcze o parę set rubli więcej. Państwo Olchowiczowie mogą być zupełnie spokojni o swoje dziecko.

— Masz pan zupełną racyą, rzeczywiście mogą być spokojni, ale zawsze będzie lepiej, gdy pan zostaniesz szefem biura. Trzy tysiące rubli, to niezła pensya na nasze stosunki.

— Bezwarunkowo, ale ja nie lubię budować zamków na lodzie. Państwo Olchowiczowie muszą mi dać córkę, chociaż szefem nie będę.

Zostawił Znamienieckiego, wyszedł cały wzburzony i przebiegając ogród, układał w głowie plany kampanii, mającéj zwalczyć wygórowaną pieczołowitość rodzicielską. Ale wszystkie zawiodły. W Kamionce przyjęto go grzecznie, pan Olchowicz nawet go pocałował w głowę, ale o ślubie nie chciano ani słuchać, ani mówić, a właściwie nie chciała mówić pani Olchowiczowa.

— Jak pan będziesz miał przynajmniéj dwa tysiące rubli rocznie, to dobrze — mówiła — teraz nie ma o czém mówić. Jesteście młodzi, możecie czekać, my jesteśmy starzy, musimy za was rachować.

Młodzi byli, to prawda, ale właśnie dlatego, on najchętniéj byłby ją zabrał ze sobą zaraz. On na myśl, że odjedzie i zostawi ją samą, nawet bez pani Marychny, niemal drętwiał.

A ona? — Panna Emilcia spodziewała się większego oporu ze strony rodziców, oczekiwała walki, chciała być bohatérką, która przecież coś robi, a gdy wszystko poszło gładzéj, niż myślała i żadnych trudności do łamania nie było, uczuła się zawiedzioną i nawet trochę niezadowoloną. Wprawdzie mogła walczyć i teraz, ale siostra jéj wytłómaczyła, że lepiéj się mamie nie sprzeciwiać, że panu Krępicowi mogą niedługo podnieść—i ona sama zresztą czuła, że robić kwestyę tylko o przyśpieszenie ślubu, nie o sam ślub, nie warto i nawet nie bardzo przyjemnie.

Nie wiedziała, że zgoda matki nie była zupełną, że w jéj umyśle jeszcze tkwiła nadzieja lepszéj partyi dla córki; nie wiedziała tego i zgodziła się na wszystko.

Krępic odjechał, a dziewczyna długo nie mogła zapomnieć wzroku, jakim ją żegnał i smutku widocznego na twarzy narzeczonego i długo sobie wyrzucała, że sama ani połowy tego wszystkiego nie czuła.

VIII.

W biurze technicznem Rotte *et C.* pod pokrywką jednostajnego trybu życia, gotowało się. Pan Aromacki przechodził na dyrektora konkurencyjnéj firmy Stelskiego, posada szefa miała zawakować, wszyscy się interesowali, kto wejdzie na jego miejsce, i wielu miało nadzieję.

Przy dwóch sąsiadujących ze sobą biurkach Krępica i Rańkowskiego najmniéj zajmowano się tą sprawą. Krępic pomizerniał i stał się nadzwyczajnie w sobie zamkniętym, — Rańkowski zwykle mówił nie wiele, a teraz miał smutek w domu, więc milczał jeszcze chętniej niż zwykle, cały pogrążony we własnych myślach.

Panna Winia była chora. Wróciła z letnich kolonii zdrowa i wesoła i nagle ni stąd, ni zowąd zasłabła. Rańkowski doskonale pamiętał ten dzień, bo choć się z tém nie zdradzał, najstarsza córka była jego dumą i najwięcéj zajmowała miejsca w jego sercu. Siedzieli przy wieczornéj herbacie. Panna Winia opowiadała szczegóły ze swego pobytu na wsi, potém on zaczął opowiadać o nowinach biurowych i właśnie mówił o Krępicu, że się żeni z Emilką Olchowiczówną, gdy dziewczyna zbielała mu w oczach i pogięła się na krzesło.

Ciągle ją taką widział, a choć panna Winia po dwóch dniach silnéj migreny przyszła do siebie i teraz znowu na lekcye biega, on widzi, że jest mizerniejsza niż zwykle, że mniéj mówi i że jéj jeszcze coś jest. Czasami w nocy zdejmuje go taki niepokój o to zdrowie, że wstaje z łóżka, idzie do pokoju córek i z trwogą przygląda się wyciągniętéj twarzyczce starszéj.

Krępic wié o jego smutku, sam przyznaje, że panna Winia nie wygląda zdrowo, Rańkowski wié o kłopotach Krępica i dlatego, choć do siebie nie mówią, najlepiéj im razem.

Wrzesień miał się ku końcowi, Aromacki nie wiele się zajmował biurem, które lada dzień miał opuścić, główne czynności spadły teraz na Krępica, jako najlepiéj obeznanego z robotami, ale o tém, kto będzie szefem, nikt nic jeszcze nie wiedział i wszyscy żyli nadziejami.

Pani Bodziewiczowa wróciła ze wsi w połowie września. Pozostawiła pannę Emilcię zdrową i wiele spokojniejszą i miewała teraz od niéj częste listy, których Krępic wyglądał jak kania dżdżu.

Listy były z początku swobodne i niekiedy nawet wesołe, ale przy końcu miesiąca przyszedł jeden, który zabrał narzeczonemu resztę spokoju.

„— Mama — pisała panna Emilcia — była zaraz po twoim wyjeździe u państwa Stobickich i musiała tam uknuć jakieś nowe plany, bo ni stąd ni zowąd pan Józef był już dwa razy w Kamionce, a ja mam przyjemność coraz częściéj słyszeć nawiasowe uwagi, o niepewnym chlebie inżynierów, którzy są dziś tu, jutro tam i o spokojném życiu ludzi zamożnych na wsi. To wszystko byłoby mniejsza, gdyby nie wzrastający chłód mamy, który takie robi na mnie wrażenie, że mi się zdaje, jakbym od rana do nocy popełniała zbrodnie. Na dworze coraz zimniéj, w domu także, ty i pan Andrzéj popsuliście mnie przez waka-

cye i teraz mi smutno, bo nawet nie mam do kogo powiedzieć: „Tomkowi zimno”.

„Wogóle dochodzę do przekonania, że nie umiem uszczęśliwiać ludzi, że niewiadomo po co żyję i że jestem do niczego. Zdaje się, że pan Andrzéj robi lichy interes.”

Pani Bodziewiczowa nie chciała tego listu pokazać przyszłemu szwagrowi, ale w końcu zniewolona jego prośbami, pokazała. Pan Andrzéj zaś, przeczytawszy go, całą noc nie spał, tylko latał po pokoju, a na drugi dzień poszedł do fabryki i wyglądał jak Hamlet.

Tego dnia pan Aromacki opuścił biuro, a żegnając się z kolegami, na samym końcu podszedł do Krępica i usunąwszy się z nim pod okno, zaczął mówić—że u Rotte'go nikt się niczego nie doczeka, że na szefa ma podobno przyjść kuzyn pani Rotte, pracujący obecnie w jednéj z fabryk łódzkich, że Stelski potrzebuje teraz zdolnego inżyniera, któremu dałby odrazu sto dwadzieścia rubli miesięcznie, na Nowy rok sto pięćdziesiąt, a za jakie dwa lata najdaléj, powierzyłby mu kierownictwo i że on, Krępic, powinien z takiéj sposobności skorzystać i rzucić tutejszą fabrykę.

— Od kiedy?—zapytał Krępic.

— Jakto od kiedy? Właśnie zaraz, choćby od dziś. Oni tam mają jakiegoś niedołęgę szefa, którego narazie nie mogą usunąć, jednego ze zdolniejszych inżynierów muszą wysłać do Odesy, a wtenczas nie będą mieli w biurze nikogo, ktoby im dobrze poprowadził roboty.

Krępic się zamyślił.

— Szkoda, żeś mi pan nie powiedział wcześniéj, chociaż—i tak byłoby zapóźno. Niech poczekają do Nowego roku, niech mi dadzą sto pięćdziesiąt rubli i pewność, że za jakie pół roku będę miał dwa tysiące, to pójdę.

— Nic łatwiejszego, jak to, ale pan musisz przejść zaraz, najpóźniéj od połowy października.

— Niepodobieństwo. Pan chyba rozumiész, ileby na tém straciła firma Rotte'go. Tak się nie robi.

Aromacki spojrzał na niego z politowaniem.

— Właśnie tak robi każdy, kto dba o swój interes. To jest najważniejsza zasada etyki klas przemysłowych. Fabrykanci nie liczą się z interesami swoich urzędników, zatém i urzędnicy nie mają względem nich podobnych obowiązków, ale ponieważ zawsze im doliczają do aktywów figiel zrobiony firmie współzawodniczącéj, więc dbałość o własne aktywa, nie może być poczytana pracującemu za nieuczciwość. Będziesz pan miał dobrą markę u Stelskiego.

— Wątpię, bo w takim razie, mógłbym i jemu zrobić coś podobnego w przyszłości. Jeżeli na Nowy rok, to zgoda — uprzedzę Rotte'go.

Aromacki się skrzywił.

— Nie wiem, pomówię ze Stelskim, ale pan się jeszcze namyśl. We dwóch postawilibyśmy ich na nogach, trochę pewniejszych niż Rotte'go.

Rozstali się. Krępic wrócił do swojego biurka, pochylił się nad papierami, a myślą poleciał do Kamionki, gdzie nawet nie było komu powiedzieć: „Tomkowi zimno".

Jak on chętnie rozgrzałby tę swoją białą dziecinę, ale na to trzeba mieć dwa tysiące rubli, a chcąc mieć dwa tysiące rubli, trzeba popełnić podłość.

Nawet się nie zastanawiał, czy propozycya Aromackiego rzeczywiście była aż podłą. Wiedział, że choćby nawet chciał, było w nim coś, coby się oparło i nie dało mu skrzywdzić firmy Rotte'go, więc pocóż tę kwestyę rozbiérać?

A tymczasem szefa nie naznaczono, roboty zaś przybywało z każdym dniem. W sali technicznéj przesiadywano teraz do siódméj, a czasami nawet do ósméj wieczorem. Krępic kierował robotami, pracował za trzech i co miesiąc odbiérał swoje sto rubli. Zaczęto szemrać. I ci, którzy współzawodniczyli do kierownictwa biurem i ci, którzy nie mieli żadnych nadziei, oburzali się na Rotte'go i na wyzysk, ale to nie zmieniło położenia.

W pierwszych dniach grudnia Rotte odwiedził salę techniczną i zatrzymał się w niéj dłużéj niż zwykle. Krępic udzielał mu wskazówek i objaśnień i choć był teraz mało spostrzegawczym, pomimo to zauważył, że Rotte przygląda mu się badawczo.

Po skończonéj wizycie fabrykant pożegnał urzędników, ale Krępica zabrał ze sobą i wyszedłszy razem z nim z sali, rzekł.

— Cóż i Aromackiego nie ma i jakoś sobie radę dajemy?

— Dajemy—odparł Krępic—ale jest ciężko, bo roboty dużo.

— Hm... zapewne. Trzeba będzie pomyśléć o szefie i jeszcze ze dwóch inżynierów przybrać. Ten młody Znamieniecki to dyabeł nie człowiek. Odebrał robotę Stelskiemu i teraz znowu zawalił nas obstalunkami.

Fabrykant uśmiéchnął się z zadowoleniem.

— Podobno Stelski proponował panu miejsce u siebie?—zagadnął nagle.

— Tak, ale za późno. Nie chciał czekać do Nowego roku.

— A na Nowy rok byłbyś pan poszedł?

— Byłbym poszedł.

— Hm... czemu nie?... Żenisz się pan... pisał mi stary Znamieniecki... o tym szefie trzebaby pomyśléć... Jak panu się zdaje, kto byłby najodpowiedniejszy z biura?

Przyglądał się młodemu inżynierowi z pod oka, a Krępic przygryzł wąsy białemi zębami i siląc się na ton mowy spokojny, odparł:

— Moje osobiste interesy nie mają nic wspólnego z interesami fabryki, a co do posady szefa, to zważywszy na lata pracy, to posada należy się inżynierowi Rańkowskiemu.

— Hm... zapewne... lata pracy... czasem zdolności więcéj znaczą... Zdaniem pana, na czém fabryka więcéj zyskała, na pracy Rańkowskiego, czy też... hm...

Krępic spojrzał na swego pryncypała niemal z pogardą. Ten człowiek wiedział, że w jego własnym interesie leżało oddać kierownictwo biurem jemu—Krępicowi, ale nie miał poprostu siły odmówić sobie przyjemności, jaką mu robiły prośby zanoszone przed jego potężne oblicze, ani też wyrzec się roli łaskawego dobroczyńcy nie z własnéj kieszeni.

— W zakresie pracy inżynierskiéj nie leży wydawanie sądu o zasługach i zdolnościach pracowników fabryki, to rzecz właściciela — odrzekł sucho i skłoniwszy się, wrócił do sali technicznéj.

Posada szefa znowu została w zawieszeniu i dopiéro przy końcu grudnia Krępic otrzymał papiér, w którym go mianowano kierownikiem biura technicznego firmy Rotte et C., z pensyą dwóch tysięcy pięciuset rubli rocznie.

Fabrykant musiał się zadowolnić prośbą starego pana Znamienieckiego, który listownie polecił mu przyjaciela syna, ale zaoszczędził na tém czerysta pięćdziesiąt rubli do Nowego roku i pięćset rubli rocznie do czasu, w którym podniesienie pensyi nowego szefa stanie się przykrą, ale nieuniknioną koniecznością.

Lecz Krępic nie zastanawiał się nad kwestyą, czy i jaki interes zrobiła na nim, „przezacna” jak ją zwał Kubacki, firma. Zamiast na obiad, poleciał wprost z biura na Złotą i podzielił się swojém szczęściem z panią Bodziewiczową. U niéj, napisał zaraz list do państwa Olchowiczów, doniósł im, że już może ofiarować ich dziecku pensyę, jakiéj od niego żądali, że jeśli mu pozwolą, to on na Boże Narodzenie wpadnie na parę dni do Kamionki i zapomniawszy o całym chłodzie, z jakim go traktowała matka narzeczonéj, w gorących słowach prosił o naznaczenie dnia ślubu.

Miał teraz skrzydła u ramion, co chwila całował dzieci albo ręce pani Marychny i twierdził, że na świecie nie ma nic lepszego nad ludzkie życie.

A w parę dni potém słońce wydało mu się jeszcze jaśniejszém. Pan Olchowicz odpisał, że się bardzo cieszy z takiego obrotu rzeczy, że nigdy nie wątpił, aby człowiek z fachem w ręku, nie dał sobie rady, że na Boże Narodzenie powitają go z radością i że wtenczas postanowią wszyscy razem o dniu ślubu.

Pojechał więc i trzy dni spędzone w cichéj Kamionce, wtulonéj teraz w śniegi i szrony, przeszły mu jak sen.

Pan Olchowicz mówił głośniéj niż zwykle, dzieląc się opłatkiem, długo szeptał coś do ucha córki i potém nie widząc, że pobladła i ma łzy w oczach, śmiał się, aż mu się trząsł brzuch i z oczu łzy płynęły; pani Olchowiczowa była dla niego tak dobrą i serdeczną, że i dla rodzonego syna chyba nie byłaby serdeczniejsza, a panna Emilcia chodziła trochę zamyślona i smutna, ale on umiał nietylko rozpraszać smutek, lecz nawet wywoływać pusty śmiech na usta narzeczonéj.

Pomimo, że nie miał czasu za wiele, wpadł na parę godzin do Karolówki. Zima nie dawała mu się uczuć w Kamionce, przeciwnie, lubił nawet stawać z narzeczoną w oszklonych drzwiach saloniku i patrzéć na ogród, biały od śniegu i błyszczący od słońca. W duszy miał blaski, od których szrony zapalały się i zamieniały w brylanty i opale; ale w Karolówce zima była w parku, zima przechadzała się po pustych pokojach i szerokich wschodach, patrzyła nietylko ze stalowych oczu gospodarza, ale nawet z wyblakłych i zaczerwienionych oczu Boni i zdawała się mówić—jam jest śmierć, nietylko dla kwiatów i ziemi, ja pochłaniam i nadzieje, gaszę młodość i szczęście i warzę serca ludzkie.

Chłodno było i mroczno w Karolówce i Krępic, który miał w sobie nieprzebraną ilość ciepła i światła, pożałował z głębi duszy Zygmuntowego ojca.

— Że téż są ludzie — myślał — którzy sobie taki chłód stwarzają sami i którym jest w tym chłodzie dobrze. On-by nie wyżył tak, nie rozumiał, jak mogli żyć inni i chętnie obdarowałby własnem ciepłem tych wszystkich, którzy mówią: „Tomkowi zimno.”

Ale pan Znamieniecki nic nie wspominał, żeby mu było zimno. Przeciwnie, dowiedziawszy się o świetnych interesach, jakie Zygmunt robi w Odesie, wpadł w tak dobry humor, w jakim go Krępic nigdy nie widział. Żartował z niego, że mógłby od przyjaciela wziąć parę lekcyi, że Rotte zyskał na nowym szefie pięćset rubli na czysto, że mi-

lionerem pewno nigdy nie będzie, ale że za to los da mu dobrą i ładną żonę, co także dużo warte.

Potém mówili o ślubie, na który Krępic miał nadzieję, że może ściągnie kolegów. Na Zygmunta liczył na pewno, Znamieniecki wszakże zrobił uwagę, że dwudziesty siódmy luty wypada w same kontrakty kijowskie, kontrakty zaś są tém dla Zygmunta, czém żniwa dla gospodarza.

Krępic wiedział o tém, ale nie wątpił, że pomimo to, przyjaciel oderwie się, na jakie cztery, pięć dni i poprowadzi mu narzeczoną do ołtarza. Nim jeszcze ślub został oznaczony, pisał do niego i Zygmunt przyrzekł mu to uroczyście.

— Przyjedzie, inaczéj nie byłbym zupełnie szczęśliwy — myślał sobie teraz, ale z tą myślą nie zwierzył się Znamienieckiemu. — Wszystko się tak składało jak marzył, dlaczegoż to miałoby go zawieść?

Po świętach z innèm już wrażeniem niż w sierpniu opuszczał Kamionkę. Przecież jechał przygotowywać gniazdko dla swego jasnopiórego ptaka, a gdy jeszcze raz tu powróci, nie wyjedzie już sam! Ona będzie z nim i od téj chwili nie opuści go, aż do śmierci.

Pani Bodziewiczowa dopomagała mu w przygotowaniach z iście kobiécą namiętnością. Razem wyszukali mieszkanie, składające się aż z pięciu pokoi i położone przy ulicy Smolnéj z widokiem na ogrody, razem kupowali meble, wybierali obicia i sprzeczali się o kolory, w których pannie Emilii najlepiéj, razem pilnowali tapicera, by im nie wykrzywił genialnych pomysłów, a Bodziewicz był teraz tak życzliwie usposobiony dla panny Emilci, że tylko raz dał uczuć żonie, o ile on i dzieci są nieszczęśliwemi i opuszczonemi istotami.

Wreszcie gniazdko zostało usłane i Krępic cieszył się teraz swojém dziełem, jak dziecko. Największy zachwyt budził w nim gabinecik przyszłéj pani Krępicowéj, podarek od Zygmunta. Były w nim obicia bursztynowego koloru, ujęte w rzeźbiony, srebrny gzems, były niziutkie kanapki i foteliki, kryte błękitnym pluszem, haftowanym w pstre kolibry, podłogę zaścielał wielki dywan, na czarnem biureczku srebrny kałamarz, pióro i teka z papiérem listowym oczekiwały na swoją przyszłą właścicielkę, z rzeźbionéj szafki wyglądały książki dobrane troskliwie przez przyszłego męża i pana, a z sufitu zwieszała się lampa, o kształcie staroświeckiéj latarni.

Pani Marychna kiwała główką i mówiła, że to zbytek, ale Krępic nie wierzył. Gdyby mógł, pozdejmowałby gwiazdy z nieba i rozrzucił po dywanie, aby ona mogła je deptać. To wszakże przechodziło jego siły, więc tylko kupował jeszcze kwiaty i ustawiał je, gdzie się dało.

Za to jego gabinet odznaczał się prostotą i było w nim tylko to, co się niegdyś znajdowało w mieszkaniu na Marszałkowskiéj, zajmowanem przez obu przyjaciół. Nawet otomany nie dał pokryć świéżo, bo stary dywan przypominał mu Zygmunta i Kubackiego.

Zygmunt będzie, zobaczy go, ale tamten? Uczuł do siebie żal, że bez względu na wszystko i wszystkich, jest aż tak szczęśliwy, ale ten żal nie mógł teraz trwać długo. Szedł do bursztynowego gabineciku, a tam umiał tylko wyobrażać sobie przyszłe życie we dwoje, raj przyszły i więcéj nic.

— Jakby to jednak było dobrze—myślał niekiedy—żeby ten Zygmunt mógł przyjechać trochę prędzéj! Jest szczęśliwy i właśnie dlatego ma mu mnóstwo do powiedzenia. Małżeństwo to taka ważna chwila w życiu ludzkiém, a od pierwszych chwil, kto wie, czy często nie zależy cała przyszłość?!

Krępic nie był zepsutym, miał pojęcia zupełnie odmienne od pojęć ogółu mężczyzn, prawie nic znał kobiét, prócz tego kochał i bał się tych pierwszych chwil nietylko dla niéj, ale i dla siebie.

Chciałby pomówić z kimś szczerze i otwarcie, ale dla niego tym kimś, był tylko Zygmunt. Tylko przed nim byłby w stanie otworzyć duszę aż do dna. Czy téż przyjedzie? Był tego pewnym, ale teraz, gdy chwila się zbliżała, opadły go wątpliwości. Pisał do niego, do Wakowicza, do Dembosza i do Naftala i od żadnego nie odebrał odpowiedzi.

Czyżby umowy, robione na koleżeńskiéj ławie, były wiatrem na wodzie pisane? Podróż była daleka, to prawda, — jeden Naftal miał blisko, bo był teraz w Berlinie, ale tamci już tak dawno nie byli w kraju, że chyba będą radzi z takiéj dobréj sposobności...

— Nie piszą, więc chyba przyjadą — pocieszał się i wyjeżdżając z Warszawy, pozostawił u siebie na biurku listy do wszystkich. W wilię i w sam dzień ślubu konie miały na nich czekać na stacyi.

A w Kamionce zastał ruch ogromny. Pani Bodziewiczowa z dziećmi już tam była i od rana do nocy na nogach, pomagała matce.

Ślub miał być zupełnie cichy. Prócz kolegów Krępica, Znamienieckiego, Łamkowskich i dwóch drużek, panny Sławskiéj i panny Wini, nie proszono nikogo więcéj, bo panna Emilcia nie chciała. Pomimo to przygotowania były wielkie. Pan Olchowicz zapowiedział, że wszystko musi być tak samo, jak na ślubie Marychny, ciągle się wtrącał, przeszkadzał, wbijał gwoździe, które się ruszały i które się nie ruszały, tak w ścianach jak i w podłogach, a robił to zawsze, ile razy spodziéwał się więcéj gości i przytém bezustannie krzyczał, tylko tym

razem nie na pannę Emilcię. Ją zwolniono już od wszystkiego, matka nie pozwala jéj się wtrącać do niczego i pozostawiła ją własnym myślom, które nie musiały być wesołe, bo jéj wyciągnęły twarzyczkę i podkrążyły oczy.

Przez dwa miesiące, które upłynęły od chwili oznaczenia ślubu, aż do dnia uroczystości, panna Emilcia przeszła przez różne stany duszy.

Miéwała chwile spokoju i nawet zadowolenia, a te chwile przychodziły wtedy, gdy przed oczami stawał jéj Krępic jako człowiek, jako jéj towarzysz na drodze do życia, które teraz będzie miało cel, bo będzie połączone z jego życiem. Jaki ona miała wziąć udział w dążeniu do tego celu, dobrze nie wiedziała, bo jako narzeczeni za krótko byli z sobą i za mało o tém mówili. Przytém, od czasu jak mu dała słowo, on najchętniéj mówił o czém innéın i sam był innym niż dawniéj. Ufała mu i wierzyła, że jéj nie zawiedzie jako człowiek, ale jako mężczyzna, całujący jéj ręce i ciągle szukający czegoś w jéj oczach, przestraszał ją. Skutkiem wrodzonéj inteligencyi i po za domowego wychowania, pewne strony życia, starannie ukrywane przed dawniejszemi dziewczętami były jéj znane.

Z początku próbowała ułożyć jakieś *modus vivendi* między przyjętém wśród koleżanek twierdzeniem, że małżeństwo poniża kobiétę, a swojém późniejszém postanowieniem, sprzeczném z wyznawaną zasadą i pocieszała się, że nie wszyscy mężczyźni są jednakowi, a Krępic jest stanowczo niepodobny do wszystkich. Lecz wprędce musiała przyznać, że oszukuje samą siebie. Małżeństwo, póki będzie istniało, zawsze pozostanie małżeństwem. Ona pójdzie za nim i odtąd on musi jéj być bliższym od najbliższych.

Chwilami ogarniała ją rozpacz, a wtenczas pogardzała sama sobą i chętnie byłaby wszystko zerwała, albo też uciekła na koniec świata. To znów jéj się przypominała Marychna, taka skromna, taka jakaś czysta i dobra, a jednak tak bardzo kochająca Bodziewicza. Ona nie wyglądała na poniżoną i tak prosto wszystkim w oczy patrzyła... Inne znowu kobiéty, o których słyszała, albo czytała, dla miłości rzucały rodziny, okrywały się pogardą świata. Coś jednak było w téj miłości, ale co?

Próbowała wtedy spojrzéć głębiéj w życie które się przed nią otwiérało. Dawniéj zdawało jéj się, że wié wszystko, a jednak teraz czuła, że stoi wobec tajemnicy, że nic wié nic.

Czasami zdejmowała ją ciekawość i wtedy mówiła sobie—trudno, tak było i tak będzie—nie jestem wyjątkiem—zresztą już się stało.

Ale im bardziéj się zbliżał dzień ślubu, ciekawość się zmniejszała, a w to miejsce przychodził strach i mieszał jéj wszystkie myśli.

Gdy przyjechał Krępic, miała w głowie istny chaos i chwilami była zupełnie nieprzytomna. On to widział, serce mu się ścisnęło na widok pobladłéj twarzyczki i zapadłych oczu narzeczonéj, ale ją rozumiał i robił co mógł, by do téj wzburzonéj duszy wlać trochę spokoju i ufności.

Nie przeszkadzano im, bo wszyscy byli zajęci, a pani Olchowiczowa nie uważała już za potrzebne dotrzymywania towarzystw anarzeczonym.

Ale ani słowa Krępica, ani jego spojrzenia pełne hamowanego uczucia, nie wpływały kojąco na rozdrażnione nerwy narzeczonéj. Była ciągle podniecona, co chwila albo miała oczy pełne łez, albo śmiała się z lada drobnostki, albo wpadała w zamyślenie i nie słyszała go wcale.

Miał jéj tyle do powiedzenia, umyślnie przyjechał wcześniéj, pragnął, by się oswoiła z nim i z myślą, że odtąd już ciągle będą razem, marzył, że zbudzi w niéj ufność, że ona powié mu wszystko, co ma w duszy i jego ośmieli do szczerości i zawiódł się. Nigdy nie wydała mu się bardziéj daleką, jak dzisiaj w wilią ślubu.

A gdy do cichego salonu zajrzał mrok i powoli wypierając światło począł się skradać po kątach i cicho wypełzać z pod milczących sprzętów, narzeczeni siedzieli obok siebie na kanapie i nie mówili nic. Ona patrzyła bezmyślnym wzrokiem w okno, a on schował twarz w dłonie i rozmyślał tak głęboko, że gdy przed domem dał się słyszeć turkot powozu, nawet nie drgnął.

— Ktoś przyjechał ze stacyi, może Jaś, a może który z pana kolegów—rzekła panna Emilcia.

Nie usłyszał jéj, więc spojrzała na niego uważniéj i żal jéj ścisnął gardło.

— Oto ją kochał, był dla niéj tak dobry jak nikt, pragnął ją uspokoić, a ona nie umiała nawet zapanować nad sobą i nie okazała mu ani trochy wdzięczności. Teraz siedzi jak po pogrzebie i może myśli, że napróżno zmarnował tyle uczucia, że może źle je umieścił, bo ona nie jest w stanie go zrozumiéć, ani téż dać mu choć połowę tego przywiązania, jakie on jéj co chwila rzuca pod nogi. Jest inną od wszystkich kobiét na świecie i nawet takiego człowieka, jak on, nie umié ocenić! Dziwadło!—mówiła zawsze mama i miała racyę!

Nachyliła się i dotknęła jego ręki.

— Panie Andrzeju, ktoś przyjechał, może to pana koledzy—rzekła cicho.

Podniósł głowę i spojrzał na nią zamglonym wzrokiem, a potém wstał i skierował się do drzwi.

Wtedy ona się zerwała, pobiegła i stając przed nim ze spuszczonemi oczami, rzekła.

— Niech mi pan wybaczy, ja późniéj będę inna — lepsza, tylko teraz nie mogę, naprawdę nie mogę! Niech pan będzie weselszy?

Przyciągnął ją do siebie, i patrząc jéj w oczy rzekł cicho:

— Ja ci nie mam nic do przebaczenia, panno Emilciu, ja cię rozumiem i dałbym wiele, byś mogła miéć więcéj wiary we mnie.

Potém puścił jéj ręce i szybko wyszedł. W przedpokoju był jakiś ruch niezwykły. Łamkowskich i panny Wini spodziewano się dopiéro jutro, dzisiaj miał przyjechać tylko Bodziewicz, a tam było słychać jakieś szuranie nogami i głos Olchowicza cichszy niż zazwyczaj.

Przyśpieszył kroku i we drzwiach wpadł na przyszłego szwagra, który uścisnął go w przelocie i rzuciwszy—masz tam pan całą furę kolegów,—popędził daléj.

— Zygmunt jest?

Nie otrzymał odpowiedzi, więc szarpnął drzwi i zaraz wpadł w otwarte ramiona Wakowicza. Za nim stał Dembosz, Naftal i Olchowicz, a w kącie pod oknem, ktoś nachylony zdejmował kalosze.

— Zygmunt jest? — powtórzył Krępic i ściskając kolegów rozglądał się po przedpokoju.

— Nie, ale będzie. Romantyk podkłada lont pod minę, która ma wysadzić Stelskiego *et C-ie*. Za to masz mnie.

Na dźwięk tego flegmatycznego głosu, Krępic stanął jak wryty, a ciemna postać z pod okna wysunęła się na środek i Kubacki wyciągnął do niego obie ręce.

Padli sobie w objęcia, przyczém Krępic jakby chcąc sprawdzić, że się nie myli, pociągnął go ku oknu i wpił się oczami w twarz kolegi pełną, jakby nabrzmiałą, o cerze mającéj odcień błękitny.

— Kiedy?... jak?... co?... zupełnie?... wołał całując go po każdym wyrazie.

— O, ba! Zaraz chciałeś cudów — śmiał się Kubacki. — Mam urlop czterodniowy, a potém — gdzie pieprz rośnie a raczéj kosodrzewina. Dostałem posadę, wspaniałą, bo zaraz będę się mógł leczyć zimnemi okładami.

— Któż ci powiedział o moim ślubie?

— Panna Winia, a któżby? Myślałem, że nie będę mógł przyjechać, ale ona zaraz pobiegła do pani Rotte i w dwanaście godzin miałem urlop. Nawet nie wiedziałem, o uniwersalności pani Rotte.

— Nie wiedziałeś? — zdziwił się Krępic. — To bardzo porządna kobieta — w sekrecie przed mężem. No chodźcie!

Weszli wszyscy, nastąpiły przedstawienia i powitania, pani Marychna rozpłakała się, gdy ją witał Kubacki, a panna Emilcia poprowadzona przez narzeczonego, czerwieniła się, bo ją obstąpili wszyscy młodzi i potém każdy z kolei całował jéj rękę.

Zrobiło się w cichéj Kamionce bardzo głośno. Młodzi bez żadnéj ceremonii mówili na wyścigi, a Kubacki był w świetnym humorze.

Gdy już Dembosz opowiedział, że widział się na kontraktach z Zygmuntem, że firmy Rotte'go i Stelskiego współzawodniczą o budowę warsztatów i mostów kolejowych, na nowobudującéj się linii na Podolu i że ostateczna umowa ma być zawarta w tych dniach — że on także mógłby był utknąć dłużéj w Kijowie, gdyby mu się było nie udało załatwić wcześniéj interesów swojéj fabryki; gdy Wakowicz, którego tutejsze powietrze rozmarzyło, patrząc na narzeczonych i wzdychając zdołał już wlać w Naftala przekonanie — że wilk by się urwał, a on siedzi bo musi, bu już jego taka psia dola, — młodzi inżynierowie wpadli na temat wspomnień uniwersyteckich i wesołym opowiadaniom nie było końca.

Olchowicz tak się śmiał, że jak zwykle aż mu łzy z oczu płynęły, a panna Emilcia zupełnie zapomniała, że to jutro ślub i z błyszczącemi oczami, cała zarumieniona, śmiała się także.

A potém Kubacki zasadził Naftala do fortepianu, a gdy z pod palców filozofa-artysty, zaczęły się sypać perły i łzy, któremi gienialny twórca pieśni tęsknoty, wypłakał cały smutek swojéj ziemi — Kubacki siadł przy narzeczonych i począł tłomaczyć pannie Emilci — że jéj się dostaje w ręce najczystszy z brylantów, z tych klejnotów, które niegdyś świeciły na horyzoncie instytutu, które miały w przyszłości przyświecać ziemi, jak gwiazdy, a z których lwią część życie oprawiło w drzewo i użyło do przykrawania szybek...

Było późno, gdy Olchowicz wzruszony Nocturnami, zapomniawszy o antagonizmie szlacheckim, tak skutecznie podsycanym przez ludzi dobréj wiary, uścisnął obie ręce Naftala, wycałował go w oba policzki i wszystkich spać wypędził.

Ale nie wszyscy spali.

W największym pokoju na górze, przeznaczonym dla panów inżynierów, jeszcze długo było słychać przyciszoną rozmowę i głośne śmiechy.

Kubacki sprawdził, że Dembosz prawdopodobnie już wpadł na ślad skarbu po francuzach, bo ma jedwabne skarpetki. Wyciągnął mu z kieszeni fotografią jakiéjś przystojnéj brunetki, ale gdy napróżno,

choć w imieniu praw koleżeńskich, dopominał się o imię i nazwisko przyszłej hrabiny Majtaszkowej, darował mu życie i zwróciwszy się do Nafty, zaczął go badać, ile już zafarbował łokci perkalu i ile ludzi nazarywał.

Na to Nafta odparł ze zwykłą słodyczą, — że pomimo rozpaczy Naftala dziadzi, Naftala taty i jego własnej, postanowił, bliżej samego siebie zbadawszy, poświęcić się sztuce i już tego postanowienia nie zmieni. Lecz gdy kolega zapytał go w dalszym ciągu — czy myśli jeździć z wędrownemi koncertami i w ten sposób uprzystępniać piękno?— oburzony artysta wpadł w zapał, siadł na łóżku i począł wołać, — że przeznaczeniem sztuki, nie jest poniewierka po salach koncertowych, do których ludzie się schodzą usłyszeć w sonacie duszę artysty, tak samo jak się schodzą zjeść porcyę polędwicy, lub szparagów i że posłannictwo piękna jest zanadto wielkiém, by tacy profani jak Kubacki i jemu podobni, mogli mieć o niém pojęcie.

A potém żaglami sztuki wypłynął na pełne morze filozofii, od której krok tylko do kwestyi innych—bliższych, żywotniejszych. Ale tego kroku, jakby za zobopólną umową, nie uczynił żaden z przyjaciół, więc Naftal bez przeszkody machał rękami i wołał dalej.

— Tylko odczucie piękna i filozofia polegająca, nie na analizie, lecz na przekonaniach płynących z uczucia, uszczęśliwi ludzkość! Światło jest w sercu, tak samo jak w sercu leży zrozumienie sztuki. Przenieście je do rozsądku, a zgasną i pogrążą was w ciemnej pustce, która nie da, ani nadziei lepszego świata, ani rozkoszy płynącej z harmonii...

Świt zajrzał do pokoju, napełnił go barwą szaro-błękitną i uczynił płomień lampy brudno-żółtym.

Wakowicz i Dembosz dawno spali, Krępic utkwił wzrok w jeden z kafli pieca, leżał bez ruchu i myślał, może o filozofii Naftala, może o czém inném, a Kubacki wtrącał od czasu do czasu krótkie uwagi, wreszcie ziewnął i rzekł.

— Nie przeszkadzałem ci, Nafto, bo mi dałeś złudzenie, że jestem „pod Planetą”, ale teraz ci powiem, że mi to wszystko jedno, czy ty studyujesz Spinozę, czy też zgłębiwszy Schleiermachera, przetrawiasz go za pomocą swoich preludyi i sonat. Dla mnie, możesz nawet zostać Jacobim w trzeciej potędze. Co najwyżej, jako dobry kolega mogę ci poradzić, żebyś się dla większej konsekwencyi kazał ochrzcić, poza tém, zawsze będę miał przekonanie, że kura codzień babie znosząca jajko, więcej zdziała niż twoja filozofia. Dobranoc!

— Dobranoc! — odparł Naftal bez urazy i obaj odwrócili się do ściany.

Tylko Krępic leżał ciągle z otwartemi oczyma, myślał o narzeczonéj, która może także czuwała i usnął dopiéro wtedy, gdy do pokoju wpadł pierwszy promień słońca Ale panna Emilcia spała téj nocy lepiéj niż zwykle. Odurzył ją gwar, ruch i muzyka Naftala, nie miała ochoty rozmawiać z panią Marychną, która usiadła przy niéj, całowała ją serdeczniéj niż zawsze i widocznie chciała o coś pytać; zmęczona przymknęła oczy i nim siostra odeszła, zasnęła.

A nazajutrz była zupełnie spokojna i na przygotowania patrzyła z takiém wrażeniem, jak gdyby ten ślub, nie był jéj ślubem. Nawet jéj nie obeszło, że państwo Łamkowscy i Maniusia przyjechali bez cioci Wini, która już w ostatniéj chwili dała im znać, że dla różnych, poważnych powodów, jechać z nimi nie może. Z obojętnością, która ją samą dziwiła, przyglądała się, jak na nią wkładano białą, szeleszczącą suknią i jak jéj upinano przezroczysty welon. Chwilami zdawało jéj się, że to nie ona, bo ona tylko patrzy, ale roli żadnéj nie odgrywa. Matka mówiła coś o ważności chwili i o wielkości przysięgi, od któréj kobiety nic nie zwalnia, chyba jedna śmierć; ale i te słowa nie musiały być do niéj mówione, bo inaczéj zrobiłyby na niéj wrażenie. A gdy wreszcie przyszła Marychna, przycisnęła ją do swego różowego stanika bez żadnego względu na kwiaty i liście i z oczami pełnemi łez, rzekła — pójdź Milciu!, podniosła się i nawet nie spojrzawszy w źwierciadło, bez żadnego szczególniejszego uczucia, zupełnie jak gdyby szła witać panią Stobicką, podała rękę Maniusi Sławskiéj i weszła z nią do salonu. Na wprost drzwi, w czarnych frakach, z białemi kokardkami i mirtem, uroczyści, stali koledzy Krępica i on. Przewyższał ich wzrostem, a na czole i w głębokich oczach miał to coś, co go zawsze wyróżniało od wszystkich.

Wzrok panny Emilci padł najpierw na niego. Przez chwilę uczuła w sobie, jakby jaśniejszą świadomość tego, co się w koło niéj działo, lekko się zarumieniła, a potém znowu pobladła i bezmyślnym wzrokiem patrzyła na żółtą suknią pani Łamkowskiéj, na szafirową matki, na długie wąsy Bodziewicza, prowadzącego jedną ręką Janka, drugą Marysię i na sztywną w swoim fraku i białym gorsie postać ojca Zygmunta.

— Pan Zygmunt nie przyjechal, panu Andrzejowi pewno jest przykro i Maniusia Sławska dlatego płakala — przeleciało jéj przez głowę i znikło, nie pozostawiwszy w zobojętnieniu które nią owładnęło, ani śladu.

A Naftal patrzył na nią, gdy tak szla pod błyszczącym od światła żyrandolem, okiem artysty podziwial jasną główkę, owiniętą w bia-

ły obłok dziewiczego welonu i całą postać dziewczyny — uosobienie białości i niepokalania i szepnął do Kubackiego, stojącego obok.

— Patrz! istne preludium *A-dur* Szopena!

W téj chwili Krępic zbliżył się do narzeczonéj i podawszy jéj rękę, poprowadził ją do państwa Olchowiczów.

— Czy razem też wyglądają jak preludium? — zapytał Kubacki, bardzo blady.

— Razem?

Naftal przymrużył swoje bronzowe oczy, jakby w ten sposób było mu łatwiéj pochwycić harmonię, która szła od tych dwojga i w jego duszy krystalizowała się w tony, a gdy młodzi pochylili głowy przed rodzicami, odetchnął i rzekł.

— Razem, to *Andante* z „Appassionaty" Bethowena, ale ty tego nie jesteś w stanie zrozumieć, bo nie rozumiész, że wszelkie piękno, ma tylko jedne źródło.

Kubacki milczał i nie odrywał oczu od młodéj pary, a tymczasem pan Olchowicz zaczął mówić długo i szeroko o zgodzie rodzinnéj i o wzajemnéj pobłażliwości, poczém zalecił córce, by była sercem w domu, zięciowi powierzył funkcyę głowy i oboje ucałował.

Panna Emilcia słyszała każde słowo ojca, niezupełnie dobrze rozumiała, dlaczego to wszystko było mówione i do kogo, ale pomimo to dźwięki wpadały jéj w uszy wyraźnie i brzmiały tak długo, aż ujrzała przed sobą twarz proboszcza Karolówki i usłyszała dźwięki nowe.

...Emilio! czy masz wolną i nieprzymuszoną wolę...

Jak automat powtarzała podpowiadane sobie wyrazy, ze ździwieniem patrzyła na wielki ołtarz, tonący we wszystkich kwiatach Karolowieckiéj cieplarni i słaby błysk świadomości, dopiéro wtedy rozjaśnił jéj przytępiony umysł, gdy z ust księdza padły wyrazy:

...I nie opuszczę cię aż do śmierci, tak mi panie Boże dopomóż Amen.

Teraz zadrżała całém ciałem, utkwiła oczy w twarzy księdza i z rozchylonemi ustami czekała co powié daléj. Ale ksiądz nie powiedział nic więcéj, tylko ździwiony, głośniéj powtórzył ostatnie słowa przysięgi, Krępic ścisnął jéj rękę i dziewczyna wymówiwszy głośno:

...tak mi panie Boże dopomóż. Amen...

doznała nagle wrażenia, że ktoś — gdzieś, zatrzasnął jakieś drzwi olbrzymie, a pod sklepienie uniosła się przysięga, rozbijając się o mury, wypełniła echem cały kościół.

Veni Creator!

To Naftal grał. Tak grać nikt inny nie potrafi, chyba w niebie anieli — pomyślała, a potężna harmonia, zagłuszywszy echo przysięgi,

przejęła ją aż do głębi duszy. Podniosła oczy, ale już nie widziała kwiatów z Karolowieckiéj cieplarni. Nie widziała nic, z ust wybiegło jéj westchnienie—o, Boże! i zmieszało się z pieśnią Naftala.

A potém oboje wsiedli do karety. Krępic zapomniał o futrze, lecz w ostatniéj chwili, wrzucił mu je na ramiona Kubacki. Drzwiczki zatrzaśnięto—byli sami, tylko wokoło bielał całun śniegowy, a nad nimi śmiały się gwiady.

Najdroższa moja... moje wszystko... będziemy najszczęśliwsi ze szczęśliwych, musimy być! — mówił stłumionym głosem Krępic i przyciskał do piersi ręce młodéj żony.

A ona patrzyła na niego oczami pełnemi łez, trwogi i jakiéjś nieméj prośby i nagle, jakby przed nim samym, u niego szukając pomocy i opieki, pochyliła mu się w ramiona i cicho płacząc szepnęła.

— Boję się...

. . . .

Podczas kolacyi wręczono panu młodemu depeszę.

— „Dziś podpisaliśmy umowę i pijemy za zdrowie młodéj pary.

Zygmunt."

Zresztą wszyscy byli w dobrych humorach, tylko Kubacki tak się spił, że go koledzy jak trupa zanieśli na górę.

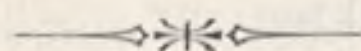
Exterus.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



MADAGASKAR.

KILKA KART Z DZIEJÓW KOLONIZACYI EUROPEJSKIÉJ.



Gdziekolwiekbądź badania antropologiczne umieściłyby ostatecznie kolébkę Aryów starożytnych, czy w Azyi zachodniéj lub środkowéj, czy też w Europie północnéj, zawsze pierwotna tych Aryów ojczyzna, w każdéj dobie historycznéj, przedstawi się zbyt szczupłą w porównaniu z przestrzenią przez nich zajmowaną. Masowe ich ruchy na lądach sąsiadujących z sobą, odbywane w dziejach starożytnych, zastąpiła w nowożytnych, z natury rzeczy wypływająca, kolonizacya zamorska. Wielkie odkrycia geograficzne, otwiérając ową kolonizacyę, wyrwały narody europejskie z odrętwiałości umysłowéj i życiowéj, w jakiéj przebywały przez ciąg wieków średnich.

W popędzie do kolonizacyi najwybitniéj się wyraża uzdolnienie Aryów. Jedynie jéj zawdzięczają Aryowie owładnięcie wszystkiemi częściami świata; jéj to są winni przodujące stanowisko swoje wśród innych szczepów. Słuszną przeto jest rzeczą, by dzieje kolonizacyi odpowiednio do takiego znaczenia jéj saméj były traktowane i, co jeszcze więcéj, znane.

Znajomość dziejów kolonizacyi nietylko nam odsłoni sam bieg wypadków, wykaże zdumiewające wyniki czterowiekowéj pracy kolonizacyjnéj; ale nadto da poznać rozmaite narody przy téj pracy. A ponieważ nie wszystkie wzięły w niéj udział, a wziąwszy, nie wszystkie do-

szły do jednakowych rezultatów, znajomość dziejów kolonizacyi przedstawi nam właściwości różne, zachodzące oddawna pomiędzy tymi narodami.

Zeszłoroczna wyprawa zbrojna, przez Francuzów na Madagaskar podjęta, zaprzątała umysły nietylko we Francyi. I nie mogło być inaczéj. Madagaskar w szeregu wysp trzecie na ziemi zajmuje pod względem rozmiarów stanowisko. Przed nim idą tylko Nowa Gwinea i Borneo. Nad pomienionemi wyspami to wszelako ma pierwszeństwo, że południową swą częścią, przez którą przechodzi zwrotnik koziorożca, wchodzi w strefę umiarkowaną, a więc bardziéj niż tamte nadaje się do kolonizacyi. Zwycięstwo Francyi na Madagaskarze powiększa jéj posiadłości,—w jakiéjkolwiek-by to uczyniła ostatecznie formie, prostéj anneksyi, protektoratu, czy jeszcze innéj, wynikającéj z położenia obecnego rzeczy na téj wyspie,—o tyle przestrzeni, ile sama wraz z Belgią i Holandyą zajmuje w Europie. Pogrom jéj tam oddałby wyspę w posiadanie innego narodu europejskiego. Wyprawa ta bowiem nie była oderwanym faktem. Długi szereg wypadków ją przygotowywał i właśnie to długie przygotowywanie nadało obecnie owéj wyprawie ten rozstrzygający jéj charakter.

Również wypadki, które poprzedzały wyprawę francuską na Madagaskar, nie są oderwanemi faktami w przeszłości. Związane z jednéj strony ściśle z odkryciami geograficznemi, oraz początkową kolonizacyą Indyi i odległego południo-wschodu azyatyckiego; z drugiéj zaś, będące wynikiem polityki państw europejskich względem siebie i ustroju społecznego Francyi; w historyi kolonizacyi téj, pomimo dotychczas ujemnych tylko jéj na Madagaskarze rezultatów, wybitne zajmują stanowisko.

Ośmielam się przeto sądzić, że te uwagi usprawiedliwiają poniekąd tych parę rozdziałów, poświęconych na tém miejscu wybitniejszym momentom kolonizacyi Madagaskaru, jako epizodów wogóle z dziejów kolonizacyi europejskiéj.

I.

Odkryty przez Portugalczyków na początku XVI stulecia, 1506 r., oraz przez nich, a po ich ustąpieniu z oceanu Indyjskiego, przez Holendrów, Francuzów i Anglików odwiédzany, Madagaskar w wieku, w którym został odkryty i następnych dwóch, miał dla państw morskich, jako leżący na drodze do Indyi, Indo-Chin i wysp Zondskich,

głównie tylko znaczenie komunikacyjne. Lecz i to znaczenie nie było pierwszorzędném.

Wielka zachodzi różnica pod względem ustroju brzegowego pomiędzy zachodnią a wschodnią częścią Madagaskaru. Brzegi zachodnie przedstawiają liczne porty i wygodne; wschodnie zaś są ich zupełnie pozbawione. Przytém, płaszczyzna nadbrzeżna na wschodzie jest pokryta jeziorami, lagunami i błotami, a po za jéj dość wąskim zresztą pasem, wznoszą się góry, porosłe zwrotnikowemi lasami. Udające się do Indyi okręty, po okrążeniu przylądka Dobréj Nadziei, nie wchodziły do kanału Mozambickiego, gdzie w danym razie mogłyby zawijać na zachodnie brzegi wyspy; lecz, wypływając na odkryty ocean, miały do schronienia się niegościnne brzegi wschodnie. Wkrótce i to niewielkie znaczenie komunikacyjne Madagaskaru upada.

W połowie wieku XVI (1545 r.) Portugalczyk, Pedro Mascarenhas, odkrywa wyspy, a raczéj wysepki, leżące na wschód od Madagaskaru i noszące od jego nazwiska miano Maskareńskich. Dwie z nich, dzisiaj znane pod nazwami Réunion i Maurycego, przedstawiały w wysokim stopniu te dogodności dla podróżnych, których brakiem odstręczały od siebie brzegi wschodnie Wielkiéj Wyspy, i stały się tém dla okrętów płynących ku północy lub wschodowi i stamtąd powracających, czém ta wskutek warunków przyrody swojéj nie mogła zostać, zwłaszcza ze wschodniéj strony. Jakoż już w r. 1598 Holendrzy, korzystając z osłabienia potęgi morskiéj Portugalczyków, zajmują jedną z nich, bardziéj ku wschodowi leżącą, Cerne, i mianują wyspą Maurycego, ku uczczeniu Maurycego Nassauskiego.

Madagaskar do r. 1642, nie będąc zajęty przez żadne państwo europejskie, pozostaje otwartym dla każdego.

Tymczasem w dziejach gospodarowania ludów europejskich w odkrywanych i odkrytych krajach nastąpił zwrot, stanowiący nowy okres. Od czasu odkrycia Ameryki, podziału ziemi przez papieża Aleksandra VI (1493 r.) pomiędzy Hiszpanów i Portugalczyków, nakoniec od wytknięcia przez tych ostatnich nowéj drogi do Indyi upłynęło półtora wieku. W tym czasie odbyło się nieprzewidziane przez papieża i wymienione narody współzawodnicze spotkanie się ich wskutek kulistości ziemi na oceanach Spokojnym i Indyjskim. Wynikłe z tego spotkania się nanowo współzawodnictwo doprowadziło do wojny między niemi w Europie. Wojna została zakończona zdobyciem przez Hiszpanów Portugalii (1580 r.), a zatém i upadkiem jéj potęgi morskiéj. Daléj nastąpiło pokazanie się na oceanach, które uważane były dotychczas przez Hiszpanów i Portugalczyków za ich wyłączną własność, okrętów należących do innych narodów europejskich. Pokazujące się

okręty były zarówno przez jednych, jak i przez drugich, ścigane. Ściganie to wywoływało słuszny odwet. Powstało stąd rozbójnictwo morskie, państwowe i prywatne, które tamowało wszelką żeglugę morską, i handel, bez poprzedniego zachowania wszystkich możebnych ostrożności i odpowiedniego przygotowania się wojennego, stawał się niemożebnym. Nakoniec, ubiegłe półtora wieku wykazały bezowocność, a nawet szkodliwość systematu, przyjętego przez Hiszpanię i Portugalię w zarządzaniu odkrywanych ziem i wyciąganiu z nich korzyści należnych.

Ponieważ w zarządzaniu krajami, odkrywanemi przez Hiszpanów i Portugalczyków, państwo sobie tylko przywłaszczało wszelką inicyatywę, samo rządziło, handlowało i kolonizowało, samo monopolizowało wszelkie dochody bezpośrednio dla siebie; należało więc, by inne państwa, które śladem Hiszpanii i Portugalii wstępowały na drogę podbojów morskich i handlu morskiego, a przytém chciały uniknąć złych skutków ich gospodarki, postępować zaczęły zupełnie inaczéj. Na czémże zaś polegać mogła owa odmiana, jeśli nie na oddawaniu inicyatywy i handlu ludziom prywatnym, zabezpieczając sobie tylko dochody celne w obrębie własnych granic lub inne jakie wynagrodzenie. Ponieważ w bezustannych wojnach na morzu wszystkich przeciwko wszystkim, środki prywatnych przedsiębiorców nie mogły dostatecznie bronić ich własności, należało zatém pozwolić prywatnym inicyatorom łączyć się w stowarzyszenia i zawiązywać tak zwane „Kompanie Handlowe". W stosunkach do państw, w których się zawiązywały, pozostawały one prywatnemi stowarzyszeniami. W stosunkach do krajów odkrywanych i państw obcych otrzymywały one od swego państwa wszelkie atrybucye państwowe; a więc nabywać mogły na własność drogą podboju czy kupna ziemie i niemi jako swoją własnością rozporządzać; ustanawiały sądy, zakładały sobie stolice, zaprowadzały własną administracyę, posiadały policyę, wojsko i korzystały wyłącznie z monopolu handlowego.

Wiek XVII-ty można właściwie nazwać wiekiem kompanii handlowych, powstających w rozmaitych państwach europejskich dla wyzyskiwania innych części świata. Początek dała Holandya. Zawiązana w r. 1594, a zorganizowana ostatecznie w r. 1602 holenderska kompania indyjska, w przeciągu lat dziesięciu doszła do takiego rozwoju, że właściciele działów wartości nominalnéj 4,000 liwrów przy sprzedaży otrzymywali za każdy po 10,400; każdy rok średni przynosił od 30 do 40 procentów, a rok 1606-ty przyniósł 75. Lecz to nie było jeszcze wszystkiém. Początkowy kapitał 7,920,000 liwrów urósł do takiego stopnia, że według bilansu z r. 1661, kompania z procentów od niego i dochodów bieżących mogła utrzymywać 15,000 wojska dla

obrony swych twierdz w Indyach i na wyspach Zondzkich, a na swych składach, okrętach i biurach — 80,000 urzędników i marynarzy. Stolicą jéj było miasto Batawia na wyspie Jawie. Wogóle zaś na 20,000 okrętów, obsługujących handel państw europejskich z innemi częściami świata, 16,000 należało do Holendrów wyłącznie. W ślad za holenderską kompanią handlową powstały w Anglii: kompania indyjska w r. 1599 i dwie, w Londynie i Plymouth, amerykańskie w r. 1606. Tym dwom zawdzięczają Anglicy zdobycie Ameryki Północnéj; pierwszéj—posiadanie Indyi. Rozwiązana w r. 1858, przez dwa i pół wieki istnienia, dosięgła ona znaczenia potężnego państwa. Za Holandyą i Anglią poszła Dania i Szwecya.

Wobec tego ruchu Francya nie mogła pozostawać bezczynną, témbardziéj, że panowanie Henryka IV-go wyleczyło ją z ran zadanych przez wewnętrzne wojny religijne, a panowanie Ludwika XIII wzmocniło pod rządami Richelieu'go władzę centralną, a więc potęgę jéj i znaczenie na zewnątrz. Przeto, jako zapowiedź czynniejszego wystąpienia tego państwa na polu handlu zamorskiego i kolonizacyi, uważać można patent królewski z r. 1626, mianujący Richelieu'go „Wielkim Mistrzem, naczelnikiem i superintendentem nawigacyi i handlu we Francyi.” Lecz właśnie, czy we Francyi, wskutek jéj urządzenia państwowego, mogły powstawać kompanie handlowe, jakich ówczesny stan rzeczy jedynie wymagał i jakie mogły tylko się wyłącznie utrzymać? Dzieje kompanii handlowych francuskich odpowiadają wymownie na to pytanie.

Gdy ów patent królewski wykazał gotowość rządu do przedsięwzięcia nawigacyi i handlu, wolny i otwarty Madagaskar mógł najpierwéj zwrócić na siebie uwagę Francuzów. Jakoż w r. 1642 kapitan marynarki, Rigault z Dieppe, zawiązuje kompanię handlową i udaje się do wielkiego mistrza z prośbą o ustąpienie jéj Madagaskaru i wysp przyległych w celu założenia tam kolonii i zawiązania z tą wyspą handlu. Richelieu prośbie téj zadość uczynił i wydał 24 czerwca tegoż roku żądany patent koncesyjny na lat dziesięć, z tym jedynie warunkiem, by Madagaskar i sąsiednie wyspy były objęte w posiadanie przez kompanię w imię panującego we Francyi Ludwika XIII.

Po otrzymaniu patentu nastąpiła niezwłocznie wyprawa. Przedstawiciel utworzonéj kompanii i zarazem jéj główny agent, Pronis, na czele 82 różnego powołania ludzi, jeszcze w jesieni tegoż roku wylądował na Madagaskarze i, stosownie do warunku, objąwszy tę wyspę, a wkrótce również i jedną z Maskareńskich, bliżéj na wschód leżącą, któréj nadał nazwę Bourbon (dzisiejsza Réunion), w posiadanie w imię panującego we Francyi, osiedlił się stale na południowo-wschodnim

krańcu Madagaskaru, w osadzie nazwanéj Sainte-Luce (dzisiejsza Manghafia).

Zajęcie Madagaskaru przez Francuzów nie wzbudziło żadnych protestów ze strony innych ludów europejskich i Francya, raz objąwszy wyspę, mogłaby nią władać stale na takich prawach, na jakich władały Ameryką Południową Hiszpania i Portugalia, Północną — Anglia i t. d., to jest na prawach pierwszego zdobywcy. A jednakże tak się nie stało.

Po upływie dziesięcioletniego terminu kompanii Rigault, powstała druga, po niéj zaś trzecia, już pod protektoratem królewskim, nakoniec, po trzykrotnych próbach kolonizacyi Madagaskaru za pomocą kompanii handlowych, rząd francuski, na wzór Hiszpanii i Portugalii, sam bezpośrednio przystąpił do kolonizacyi Madagaskaru i eksploatacyi téj wyspy. I chociaż podówczas te rządy sprawował i na tronie zasiadał Ludwik XIV-ty, w trzydzieści dwa lata po pierwszém wylądowaniu na téj wyspie Pronisa z drużyną kolonizacyjną, garstka Francuzów zamieszkałych na niéj, opuszczona przez wodza mianowanego przez tego króla, środków obrony lub ucieczki pozbawiona, marnie zginęła pod morderczemi ciosami krajowców...

Pierwsza ta karta dziejów kolonizacyi Madagaskaru, przez Francuzów w XVII-ym wieku, stanowi obraz sam w sobie całkowicie zamknięty. Na wspaniałe ramy do tego obrazu składają się doniosłe wypadki dziejowe ogólnego znaczenia, oraz agitacya polityczno-ekonomiczna, podjęta we Francyi przez najpotężniejszego w niéj monarchę. Wspaniałość ram podnosi i uwydatnia grozę i tak już groźnego z przyczyny swéj treści obrazu...

Przyszli historycy ludzkości, za lat tysiące, badając okres dziejów przez nas nowożytnemi nazywanych, staną bezwątpienia wobec trudnéj do rozwiązania dla siebie zagadki, jakiéj im dostarczy stosunek europejczyków do ludności miejscowéj w odkrywanych przez nich częściach świata. Dowiedziawszy się, że ci europejczycy wyznawali wtedy religię głoszącą, że wszyscy ludzie są dziećmi jednego Stwórcy, który osobiście, za pośrednictwem jednego narodu z pomiędzy wszystkich przez siebie wybranego, istność swą i zakon ogólnéj miłości dla wszystkich ludzi wszystkim ludziom objawił; historycy ci nie będą w stanie tych swych wiadomości pogodzić z faktami, udowodnionemi zresztą przez niecofnione rezultaty, że ciż europejczycy, w zetknięciu się z krajowcami innych części świata, do których przybywali, nietylko owéj miłości, chełpiąc się doskonałością zasad owéj swéj religii, przez nią nakazywanéj, dla téj ludności nie poczuli i nie okazywali, ale wręcz przeciwnie; przejąwszy się jakąś instynktową nienawiścią ku tym kra-

jowcomi, jako dla istot w swém rozumieniu od siebie niższych, a więc nie posiadających tych praw, co oni, pogardą, wszelkie sposoby tępienia ich do praktyki wprowadzili i w praktykowaniu tych sposobów jaknajdłużéj wytrwać usiłowali.

Przykład Hiszpanów i Portugalczyków ostrzegł inne narody europejskie, że ci źle się rządzą przy wyzyskiwaniu bogactw w zdobywanych krajach i do zmiany sposobu gospodarowania nakłonił; ale na zmianę postępowania tych narodów z ludnością miejscową nic nie wpłynął. Francuzi na Madagaskarze nie inaczéj postępować zaczęli z jego mieszkańcami, jak Hiszpanie i Portugalczycy postępowali z mieszkańcami Ameryki i innych krajów, dokąd się tylko dostawali.

Złe stosunki z ludnością miejscową były pierwszą przyczyną niepowodzenia Francuzów na Madagaskarze. Drugiéj, nim bieg wypadków inne odsłoni, szukać należy, rzecz dziwna, w braku ludzi odpowiednich do ważności przedsięwziętéj sprawy.

Chociaż trudne były warunki, w których się znaleźli pierwsi koloniści francuscy na Madagaskarze, jednakże te trudności wcale nie przewyższały tych, w jakich obecnie podobne wyprawy znajdują się nieraz, a również wcale nie były tego rodzaju, by je roztropność, uczciwość i energia, wymagane od każdego, a tém bardziéj od stojącego na czele takiego przedsiębiorstwa, nie mogły przezwyciężyć. Wymieniony agent kompanii Rigault'a, Pronis, jak się okazało, był całkowicie pozbawiony tych właściwości.

Jeżeli ustępując utartemu zwyczajowi, wylądować musiał na brzegu wschodnim Madagaskaru, od niego przynajmniéj zależało wybrać na tym brzegu najbardziéj zdrową miejscowość. Tego nie uczynił. Założona przez niego osada Sainte-Luce, otoczona bagnami, odrazu zgubnie wpłynęła na stan zdrowia młodéj kolonii i z niéj wnet poczęli ubywać skutkiem chorób pracownicy różni. Poprzednie i współczesne wyprawy nauczyły, że należało z sobą przywozić znaczne zapasy wszelkich przedmiotów, do których w Europie ludzie przywykli, a których brak na miejscu może być szkodliwy dla zdrowia i usposobienia; a nadto, należało zaopatrzyć się w różne towary, któreby mogły zastępować nie wszędzie jeszcze znane i przyjmowane pieniądze przy nabywaniu od krajowców żywności i innych koniecznych materyałów. Zapasy potrzebne przygotowane były, ale Pronis trwonił je nieoględnie, jedynie dla swéj zabawy i wygody, co narażało na szkody interesa ogólne całéj wyprawy i poszczególnych jéj uczestników. Duch czasu, nie pozwalając uznawać w innych rasach człowieka, prowadził do traktowania mieszkańców Madagaskaru jako zwierzęta. Lecz i nie ze

wszystkiemi zwierzętami, życie uczy, należy się obchodzić jednakowo. Jeżeli się tępi szkodliwe, groźne istnieniu lub mieniu, ochrania się spokojne, a témbardziéj przynoszące korzyści. Zachowanie się początkowe mieszkańców Madagaskaru względem Francuzów świadczyło, że ci mają przed sobą zwierzęta spokojne i mogące przynosić korzyści. Przybywali do nich tłumnie, z oznakami zadowolenia i podziwu, przynosili żywność, ofiarowywali ręce do pracy. Pronis życzliwością ich gardził, wytępienia ich zapragnął. Ponieważ sił mu nie starczyło do rozpoczęcia tępienia bezpośrednio, dwoma począł posługiwać się środkami. Podżegając do ciągłych walk jedne plemiona przeciwko drugim, przebiegle pomagał to jednéj, to drugiéj stronie. Porywał kogo mógł i sprzedawał jako niewolników, poprzednio znęciwszy zdradziecko do siebie. I stał się rzadki w podobnych okolicznościach wypadek. Kara nań spadła z własnego otoczenia. Właśni współtowarzysze i podwładni, w przewidywaniu opłakanych dla siebie skutków takiéj jego gospodarki, po dwakroć go więzili i władzy pozbawiali [1]. O czém, gdy wieści doszły do zarządu kompanii, wysłała ona w r. 1648 na Madagaskar nowego naczelnika w osobie Stefana de Flacourt.

Był to już człowiek inny. Wykształcony, uczciwy, przedsiębierczy, wziął się śmiało do naprawy złego, przez poprzednika wyrządzonego kolonii. Przeniósł bardziéj na południe osadę francuską, zrobił z niéj twierdzę, nazwaną Fort-Dauphin, ku uczczeniu nowonarodzonego syna Ludwika XIV-go; wprowadził należyty ład do administracyi, badał kraj w rozmaitych kierunkach i napisał pierwszą monografię wyspy, służącą jeszcze dotychczas za podstawę poważniejszych wiadomości o Madagaskarze [2]. Ale będąc współcześnikiem Pronisa, postępowania jego z krajowcami nie potępił i sam poniekąd w jego ślady wstąpił, skoro w tém szukał chluby, że pięćdziesiąt ich wsi w przeciągu lat dwóch spalił.

Po upływie terminu dziesięcioletniego koncesyi, rząd na jéj przedłużenie się nie zgodził, kolonizacya więc Madagaskaru czasowo zaniechaną została. Rezultaty pierwszéj próby pozostały w szczątkach fortyfikacyi, w nazwie ich Fort-Dauphin, Faradefai, jak przezwali je krajowcy, a głównie w pamięci tych krajowców.

---

[1]) Pronis dwunastu oporniejszych sobie ze swych podwładnych po pierwszém swém uwięzieniu skazał na wysiedlenie na wyspę Bourbon. Byli to pierwsi, choć nie dobrowolni, koloniści na téj wyspie.

[2]) *Histoire de la grande isle Madagascar*, 1661. Autor, gdy po wydaniu tego dzieła, powracał z Francyi na Madagaskar, zaskoczony przy brzegach portugalskich przez rozbójników morskich, by nie wpaść w ich ręce, podpaliwszy zapas prochu na okręcie, wyleciał z nim w powietrze.

Druga kompania handlowa, zawiązana w r. 1652 już za panowania Ludwika XIV-go, a za rządów Mazariniego, na czele któréj stanął książę De la Meilleraye, otrzymała koncesyę na lat piętnaście. Zakres jéj działalności został rozszerzony, objęła bowiem Indye całe. Gdy, po urządzeniu się jéj nadeszła koléj zajęcia się Madagaskarem, w r. 1659 wysłano na tę wyspę nową wyprawę pod dowództwem De Champmargou. Ten, przypisując brak powodzenia pierwszéj złemu jéj postępowaniu z krajowcami, postanowił inaczéj wziąć się do rzeczy. Przybywszy do Fort-Dauphin, polecił niejakiemu Lacase, który zwiedził już był kilkakrotnie poprzednio wyspę, udać się do krajowców i rozpocząć z nimi układy, prowadzące do zgody, wzajemnéj pomocy i przyjaźni. Dzicy, te stare dzieci, jak ich częstokroć nazywają, o przeszłości zapominając, dobrym słowom chętnie uwierzyli. Jakoż w kilka miesięcy, okrążające Fort-Dauphin plemiona zawarły z Champmargou uroczyste przymierza. Powodzenie jednakże Lacase'a wzbudziło zazdrość w przełożonym. Rozpoczął go podejrzywać, wobec sprzymierzeńców upakarzać, zmniejszać doniosłość za jego pośrednictwem zawartych przymierzy. Lacase zmuszony został opuścić kolonię. Lecz już nie do staréj się swojéj udał ojczyzny, lecz do swych nowych przyjaciół. Jeden z naczelników plemienia przyjął go, ożenił ze swą córką, do znaczenia w radzie plemiennéj i do wywierania wielkich w niéj wpływów dopuścił. Charakterystyczny ten wypadek, tak wymownie świadczący o usposobieniu tych dzikich łagodném i przyjazném, miał swe poważne następstwa.

Początkowe to postępowanie Champmargou względem krajowców wyprzedzało wiek swój. Duch czasu wszelako dokonać nie zaniedbał swego. Opis wypadków, które stanowczy sprawiły zwrot w stanie dotychczasowym rzeczy na Madagaskarze, ustępuję Ludwikowi Pauliat, skrzętnemu badaczowi losów téj wyspy za Ludwika XIV. „Kompania, już to by znaléść potężnych protektorów w Paryżu, już to by złożyć ofiarę upodobaniom propagatorskim epoki, powzięła zgubny pomysł wysłania na Madagaskar niejakiego łazarzysty o. Stefana, rozkazując przytém Champamargou, by ten we wszystkiém był mu pomocny przy nawracaniu krajowców... O. Stefan był fanatykiem pozbawionym zdolności zastanawiania się nad istotą rzeczy. Wnet po swojém przybyciu, bez wszelkiego przygotowania, a z gwałtownością niedającą się niczém wytłómaczyć, począł nalegać na krajowców, którzy odwiedzali Fort-Dauphin, by ci przyjmowali chrystyanizm. Natarczywość jego wywarla ten tylko skutek, że odstręczyła od kolonii wszystkich, którzy ją poprzednio odwiedzali, témbardziéj, że Champmargou według instrukcyi musiał powtarzać jego słowa i we wszystkiém go

wspierać. Nie była to jeszcze wojna, lecz ogólne niezadowolnienie, mogące w danéj chwili przybrać wyraźny charakter nieprzyjaźni.

„Dian-Manong, naczelnik jednego z potężniejszych plemion na południu, był naszym—słowa francuskiego autora—najlepszym sprzymierzeńcem. Przekonany, że jego nawrócenie, jeśliby doszło do skutku, pociągnie za sobą nawrócenie naczelników innych plemion, o. Stefan udał się do jego osady, wtargnął do jego domu, pochwycił jego amulety i posążki bogów i powrzucał do płonącego ognia. Oburzony Dian-Manong zebrał swoich podwładnych i pojmawszy powracającego do Fortu o. Stefana, zabił go i wymordował jego otoczenie. Champmargou nie mógł pozostać bezczynnym wobec tego faktu. Wystąpił więc z wojskiem złożonem z 600 Francuzów i 1,500 krajowców, lecz, otoczony nad brzegiem rzeki przeważającemi siłami wyzwanego do walki Dian-Manonga, oczekiwał już losów o. Stefana, gdy oto niespodziewaną otrzymał pomoc. Lacase, sprawujący po śmierci swego teścia w imieniu żony rządy nad plemieniem, otrzymawszy wiadomość o niebezpieczeństwie grożącém swym rodakom, przybył im na odsiecz z 3,000 krajowców i 10 Francuzami. Dian-Manong został pobity. Francuzi ocaleli. Ale — mówi daléj nasz autor — rozpoczęła się pomiędzy nimi a krajowcami wojna sroga, bezlitosna, w któréj obie strony niszczyły wszystko ogniem i mieczem, w któréj żadna ludzka istota nie była oszczędzana ni dla wieku swego, ni dla płci i w któréj nakoniec zwycięstwo nie zawsze bywało po stronie Francuzów. Już raz nawet zostali osaczeni w Fort-Dauphin tak przeważającemi siłami krajowców, że nic im innego nie pozostawało, jak wymrzéć z głodu lub uciekać. Po raz drugi stanął Lacase w roli zbawcy, zaszedłszy bowiem ze swoimi z tyłu oblegających, zmusił ich do odstąpienia" [1]).

Gdy takie rzeczy działy się na Madagaskarze, we Francyi, w metropolii, wielkie zachodzą zmiany. Ludwik XIV-ty po śmierci Mazarini'ego w r. 1661 został sam swym pierwszym ministrem. Nie były to wcale czcze przechwałki, dla zamaskowania rządów ulubieńców służące. Znał on i polubił rzemiosło królewskie. Ogłaszając się swym pierwszym ministrem, Ludwik XIV-ty miał dwojaki cel na względzie: wewnątrz kraju wynieść władzę królewską ponad wszystkie funkcye państwowe; zewnątrz kraju — wynieść Francyę ponad wszystkie państwa europejskie. Los mu sprzyjał początkowo. Kraj dostarczał odpowiednich do szerokich jego planów pomocników. Jan Colbert, jeden ze znakomitych administratorów, jakich imiona podają

---

[1]) L. Pauliat. „Madagascar". Paris, 1884, p. 24—25.

dzieje, od r. 1661 zasiadał już w radzie skarbowéj; w 1664 został ministrem marynarki; w 1665 ogólnym kontrolerem skarbu państwa. Miał więc sobie powierzone dostarczanie środków materyalnych, niezbędnych do urzeczywistnienia pięknych zamiarów królewskich.

Jednym z tych środków, i to nieposlednim, powinno było zostać podniesienie handlu zamorskiego i jego uregulowanie. Handel owczesny zamorski opierał się, jak wiemy, na kompaniach handlowych w państwowe atrybucye opatrzonych, których wzory dostarczała Holandya i Anglia, jaka jedna, utworzona dla eksploatowania Indyi i Madagaskaru, istniała już we Francyi od 1652 r. Na początku roku 1664 zostaje utworzona nowa dla Indyi zachodnich, to jest Ameryki. A ponieważ przebieg spraw w kompanii księcia De la Meilleraye nie wydawał zadawalniających rezultatów, podjęto myśl utworzenia dla Indyi wschodnich nowéj kompanii, chociaż termin tamtéj nie był jeszcze upłynął lecz trwał do r. 1667. Utworzeniem nowéj téj kompanii zajął się król osobiście, gdyż za jéj pośrednictwem osiągnąć się spodziewał doniosłych celów politycznych.

Chociaż ostatecznie najpotężniejszym wrogiem handlu zamorskiego i kolonizacyi francuskiéj okazała się Anglia; chociaż do niéj to przeszły wszystkie nabytki francuskie za Ludwików XIV i XV dokonane w innych częściach świata; w oczach owoczesnych polityków inaczéj się rzeczy przedstawiały. Ludwik XIV, będąc sam swym pierwszym ministrem, sam prowadził politykę państwową. W Anglii, po pierwszéj rewolucyi i rządach Kromwela nastąpiła restauracya; Karol II zasiadł na tronie, od którego śmierć Karola I na zawsze, jak się zdawać mogło, Sztuartów oddalała. Karol II stał się powinowatym Ludwika XIV przez siostrę Henrykę, która wyszła za mąż za brata jego, księcia Orleańskiego; stał się naśladowcą Ludwika XIV, płatnym jego pomocnikiem, jawnym i tajemnym sprzymierzeńcem, a nadto, sprzyjał on z obawy protestantyzmu téj religii, którą wyznawał i bronił Ludwik XIV. Dość więc było powodów by uśpić przezorność tego ostatniego, konieczną w polityce, lub interes dynastyczny zespolić w nim z zasadą narodową. Inaczéj się rzeczy przedstawiały ze strony Holandyi. Miała ona rządy republikańskie, wyznawała protestantyzm, a przytém sąsiadowała prawie z Francyą.

Kompanie handlowe francuskie znalazły gotowe współzawodnictwo w kompaniach innych narodów, poprzednio założonych i dawniéj zagospodarowanych. Kompania amerykańska—w dwóch kompaniach angielskich, a kompania indyjska—w kompanii holenderskiéj. Ponieważ wszystkie zasadnicze pojęcia oddalały Ludwika XIV od Holandyi, do współzawodnictwa handlowego na oceanie Indyjskim przyłączyło

się w Europie współzawodnictwo polityczne, podniesione do potęgi antagonizmu polityczno-religijnego. Odmienna polityka Ludwika XIV względem Holandyi, od polityki jego względem Anglii, uwydatniła się przedewszystkiém w udziale tego króla, jaki przyjął w założeniu i sprawach obu wyżéj wymienionych kompanii handlowych. Gdy dla amerykańskiéj pozostawał obojętnym, indyjską zakłada i staje się jéj rzeczywistym kierownikiem początkowym, chociaż stanowisko jego pozwalało mu tylko działać przez osoby trzecie, a kierować całą sprawą mógł jedynie pozostając sam za kulisami. To samo wszakże stanowisko, które mu przeszkadzało osobiście w sprawie występować, ułatwiało wynalezienie pośredników sprawie, a właściwie osobie swéj, całkowicie oddanych.

„Nic bardziéj nie uwydatnia szczupłości granic ludzkiéj działalności, twierdzi L. Pauliat w innén znowu dziele, jak fakt, że nie uważając na czasy, otoczenie i wszelkie inne okoliczności, jednakże potrzeby zmuszają ludzi na pozór zupełnie od siebie różnych, do jednakowych sposobów działania. By utworzyć kompanią Indyi wschodnich w 1664 r. i w tym celu ściągnąć akcyonaryuszów, król Francyi, który nadto jest Ludwikiem XIV, dwa przeszło temu stulecia, używa tych samych środków i środeczków, jakiemi dzisiaj posługują się spekulanci giełdowi, gdy im wypada dla podtrzymania lub wyśrubowania jakiego interesu zyskać zaufanie publiczności i wymódz na niéj pieniądze [1].” W kwietniu 1664 r. pokazała się w Paryżu broszura pod tytułem: *Discours d'un fidèle sujet du Roy touchant l'Etablissement d'une Compagnie française pour le commerce des Indes Orientales. Adressé à tous les François.* Rzecz ta wydana bezimiennie została napisaną przez akademika Charpentier, z wiadomością króla, jak autor dyskretnie nadmienia w pracy swéj innéj, wydanéj w roku następnym pod tytułem: *Relation de l'Etablissement de la Compagnie française pour le commerce des Indes orientales, par Charpentier, academicien*, 1665.

Lecz w jaki to sposób nowa kompania handlowa miała służyć celom politycznym Ludwika XIV? Wiążąc sprawy handlowe téj kompanii ze swojemi planami politycznemi, Ludwik XIV pod pozorem wytworzenia z téj wyspy takiego ogniska posiadłości francuskich na oceanie Indyjskim, jakiém była wyspa Jawa dla posiadłości holenderskich, po-

[1]) Louis Poliat: *Madagascar sous Louis XIV. Louis XIV et la Compagnie des Indes Orientales de 1664, d'après des documents inédits tirés des archives coloniales du Ministère de la Marine et de Colonies.* Paris, 1886. Praca ta źródłowa, oparta na nieznanych dotychczas lub niezużytkowanych dokumentach rządowych, dostarczy mi głównych faktów i cytat.

stanowił przeprowadzić kolonizacyą Madagaskaru w szerszych rozmiarach, niż dokonać tego mogła kompania handlowa De la Meillaraye. Nie wątpił on bowiem, że znalazłszy punkt oparcia na Madagaskarze, zamieszkałym przez Francuzów i do stanu obronnego należycie doprowadzonym, pokonać zdoła Holendrów na oceanie Indyjskim, co wpłynie na przebieg wojny z Holandyą w Europie, którą to wojnę w umyśle swym przygotowywał i która w rzeczy saméj wybuchła w 1672 r.

Otóż w owym to *Discours d'un fidèle sujet du Roy*, Charpentier w myśl Ludwika XIV łączy handel z Indyami z kolonizacyą Madagaskaru a podstawę tego handlu niewzruszoną upatruje w wytworzeniu na téj wyspie głównéj siedziby kompanii, co bez kolonizacyi wyspy stać się nie mogło; wykazawszy zaś wyższość Madagaskaru nad Jawą, jako leżącego na drodze do Indyi i o jedną trzecią bliższego niżli Jawa a również jako posiadającego klimat bardziéj umiarkowany, a więc lepiéj kolonizacyi sprzyjający, zachęca wszystkie stany państwa do podpisywania się na akcye i dodaje, iż ma wszelkie prawo do twierdzenia, „że król, dla zachęcenia innych do przyjęcia udziału w przedsięwzięciu, raczy wziąć na siebie dziesiątą część kosztów w pierwszéj wysyłcę okrętów, a jeszcze większą, jeśli się okaże tego potrzeba, w drugiéj, trzeciéj i czwartéj..." I kończy taką apostrofą: „Przystępujcie więc do stowarzyszenia, szlachetni Francuzi! Łączcie się, by otworzyć przed sobą drogę sławną, którą klęski minione przed wami dotychczas zamykały, drogę, która was zaprowadzi do niezliczonych bogactw, co się pomnożą jeszcze w rękach waszych dzieci; drogę, którą nakoniec wy wniesiecie grozę waszego miecza do części świata wam dotychczas nieznanych... Płyńcie śmiało pod znamionami niezwyciężonego Ludwika i bądźcie pewni, że nie ma żadnéj podstawy do obawiania się obcych narodów, którym król wasz zdoła w potrzebie nakazać poszanowanie swego imienia i wzbudzić strach przed sobą."

Agitacya szła pospiesznie. Znać, że nią kierowała ręka potężna wszechwładnego monarchy, chociaż tylko z po za kulis...

Rzecz Charpentiera wyszła w kwietniu, w maju zaś już w dnie 21, 23 i 26, jeden z poważniejszych kupców paryskich Eustachy Faverolles zwołuje wstępne zgromadzenie zainteresowanych projektem kompanii w celu ułożenia jéj ustawy. Obrady odbywały się wobec sekretarza króla i jego rad, Beryer. Gdy ustawa została ułożoną, wybrano niezwłocznie delegacyę z dziewięciu osób do przedstawienia jéj królowi. Dwór przebywał podówczas w Fontainebleau. Członkowie delegacyi wyruszywszy 28 tegoż miesiąca z Paryża do rezydencyi królewskiéj, w zamku jako goście królewscy pomieszczeni, otrzymali nazajutrz uroczyste posłuchanie.

Ustawa nowéj kompanii była ułożona na wzór wszystkich zawiązywanych w owe czasy tego rodzaju kompanii obcych. Będąc zupełnie od rządu pod względem finansowym, jako oparta na złożonym przez akcyonaryuszów kapitale, niezależną, posiadać miała zupełny samorząd wewnątrz a atrybucye państwowe na zewnątrz. Przez akcyonaryuszów i z pośród akcyonaryuszów na ogólném ich zebraniu drogą wyborów powołani dyrektorowie, z Paryża dwunastu, a dziewięciu z prowincyi, stanowić mieli tak zwaną *Chambre de la Direction générale de la Compagnie* (Izbę dyrekcyi ogólnéj). Z członków téj izby miał powstać *Conseil souverain* (rada rządząca), a na jego czele stanąć *Président du Conseil souverain* (prezes rady) jako przedstawiciel kompanii i jéj główny administrator. Jak w tym wypadku, ustawa zastrzegała, że zebranie ogólne w celu wyboru dyrektorów powinno było nastąpić najpóźniéj we trzy miesiące po wniesieniu deklaracyi królewskiéj, uznającéj ustawę, do ksiąg parlamentu. Od tego bowiem aktu rozpoczynało się istnienie prawne kompanii.

Król uprzejmie delegacyę powitał, z rąk jéj ustawę przyjął, tegoż dnia ją przejrzał, na wszystkie żądane przywileje się zgodził, niektóre nawet powiększył, a rozbierając artykuł po artykule i odnośne do niego pisząc na marginesie uwagi i decyzye, na przeciw artykułu VII, stanowiącego o terminie wyboru dyrektorów, pomieścił słowa następne: „Przyznamy, z warunkiem, że ci wszyscy, którzy zechcą wejść do rzeczonéj kompanii, postanowienie swe zeznają i nazwiska zapiszą na pierwszém zgromadzeniu i na niém równocześnie wybiorą dwunastu syndyków, ci zaś się podejmą dokonywać wszystkich czynności, które dla założenia rzeczonéj kompanii dokonać do czasu wybrania dyrektorów należy."

Ustanowienie w ten sposób przez króla komitetu syndyków na pozór ułatwiało tylko wprowadzenie w życie kompanii. Co zaś kryło pod sobą, do czego zmierzało, wypadki następne dopiéro wykazały.

Dnia 5 czerwca komitet syndyków z 12 członków, w myśl przytoczonych słów królewskich na ogólném zebraniu drogą wyboru był ustanowiony; z 9 delegatów weszło do niego siedmiu. Pierwszą czynnością tego komitetu było ogłoszenie zapisów na akcye z ustanowieniem terminu ich zamknięcia. Kapitał zakładowy miał wynosić 15 milionów liwrów. Zapisujący się, deklarowaną sumę powinien był składać w trzech równych ratach w przeciągu lat trzech (w miesiącu grudniu 1664, 1665 i 1666 r.) w kasie kompanii, mającéj się otworzyć wraz z rozpoczęciem się prawnego istnienia saméj kompanii. Od tego czasu zapisy na akcye ciągnąć się miały tylko pół roku.

Zaraz na wstępie dotychczasowa uprzejmość królewska przybrała formy czynnéj pomocy. Dnia 13 czerwca z kancelaryi królewskiéj wyszło 119 listów do zarządu znaczniejszych miast we Francyi, upoważniające te zarządy do nakłaniania ludności miejskiéj, by się zapisywała na akcye kompanii. Aby zaś nie brakło środków do wprowadzenia w życie uchwał początkowych komitetu syndyków, nazwanego przytém Komitetem inicyatywy, król oświadczył, że składa 3 m. liwrów jako bezprocentową na lat 10 pożyczkę kompanii z zastrzeżeniem, że straty pieniężne przez nią poniesione z tego kapitału będą pokryte. Pierwsza asygnacya do kasy państwa na przelanie do kasy kompanii 300 tysięcy liwrów nosiła własnoręczny podpis królewski.

Tak wyraźne zainteresowanie się króla sprawami kompanii nie mogło pozostać bez wpływu na bliższe i dalsze otoczenie królewskie. Jakoż dwór zakupił za 2 m., wyżsi urzędnicy za 1 m. 200 tysięcy; znaczniejsi bankierzy za 2 m. Dziesięć miast większych odpowiedziało na list królewski zakupieniem za 2 m., syndycy na 306 tysięcy. Słowem, jeszcze przed rozpoczęciem się prawnego istnienia kompanii rozebrano akcyi przeszło na 8 m. liwrów [1]).

Lecz i na rozpoczęcie prawnego istnienia długo czekać kompania nie miała. Dnia 1 września 1664 r., deklaracya królewska, uznająca statut kompanii, do ksiąg parlamentu została wpisaną. Kompania istnieć prawnie poczęła. A do czasu wybrania dyrektorów i otwarcia izby dyrekcyi, komitet syndyków, inaczéj inicyatywy, skupiał w sobie przedstawicielstwo i główny zarząd kompanii [2]). Kompania prawnie istniała, chociaż na jéj czele stał tylko tymczasowy zarząd i to utworzony na wniosek królewski. Gdy ów zarząd ogłosił, że od 23 października kasa kompanii jest otwartą dla przyjmowania gotówką od akcyonaryuszów ustanowionéj statutem części ich wkładów, pieniądze poczęły napływać. Jedna trzecia rozebranych akcyi została w całości pokryta jeszcze przed upływem terminu pokrywania; co z pieniędzmi złożonemi przez króla stanowiło kapitał, dający możność rozpoczęcia roboty...

---

[1]) W tym ogólnym zapale do nabywania akcyi, uderza powściągliwość jeśli nawet nie zła wola miasta Paryża. Bogate to miasto zapisało się na 346,000 liwrów, w któréj to sumce jedno tylko stowarzyszenie sukienników na 180,000; więc wszystkie inne na 166,000. To usposobienie Paryża wywarło wielki wpływ na dalszy przebieg wypadków.

[2]) Dowodziła tego tablica z napisem: *Compagnie des Indes Orientales*, umieszczona nad domem, gdzie komitet syndyków obradował i posiadał swoją kancelaryę.

I robota się niebawem rozpoczęła. Znalazłszy w syndykach, co przewidział, ku czemu wszelkich starań przyłożył, powolne narzędzie swéj woli, Ludwik XIV bezwłocznie postanowił przystąpić do kolonizacyi Madagaskaru, pomimo że, ze względu na cel główny kompanii, zawiązanie stosunków handlowych z Indyami mogło w oczach akcyonaryuszów uchodzić za rzecz ważniejszą. Lecz kolonizacya Madagaskaru była w związku ścisłym z planami politycznemi tego króla.

Jakoż komitet syndyków, uchwaliwszy w myśl planów królewskich kolonizacyę Madagaskaru jako zasadniczy wstęp do wszelkich innych czynności, utworzył Komisyę Zakupów, któréj powierzone było przygotowywać wyprawę na Madagaskar; a więc nabywać okręty gotowe, stosownie do potrzeby przerabiać lub je naprawiać, skupywać konieczne dla wyprawy zapasy. Czynności te odbywały się we wszystkich portach zachodnich Francyi. Daléj, komitet syndyków utworzył radę tymczasową (*Conseil Particulier*), by w zastępstwie do czasu obrania rady rządzącéj wysłać ją na czele wyprawy na Madagaskar. W październiku dla téj rady zastępczéj były już wypracowane instrukcye; w afiszach zaś wzywających w imieniu króla do przyjęcia udziału w téj wyprawie, obok ponętnego opisu wyspy, jéj bogactw i klimatu, wyliczano przywileje dla uczestników. Szlachta, otrzymując ziemie na Madagaskarze, otrzymywała zarazem tytuły różne do téj ziemi przywiązane, które takie same miały mieć znaczenie prawne następnie i we Francyi; pobyt pięcioletni dla rzemieślników na téj wyspie miał nastąpić po powrocie do Francyi drogą różnych opłat i starań otrzymywane świadectwa cechowe na swobodne wykonywanie swojego rzemiosła; rodziny niezamożne, pragnące w celach kolonizacyi osiedlić się na Madagaskarze, przewiezione i utrzymywane w drodze na kredyt, z dochodów ziemi sobie darowanéj miały dopiéro zwracać koszta podróży i spłacać pożyczkę na zagospodarowanie się sobie udzieloną. Nakoniec komitet syndyków zwrócił się do króla z prośbą, by on przyjął na siebie ciężar mianowania najwyższego urzędnika kompanii, mającego rezydować na Madagaskarze.

Ludwik XIV w odpowiedzi na te wszystkie przygotowania, rozporządzenia, projekta i wnioski, rozkazem gabinetowym przezwał Madagaskar Wyspą Delfina, a na pieczęci kompanii zezwolił dać napis *Gallia Orientalis* (Francya wschodnia).

Wynikiem gorącéj a wszechstronnéj działalności komitetu było to, że już 6 marca, w roku następnym, to jest w dziewięć miesięcy po jego zawiązaniu się, pierwsza wyprawa na Madagaskar na czterech okrętach wyruszyła z Brestu, a na środek lata, na lipiec, była z Rochel-

li zapowiedziana druga, tak nazwana **wielka** wyprawa, którą składać miało już dziesięć okrętów.

Pierwsza wyprawa przewiozła na wyspę Delfina (gdyż tak mianować w urzędowych dokumentach rozpoczęto Madagaskar) radę tymczasową, któréj prezesem został De Beausse, a jego pomocnikiem De Montaubon, w otoczeniu 491 ochotników, na jaką to cyfrę złożyli się oficerowie, żołnierze, rzemieślnicy i przyszli koloniści. Według instrukcyi, rezydencyą rady miał się stać Fort-Dauphin, a czynności jéj rozpocząć się od: 1) objęcia w posiadanie wszystkich posiadłości poprzednich kompanii; 2) wysłania oddziałów wywiadowczych we wszystkich kierunkach w głąb wyspy dla zbadania kraju i szczegółowego jego pod względem produkcyi opisu; 3) wysłania jednego ze czterech okrętów dla okrążenia wyspy od południa i zachodu, w celu zbadania brzegów i portów w nieznanych jeszcze jéj częściach; 4) zebrania i wysłania do Francyi w jak najprędszym czasie na drugim okręcie próbek wszystkiego, co ta wyspa może dostarczyć dla handlu i przemysłu; 5) ułożenia szczegółowych przepisów dla utrzymania przy życiu i zdrowiu osiedlających się na wyspie Francuzów. Instrukcye te, jak widzimy, uwzględniały w jednakowéj mierze interesa kolonizacyi Madagaskaru z interesami handlowemi kompanii.

Pamiętna w dziejach kompanii data, 1 września, określała dwie inne; według ustawy we trzy miesiące powinno było odbyć się ogólne zgromadzenie akcyonaryuszów w celu wybrania dyrektorów, w sześć zaś—upływał termin zapisów na akcye. Jak to można było przewidywać, termin pierwszy upłynął a zgromadzenie ogólne nie odbyło się, bowiem, ani w interesie króla nie leżało by zastąpić komitet syndyków, powolne narzędzie w swojém ręku, innem, ani też ze stanu rzeczy nie wypływało, by sam komitet zapragnął złożyć w inne ręce swą władzę. Ale okoliczności zmusiły jednak do wprowadzenia administracyi kompanii choć pozornie na drogę prawną.

Gdy pierwsza wyprawa opuszczała brzegi Francyi, a druga, zapowiedziana na lipiec, spiesznie się przygotowywała, fundusze kompanii wskutek poniesionych i ponoszonych wydatków już się wyczerpały. A tymczasem pierwotny zapał do zapisywania się na akcye ostygł. Akcyonaryusze nowi nie przybywali; akcyi pozostawało jeszcze nie wziętych na 6 m. 820 tys. liwrów; termin zaś zamknięcia zapisów zbliżał się szybko, był to bowiem 1 kwietnia, 1665 r. Ratunek sytuacyi leżał w przedłużeniu terminu zapisów. Przedłużenie mogło tylko wyjść od prawnéj władzy kompanii—dyrekcyi. Zwołanie zgromadzenia ogólnego stało się rzeczą nieodzowną.

Ustępując konieczności, Ludwik XIV zdołał jednakże swoją wolę przeprowadzić i dyrekcyą nie inną, tylko taką, jaką chciał, wytworzyć. Kto miał zwołać zgromadzenie ogólne? Chyba sami akcyonaryusze lub zresztą komitet syndyków. Tymczasem zwołał król. Z pośród kogo powinni byli wybierać dyrektorów akcyonaryusze? Chyba bezpośrednio z pomiędzy siebie. Tymczasem listę kandydatów na dyrektorów ułożył sam król i do wybierania z niéj polecił. Podane głosy kto miał prawo obliczać i rezultat wyborów ogłosić? Chyba komitet *ad hoc* z wyborców złożony. Tymczasem zajął się tém sam król. Wskutek tylu niespodzianek, które na tém zgromadzeniu ogólném spotkało akcyonaryuszów, rzeczone zgromadzenie chyba wyjątkowe zajmuje stanowisko w historyi towarzystw akcyjnych i dla tego zasługuje na bliższe poznanie.

W połowie marca 1665 r., wszyscy akcyonaryusze kompanii handlowéj Indyi wschodnich otrzymali z kancelaryi królewskiéj listę ze 104 osób złożoną przy piśmie następnéj treści: „Panowie zainteresowani, posiadający głos czynny i bierny (mogący wybierać i być wybieranymi, co zależało od sumy akcyi) lub tylko czynny (tylko mogący wybierać) mogą wybrać z załączonéj listy dwunastu dyrektorów w celu utworzenia izby dyrekcyi ogólnéj w Paryżu; wybrane nazwiska wpiszą na karcie, którą zapieczętują swemi pieczęciami i złożą do skrzyni na zebraniu mającém się odbyć w pomieszkaniu królewskiém w Luwrze dnia 20 bieżącego marca 1665 r. o godzinie 2 po południu."

W dniu oznaczonym i o oznaczonéj godzinie, gdy król, wobec zgromadzonych akcyonaryuszów, zasiadł na przygotowaném dla siebie miejscu, kanclerz państwa odczytał rzecz téj treści: ponieważ liczbę kupców na tém zgromadzeniu przeważają przedstawiciele innych stanów, przeto wolą jest królewską, by *Sieur* Colbert był mianowany dyrektorem od imienia króla i całego dworu i by on zawsze na zebraniach dyrektorów przewodniczył; by w imieniu urzędników sądowych został mianowany drugi dyrektor, w imieniu urzędników skarbu trzeci. Pozostałych dziewięciu król pozwala z zupełną swobodą wybrać z pośród kupców; jako też pozostawia kupcom wybór trzech ważniejszych urzędników kompanii: kasyera, utrzymującego księgi i sekretarza. Po takiém przemówieniu kanclerza i złożeniu list wyborczych do urn, król posiedzenie zawiesił, a urny rozkazał odnieść do innego gabinetu, by w swojéj obecności policzyć głosy.

Protokół tego posiedzenia w dalszym ciągu głosi, że od urzędników sądowych został wybrany dyrektorem de Thou, owczesny poseł w Holandyi; od urzędników skarbu Beryer, wzmiankowany powyżéj sekretarz króla i jego rad; z 9 dyrektorów wybranych z pośród

kupców, 7 składało komitet syndyków. A ponieważ dyrektorowie wybierani byli na lat siedem, przeto taki skład dyrekcyi zapewniał królowi na lat siedem ze strony jéj zupełną uległość, gdyż opozycya nie mogła wyjść ani ze strony trzech dyrektorów, przedstawiających dwór, sądownictwo i skarbowość, gdy zwłaszcza pierwszy z nich miał przewodniczyć zawsze obradom, ani ze strony tych siedmiu, którzy poprzednio byli syndykami i pierwsi poczęli urzeczywistniać plany Ludwika XIV. O dyrektorach z prowincyi nie było na razie mowy.

Zastąpienie przez izbę dyrektorów dawniejszego komitetu syndyków nie wywarło dodatniego wpływu na publiczność. Przedłużenie terminu zapisu na akcye do 1 października zapału do nabywania ich nie wskrzesiło. A gdy pod koniec roku (1665) nastąpił w grudniu drugi termin wnoszenia gotówki za nabyte akcye w ilości drugiéj części całéj sumy, zamiast spodziewanych 2 m. 726 tysięcy liwrów, wpłynęło do kasy tylko 626 tysięcy. Stojący na czele kompanii otrzymali w taki sposób od akcyonaryuszów bardzo wymowne ostrzeżenie. Ci bowiem ostatni zapomnieć nie mogli o I art. statutu, który brzmiał, że uchylający się od wniesienia w miesiącu grudniu 1665 i 1666 r. dwóch trzecich należnych od nich pieniędzy, tracą jedną trzecią już złożoną w 1664 r. „która pozostaje na korzyść i w masie funduszów rzeczonéj kompanii.” Niezapłacenie więc w terminie oznaczonym drugiéj lub trzeciéj raty, pociągało za sobą utratę już wniesionéj i oznaczało wycofanie się z liczby akcyonaryuszów.

Izba dyrektorów prowadziła wszelako w dalszym ciągu roboty rozpoczęte przez komitet syndyków. Ponieważ na lipiec nie zdążono w Rochelli przygotować wielkiéj wyprawy, 24-go tego miesiąca z Hawru wysłano na Madagaskar dwa okręty w celu zawiadomienia rady tymczasowéj o biegu spraw w Paryżu i przewiezienia na tę wyspę 122 podążających na nią kolonistów i rzemieślników. Nie wstrzymały przygotowywania wielkiéj wyprawy nawet pod koniec tego roku wynikłe trudności pieniężne. Król powagą swoją ochraniał, środkami zapomagał dyrekcyą.

Ale z innego rodzaju spotkała się ona trudnościami w urzeczywistnieniu celów kompanii właściwych i istotnych.

Ludzie doskonali, gdy rzecz szła o politykę, umiejętne godzenie planów królewskich z zadaniem kompanii, czynni w administracyi na miejscu, pomysłowi w werbowaniu uczestników przedsięwziętych wypraw, przy dostarczaniu zapasów na ładowanie okrętów skrzętni i zapobiegliwi, poczuli dyrektorowie sami swą bezsilność, skoro nastąpiła pora nadania rzeczywistego kierunku kompanii, konieczność zawiązania odpowiednich stosunków handlowych, potrzeba zbadania warun-

ków zbytu w Indyach towarów francuskich, a nabywania indyjskich we właściwych ogniskach produkcyi, słowem, skoro należało już rozpocząć handlowanie na wielką skalę, na którą środki i znaczenie kompanii wynosiło przedsiębierstwo całe.

Jeszcze przed wysłaniem okrętów swoich do Indyi, kompania handlowa francuska przegrała wypowiedzianą walkę kompanii handlowéj holenderskiéj, gdyż z łona swéj współzawodniczki zmuszona była wziąć człowieka do postawienia na czele handlowych spraw swoich, a ten człowiek ją, jak się następnie okazało, zawiedziony w niektórych swych oczekiwaniach, począł zdradzać i działać na jéj szkodę w porozumieniu z jéj współzawodniczką. Tym człowiekiem był Holender Caron.

Był on członkiem kompanii handlowéj holenderskiéj i długoletnim jéj dyrektorem w Indyach. Przynęcony do francuskiéj wielką pensyą (18,000 liw. rocznie i 9,000 jednorazowéj zapomogi), przywilejami (otrzymywał obywatelstwo francuskie i gwarancye swobody religijnéj, był bowiem protestantem) i zapewnieniem odpowiedniego stanowiska dawniejszemu swemu w nowéj, Caron miał się stać wychowawcą przyszłych dyrektorów Francuzów.

Wszedłszy do izby dyrekcyi w charakterze dyrektora, jako specyalista, zawodowy handlarz, bywały w Indyach na czele takiegoż przedsiębierstwa, Caron zyskał swemi wiadomościami odrazu wpływy ogromne, umiejętném wzięciem się do rzeczy znaczenie osobiste. Jakoż gdy sprowadzenie jego owe inne trudności rozwiązywało i to, jak wogóle mniemano, pomyślnie, a przytém gdy od półtora roku ciągnące się przygotowywania wielkiéj wyprawy zbliżały się ku końcowi i król w związku z tém, korzystając z zaniesionéj poprzednio do siebie przez syndyków prośby, o mianowanie naczelnego urzędnika kompanii, zamianował wice-królem Indyi i gubernatorem Wyspy Delfina de Montdevergue'a; okazała się już potrzeba utworzenia rady rządzącéj i ów Caron z drugim jeszcze dyrektorem, De Faye, weszli w jéj skład. Prezesem téj rady został wice król a prokuratorem — D'Epinay.

Dnia 14 marca 1666 r. wielka wyprawa nakoniec opuściła Rochellę. Stanowiło ją 10 okrętów, obładowanych 2,200 tonnami zapasów i towarów. Wiozła zaś wice-króla Indyi, radę rządzącą i 1,268 członków wyprawy, którą składali: 212 wojskowych, podzielonych na 4 oddziały, i 1056 rzemieślników i kolonistów, kupców i przemysłowców. Służbę okrętową składało 420 osób. Celem bezpośrednim wyprawy był Madagaskar. Według instrukcyi, De Montdevergue, pomimo swego tytułu wice-króla Indyi i godności prezesa rady rządzącéj, miał udać się na Madagaskar i tam stale rezydować. Tylko rada rządząca,

pozbawiona swego prezesa, bez zgodzenia się którego żadna jéj uchwała nie była prawną, z Madagaskaru miała odpłynąć do Indyi.

Z wyruszeniem téj trzeciéj wyprawy punkt ciężkości w dziejach kompanii przenosi się z Paryża chwilowo na Madagaskar, gdzie miał przebywać wice-król Indyi i skupiać się najwyższy zarząd wszystkich spraw. Wieści z Madagaskaru, z niecierpliwością przez króla i dyrektorów oczekiwane, miały wśród publiczności nowych akcyonaryuszów wytwarzać, a dawnych, zobojętniałych dla sprawy i zalegających w opłacie raty, do jéj wniesienia zachęcić. Témbardziéj, że już nie mógł być bardzo odległym termin, nawet ostateczny, przybycia do któregokolwiek portu francuskiego okrętu wiozącego okazy bogactw Francyi wschodniéj...

Lecz to, co się działo na Madagaskarze, czy mogło wywołać spodziewane i pożądane przez króla i dyrektorów skutki?

Wysłana z Francyi 6 marca 1665 r. pierwsza wyprawa, zawitawszy na brzegi Madagaskaru w sierpniu, znalazła kraj wzburzony zaciekłą walką pomiędzy garstką osaczoną po domach i w forcie Dauphin Francuzów a ludnością miejscową, obrażoną w swéj godności i prawach przez natręctwo o. Stefana. Przybysze choć na ich czele stała rada tymczasowa kompanii, zbyt marną stanowili siłę, by módz zmienić na lepsze dla siebie losy wszczętéj walki. Nowe żywioły tylko ją przedłużały. Prezydent rady, De Beausse, 67-letni starzec, który dotychczasowe swe życie poświęcał badaniu doktryn Trysmegista i Rajmunda Lullusa oraz poszukiwaniu kamienia filozoficznego, a do wyniesienia którego na to dostojeństwo wystarczało w oczach syndyków pokrewieństwo z Flacourt'em, był bowiem jego bratem przyrodnim, nie miał czasu wykazać swych zdolności administracyjnych, gdyż w grudniu już umarł. Jego zastępca i następca de Montaubon, liczący 63 lat, z których 40, spędzone w biurze sądowém, nabawiły go reumatyzmu i cierpienia na kamień, również nie był człowiekiem czynu i rady, odpowiednim do ciężkich okoliczności. Chociaż więc według instrukcyi rada tymczasowa objąć powinna była wszystkie posiadłości poprzednich kompanii, rzeczy pozostawały w dawnym porządku; Champmargau był rzeczywistym dowódcą Francuzów, zarówno dawniéj jak i nowo przybyłych; Lacase zaś ich jedynym na miejscu przyjacielem i sprzymierzeńcem. Jedno tylko zlecenie było ściśle wypełnione: okręt (*La Vierge-de-Bon-Port*, pod rozkazami kapitana Souchu de Rennefond) [1]) z okazami produkcyi kopalnianych i organicznych został wyprawionym do Francyi. Zresztą

[1]) Przyszłego autora ważnego dzieła p. t. *Histoire de la Compagnie des Indes Orientales*, 1668.

przybyłe dwa okręty wysłane z Hawru w lipcu zapowiedziały rychłe zjawienie się wielkiéj wyprawy z wice-królem i radą rządzącą. Oczekiwanie téj wyprawy zastąpiło wszelkie inne czynności, oprócz ochraniania z dnia na dzień życia przed strzałami lub dzidą krajowca, zewsząd czyhającego, i zaspokajania bieżących potrzeb życiowych.

Tymczasem oczekiwana na Madagaskarze wielka wyprawa w piątym miesiącu po wypłynięciu z Rochelli znalazła się na brzegach Brazylii. Stało to się z następnego powodu. Po opuszczeniu wysp Kanaryjskich, gdzie się dla nabycia wina zatrzymywała, spostrzeżono, że jeden z okrętów zaczął przeciekać, co wróżyło, że nie przeniesie dłuższéj podróży na miejsce przeznaczenia, zwłaszcza burzliwych przepraw w sąsiedztwie przylądka dobréj Nadziei. Podzielić się na partye, mogło znaczyć to samo, co po kolei poddać się nieprzyjaciołom. Rada rządząca, znajdująca się na pokładzie okrętu admiralskiego, uchwaliła zwrócić się na zachód, zamiast na wschód, i płynąć do portu brazylijskiego Fernambouc'u, by w nim dokonać naprawy okrętu. Zepsuty okręt nie wcześniéj jak w listopadzie został naprawiony i wielka wyprawa dopiéro 14 marca 1667 r., to jest w rok po opuszczeniu brzegów Francyi, stanęła u brzegów Madagaskaru.

Stan przybyłych z Montdevergue 1,700 ludzi nie był tego rodzaju, by podnieść mógł odrazu ducha oczekujących ich na miejscu Francuzów. Od miesiąca bowiem doświadczali oni, wskutek wyczerpania się wszelkich zapasów, głodu na okrętach, a opóźnienie przybycia na Madagaskar skazywało ich na śmierć głodową. Więc, gdy jednym groziła śmierć z ręki nieprzyjaciela; drugim głód miał przynieść ową śmierć na okręcie.

Wylądowanie na wyspę nie oznaczało wszakże dla przybyszów natychmiastowego dorwania się do pożywienia, a dla oczekujących ich powrotu—spokoju zabezpieczającego pracę. Zapasów żadnych żywności nie było, a zdobywanie jéj, wskutek stosunków z krajowcami, innemi sposobami jak siłą i rabunkiem, przynajmniéj na razie, było niemożebném. Wobec takiéj konieczności, spełnianie instrukcyi zostało zaniechane, plany kolonizacyi odłożone, Caron i De Faye na miejscu zatrzymani, a Montdevergue tylu przeciwnościami przebytemi już zrażony i jeszcze go oczekującemi zaniepokojony, opisując w liście do króla stan ten rzeczy, prosił go o dymisyą.

Jednakże, przybycie odrazu tak znacznéj ilości Francuzów i okrętów na wyspę, ciągłe od lat dziesięciu ich napływanie, a od lat dwóch stała nad nimi opieka i to skuteczna, nie mogły nie wywrzeć pewnego wrażenia na krajowcach, nie dać im poczuć rzeczywistéj siły owych gości, którzy bądź co bądź nie ustępowali pomimo nastawania ciągłego

na ich życie i mienie, lecz się bronili, w liczbę wzrastali, środki obronne zwiększali. Z drugiéj zaś strony ci goście sami, wypadkami nauczeni i ostrzeżeni, inaczéj postępować zaczęli. Po uspokojeniu gwałtowniejszych potrzeb i usunięciu obawy głodu, zawsze z pomocą Lacase'a, Montdevergue, człowiek uczciwy, prawy i przedsiębierczy, rozpatrzywszy się w nowém położeniu kolonii, wytworzoném swojém przybyciem, początkową politykę Champmargou ocenił i sam w jego ślady wstępował. Krajowcy, powoli się uspakajając, projektu wytępienia i wygłodzenia Francuzów zaniechali. Dyrektorowie kompanii, Caron i De Faye, odżywiwszy załogę okrętów, które z sobą po kolei zabiérali, i zdobywszy należyte zapasy na drogę, pierwszy już pod koniec tego roku (w listopadzie 1667 r.), a drugi pod koniec następnego (1668), odpłynęli do Indyi.

Nowy gubernator Madagaskaru począł następnie wchodzić w przymierza z naczelnikami plemion i nadawał im w celu zjednania sobie ich przyjaźni, tytuły różne i urzędy, stosownie do znaczenia osoby i plemienia. A ponieważ tylko spokoju było potrzeba i bezpieczeństwa, by praca kolonizacyjna mogła się rozwijać, gdy ów spokój nastąpił a bezpieczeństwo powróciło, na nowo się rozwijać poczęła. Wkrótce nawet już rozdawać było można ziemie nowym kolonistom. I trzy lata (1668 — 1670) upłynęło bez żadnych złowrogich wypadków [1]), owszem, przynosząc nawet stopniowo wzrastanie dobrobytu kolonii [2]), gdy oto, pod koniec 1670 r., spadł na nią cios niespodziany, niosący zagładę ostateczną—spadał zaś z Paryża.

Pomimo, że termin ostateczny zapisywania się na akcye, już raz przedłużony, w dniu 1 października 1655 r. upłynął, a akcyi pozostało jeszcze nie rozebranych na 6 m. 820 t. liwrów; pomimo wstrzymania się akcyonaryuszów w grudniu tegoż roku od pokrycia drugiéj raty zapisanéj sumy na akcye. Wielka Wyprawa została, jak to wiemy, wysłaną w marcu roku następnego (1666), a nowa, na sześciu okrętach, na listopad tegoż roku zapowiedziana. W taki więc sposób, po-

[1]) Zastąpienie czasowe Montdevergue'a w gubernatorstwie przez Champmargou pod koniec 1669-go roku kierunku w rozwoju spraw kolonizacyjnych nie zmieniło.

[2]) „La paix que le marquis de Montdevergne, comme gouverneur et lieutenant général, a establie dans l'isle a produit de très bons effects, en ce qu'elle a permis aux habitans d'ensemencer et cultiver leurs terres, dont l'on a eu cette année une abondante récolte qui a beaucoup servy." Wyjątek z „Memoire sur l'estat présent de l'isle Dauphine, escrit le 3 mars 1670 et présenté à Colbert par M. de Grandmaison sous l'autorisation et au nom de M. Champmargou, lieutenant général du Roy et Gouverneur de l'isle Dauphine." L. Pauliat, o. p. p. 239.

między izbą dyrektorów, spełniającą wolę króla, i akcyonaryuszami zawiązała się cicha, ale uporczywa walka. Rezultaty trzech wypraw dotychczasowych na Madagaskar, a jednéj do Indyi, stanowić miały o zwycięstwie jednéj lub drugiéj strony. Król oczekiwał rezultatów świetnych, a więc był pewnym zwycięstwa. W oczach akcyonaryuszów te rezultaty w najlepszym razie były co najmniéj niepewne. Zwlekać więc postanowili i od wszelkich działań się wstrzymywać.

Rok 1666-ty miał przeważyć szalę na jedną lub drugą stronę. W nim bowiem, jak się ogólnie spodziéwano, mógł nakoniec nadpłynąć ów podwakroć już wzmiankowany okręt z Madagaskaru, wiozący okazy bogactw téj wyspy, oraz nadejść z niéj sprawozdania Montdevergue'a, a z Indyi—Carona. Lecz okrętu *La Vierge-de-Bon-Port* nie doczekano się we Francyi wcale. Tylko pod koniec tego roku nadszedł list z Londynu, napisany przez kapitana owego okrętu, Souche de Rennefond, w którym ten donosi, że sam okręt, spotkawszy dwie fregaty angielskie przy brzegach normandzkich, został przez nie zatopiony, on zaś wzięty do niewoli; więc prosi o nadesłanie wykupu... Prawie współcześnie nadeszły listy od Montdevergue'a i od Carona — ale wysłane z Brazylii.

W obec tych niepowodzeń i niepewności, zapowiadających zwycięstwo akcyonaryuszom, pokrycie w grudniu trzeciéj i ostatniéj raty zamiast oczekiwanych 2 m. 709 t. liwrów przyniosło 16,660. Król jednakże daleki był od uznania się za zwyciężonego. Chociaż zapowiedziane na listopad wysłanie do Madagaskaru sześciu okrętów zostało odłożone, jednakże, dla podtrzymania ciągłości rozpoczętego działania, okręt *La Couronne* z rozporządzeniami rządowemi i 70-ciu kolonistami wyruszył 23 grudnia z Saint-Malo. Potém nastąpiła i na króla koléj zwlekania, by, jak utrzymywał, powodzenie miało dość czasu dla wykazania się jawnego.

To wyczekiwanie powodzenia trwało rok cały, 1667-my. Żadne wiadomości z Madagaskaru ani z Indyi, gdzie, jak sądzono, Caron już przebywał, nie nadchodziły. Tylko ze źródeł holenderskich rozeszła się pogłoska o przejściu koło przylądka Dobréj Nadziei okrętów francuskich w kierunku Madagaskaru: była to wielka wyprawa w powrocie z Brazylii. Trwało też ono i rok cały następny, 1668-my. Ten rok bowiem przyniósł tylko królowi ów list Montdevergue'a, w którym ten, opisując stan rzeczy jaki zastał na Madagaskarze, w rezultacie prosił o dymisyę.

Treść listu pisanego do króla mogłaby pozostać dla publiczności tajemnicą, jeśliby oficer przywożący go, stawszy się osobistością, wskutek ogólnego zainteresowania sprawami kolonizacyi, głośną i pożądaną

po towarzystwach, jego treści nie był ciągle wyjawiał, a nadto nie dodawał do niego ujemnych komentarzy, poczerpniętych z wrażeń osobistych. Sprawozdanie naocznego świadka o stanie kolonii w r. 1667, obiegające po Paryżu, wzmocniło tylko niechęć akcyonaryuszów i tak już zrażonych do przedsiębiorstwa. Spłacanie zaległych rat zupełnie ustało. Tylko król, by nie przerywać prowadzenia rozpoczętych przygotowań, oświadczył 23-go września, że do owych 3 m., już kompanii pożyczonych, dokłada jeszcze dwa, na tych samych warunkach. W każdym razie wysyłanie okrętów na Madagaskar nie ustawało i na początku 1669 r. trzy statki w dwóch terminach odpłynęły.

Rok ten, 1669, nowe odkrył rany w sprawach kompanii. Do klęsk spowodowanych wypadkami, niezależnemi od woli kierujących sprawami, do zatargu zasadniczego pomiędzy akcyonaryuszami a dyrektorami, czyli królem, dołączyła się jeszcze walka w łonie najwyższego zarządu kompanii. Uwydatniła się ona w radzie rządzącéj, pomiędzy Caronem i Montdevergue'em. I nie mogło stać się inaczéj. Znalazły się w radzie téj obok siebie, a rzeczywiście przeciw sobie, dwa typy tak różne, jak arystokrata francuski, przejęty ideą centralizmu i zasadami wojskowemi, i dorabiający się pozycyi handlarz i przedsiębiorca, a nadto republikanin holenderski. Zapewnieniem sobie między innemi odpowiedniego stanowiska temu, jakie zajmował w kompanii holenderskiéj, znęcony—jak to wiemy—do przejścia do francuskiéj, Caron, będąc dyrektorem w holenderskiéj, chciał nim zostać i we francuskiéj i to dyrektorem rzeczywistym, jakim był w holenderskiéj, nie zaś tylko tytułowym, jakim został we francuskiéj. Żadne bowiem jego postanowienie nie zostało prawomocném, bez zgodzenia się na nie prezydenta rady rządzącéj, któréj on był tylko członkiem; wszystkie również jego czynności w Indyi podlegały kontroli vice-króla indyjskiego, który rezydował na Madagaskarze. Walkę więc idei rozdmuchiwała waśń urzędnicza. Walkę typów społecznych potęgowała zawiść narodowa.

W roku 1669-ym nadszedł wysłany z Indyi przez Carona okręt, przywożący produkty miejscowe, jako okazy handlowe, oraz obszerne sprawozdania jego, przeznaczone dla izby dyrektorów, i liczne listy prywatne. W sprawozdaniu i listach jedna myśl tylko ponad wszystkiemi górowała: wszystkoby szło pomyślnie w Indyach, gdyby nie Madagaskar, a w nim — zwłaszcza Montdevergue; jedno żądanie ponad wszystkie się przebijało, by taki stan rzeczy, a głównie Montdevergue'a usunąć; dawał on wyraźnie nawet do zrozumienia, że w razie, gdyby wszystko miało pozostać po dawnemu, on się usuwa. A wiemy, że on był w kompanii jedynym specyalistą zawodowym, domniemanym wy-

chowawcą przyszłych dyrektorów francuskich. I Caron dopiął swego. Wskutek ogólnéj agitacyi, król się zgodził w październiku na wyłączenie Madagaskaru z koncesyi kompanii i na przyjęcie téj wyspy pod zarząd korony.

Po trzech próbach kolonizacyi Madagaskaru za pomocą kompanii handlowych nastąpiła czwarta, kolonizacya pod bezpośrednim zawiadywaniem rządu, a więc państwa, więc króla.

Stało się to na lat dwa i pół przed wydaniem Holandyi wojny, do której Ludwik XIV-ty przygotowywał się od lat kilku. Różni historycy francuscy rozmaite pobudki wynajdywali dla téj wojny. Michelet — nienawiść religijną; Henri Martin — osobiste urazy monarchy do rzeczypospolitéj; Mignet — plan utorowania sobie drogi do zajęcia w przyszłości dzisiejszéj Belgii, należącéj podówczas do Austryi; niektórzy—tylko walkę celną. Otóż wyjątki poniższe z dwóch dokumentów historycznych rzucą trochę światła na przyczyny wojny holenderskiéj.

Gdy w celu odosobnienia Holandyi Ludwik XIV-ty starał się o przymierza z innemi państwami, a wśród nich i z Anglią, traktowanie z Anglią prowadził za pośrednictwem swéj bratowéj, a siostry Karola II-go, księżny Henryki Orleańskiéj. W liście brata do siostry, z dnia 8 września 1668 r. uderzają słowa następne: „Moje usposobienia pozostają zawsze jednakie i spodziéwam się zakończyć na tém, co chcę. Lecz na drodze spotykają się dwie przeszkody, których najmniejszym rezultatem być może w każdym razie opóźnienie skutków dobrych chęci ze stron obu do dojścia do zgody zupełnéj. Pierwszą przeszkodę stanowi wielka zapobiegliwość okazywana obecnie we Francyi, by wytworzyć sobie handel i stać się wielką potęgą morską. Dla nas, którzy nie możemy dojść do znaczenia tylko przez handel i siłę morską, każdy krok zrobiony przez Francyę w tym kierunku wyrządza szkodę nową i zwiększa zawiść międzynarodową... Będzie więc wielce niebezpiecznem dla mnie zawiérać przymierze z Francyą, prowadzące do zupełnéj zgody, nie zyskawszy poprzednio zapewnienia, że główny nasz interes, to jest handel, nic na téj zgodzie nie ucierpi..."

Ludwik XIV-ty, chociaż nie bezpośrednio, odpowiada Karolowi II-mu w liście do swojego posła przy dworze londyńskim z dnia 26-go grudnia tegoż roku. Oto są jego słowa: „Jeżeli Anglicy, jak to wyrzekł Buckingham, zadawalniają się tém, żeby pozostawać największymi kupcami w Europie, a mnie pozwalają na mój dział, zatrzymać to, co mogę zdobyć w sprawiedliwéj wojnie, nic nie jest łatwiejszego do urzeczywistnienia, jak to ich żądanie. Ponieważ nie podlega wątpliwości, że, gdy z sobą dojdziemy do porozumienia w rzeczach handlowych,

w przeciągu lat ośmiu lub dziesięciu handel holenderski będzie zniszczony, to również i to nie może podledz wątpliwości, że trzy czwartych korzyści z tego dostanie się Anglikom, a tylko jedna czwarta przejdzie do moich poddanych, którzy nie posiadają więcéj, jak jedną czwartą część ilości ogólnéj okrętów angielskich..."

Dyktując te słowa listu, czy téż powierzając zaufanemu sekretarzowi swą myśl do ubrania w te słowa, Ludwik XIV-ty w przedsięwziętéj wbrew woli akcyonaryuszów kolonizacyi Madagaskaru, do czego środków nawet brakowało, jak to widzieliśmy, w owoczesnéj Francyi, upatrywał podstawę działań początkowo obronnych, a następnie i zaczepnych, na oceanie Indyjskim przeciwko Holendrom, mających na celu zniszczenie ich handlu morskiego, chociażby tylko dla jednéj czwartéj korzyści z tego zniszczenia mającéj się osiągnąć. Od przedsięwzięcia téj wojny nie wstrzymała go myśl, że główna korzyść przejdzie do Anglików, gdyż właśnie we wzbudzonéj pożądliwości Anglii widział jedyny warunek powodzenia swoich zamiarów. Zniszczenie zaś handlu holenderskiego pociągało zniszczenie państwa holenderskiego, o co głównie w tym antagonizmie polityczno-religijnym chodziło. Wszak Holandya dla ówczesnéj Europy była tém, czém obecnie stała się dla niéj Szwajcarya lub Anglia: przytułkiem dla rozbitków politycznych, schroniskiem w ucieczce przed stosem lub więzieniem. Tak więc przytoczone urywki komplikują wykazywane przez wymienionych historyków pojedyńcze przyczyny wojny holenderskiéj, rozpoczętéj przez Ludwika XIV-go w r. 1672-im wkroczeniem do Holandyi na czele wojsk francuskich, i wskazują ocean Indyjski, jako drugi teatr wojny, po za granicami Holandyi i Europy.

W myśl komplikacyą przyczyn wojny skomplikowanych planów wojennych, Ludwik XIV-ty przygotował wyjątkowo silną, jak na owe czasy, eskadrę wojenną w celu wysłania jéj na ocean Indyjski. Składało ją 8 okrętów uzbrojonych 238 armatami, a nadto jeden pocztowy, za magazyn służący. Okręty te dźwigały na sobie oprócz 1,000 służby okrętowéj i marynarki wojennéj, jeszcze korpus ekspedycyjny piechoty z 1,100 żołnierzy i 30 oficerów złożony. Dowódcą téj eskadry został mianowany Jakób Plaquet de la Haye. Dwojakie instrukcye dane dowódcy, jedne tyczące się Madagaskaru, drugie Indyi, wykazywały obszerne plany Ludwika XIV-go, z wyprawieniem téj eskadry związane.

Eskadra opuściła Rochefort dnia 29 marca 1670 r., kierować się miała bezpośrednio ku Madagaskarowi.

Ponieważ w chwili jéj wysyłania już od kilku miesięcy Ludwik XIV-ty wycofał był Madagaskar z liczby krajów ustąpionych, pomię-

dzy przylądkiem Dobréj Nadziei a cieśniną Magelana, kompanii indyjskiéj, instrukcya dana De la Haye względem téj wyspy zawiérała następujące rozporządzenia. Zatrzymawszy się miesiąc, a najdłużéj sześć tygodni, na Madagaskarze, miał on: 1) zbadać, jakie mogły być istotne przyczyny niepowodzenia dotychczasowego kolonizacyi; 2) wyszukać środki, mogące zapewnić większy rozwój kolonii na przyszłość; 3) przed odjazdem wprowadzić na urząd gubernatora wyspy, zajmowany dotychczas przez Montdevergue'a, od lat kilkunastu przebywającego na niéj Champmargou; a Lacase'a, również dawnego osiedleńca, wynieść na godność majora generalnego, co robiło zeń pomocnika gubernatora.

De la Haye, płynąc na Madagaskar, ulegał złudzeniu, zresztą często w podobnym przypadku ogarniającemu ludzi nie obeznanych z miejscowością, dokąd się udają, że płynie do kraju oddawna przez Francyą i to całkowicie podbitego i na wzór Francyi ostatecznie już urządzonego. A przytém, sam on pierwszy dopiéro miał zwiastować na wyspie o przejściu jéj pod bezpośredni zarząd królewski. Stanąwszy u brzegów Madagaskaru dnia 23 listopada, w dziewięć miesięcy po opuszczeniu Francyi, wylądowanie odłożył do 4 grudnia, a to w celu, by Montdevergue miał czas zgromadzić do Fortu-Delfina wszystkich kolonistów i przedstawicieli plemion, książąt i hrabiów madagaskarskich, dla nadania wszelkich cech uroczystości objęciu przez niego wyspy w imieniu króla, którego osobę, do czasu opuszczenia jéj, miał on przedstawiać. Następnie dzień 15-go grudnia był naznaczony na złożenie przysięgi.

Dwie te uroczości odbyły się według z góry ułożonego programatu. Zebrali się koloniści i naczelnicy krajowców wszyscy, z wyjątkiem jednego, Dian-Ramassaja, który nieobecność swą tłómaczył chorobą. De la Haye tego tłómaczenia nie przyjął, a upatrując w tém uchybienie władzy królewskiéj i bunt przeciwko królowi, postanowił go ukarać dla przykładu. 2 go stycznia 1671 roku na czele oddziału wojskowego z 700 Francuzów i 600 krajowców wyruszył przeciw według siebie zbuntowanemu poddanemu królewskiemu, ten zaś cofnął się przed nim; gdy zaś brak żywności i dróg stosownych zmusiły do cofnięcia się do fortu De la Haye, Dian-Ramassaja rozpoczął kroki zaczepne. To cofnięcie się Francuzów, wykazując przy złych chęciach ich bezsilność wobec krajowców, dało hasło do ogólnego powstania tych ostatnich.

Złożony z urzędu, Montdevergue wyjechał do Francyi 9 lutego [1]).

---

[1]) Towarzyszyli mu w podróży czteréj tajni agenci policyjni, którzy, skoro pod koniec lipca okręt przybył do Port-Louis i Montdevergue wylądował bezwło-

De la Haye, zdając na Champmargou uspokojenie wszczętych przez siebie zaburzeń i walk, rozproszył do czasu swoją eskadrę (część wysłał na zachodnie brzegi wyspy, część na północ — do zatoki Antongil i na wysepkę św. Maryi), a sam popłynął dnia 14-go kwietnia na wyspę Bourbon.

Pobyt dwumiesięczny (nie wchodzący do instrukcyi) De la Haye na téj wysepce, jak zresztą całe jego postępowanie i wszystkie czyny, wywarły stanowczy wpływ na losy kolonizacyi Madagaskaru. Ów tak drażliwy na cześć królewską dostojnik państwowy, z zimną krwią wszczynający, i to bez pewności powodzenia, wojnę, byle tylko ukarać mniemane uchybienie królowi swemu, powziął zamiar niweczący ostatecznie plany tegoż króla, związane z kolonizacyą Madagaskaru, i te plany nie zawahał się na własną odpowiedzialność doprowadzić do skutku. Przeczuwając niemożebność uspokojenia krajowców na Madagaskarze, De la Haye postanowił z téj wyspy przenieść kolonistów na wysepkę Bourbon: w tym celu ustanowił na téj wysepce gubernatorstwo i mianował pierwszego jéj gubernatora.

Naturalnie, że dla pojedyńczych kolonistów maleńka a bezludna wysepka ta, jako leżąca również na drodze do Indyi i posiadająca duże i wygodne porty, stawała się dogodniejszym punktem osiedlenia się niż rozległy i zaludniony Madagaskar; lecz kolonizacya Bourbonu w politycznem i ekonomicznem znaczeniu, co się zresztą z biegiem czasu uwydatniło, nigdy nie zdołała zastąpić kolonizacyi Madagaskaru, rozmiarami przenoszącego całą Francyę, gdy Bourbon (liczący 1,980 kil. kw.) zaledwo trzechsetną jego cząstkę stanowi.

Gdy na początku czerwca powrócił na Madagaskar De la Haye w celu zabrania na swoje okręty i przewiezienia na Bourbon kolonistów, spotkała go od nich odmowna odpowiedź. I chociaż walka, wszczęta przez niego, wrzała i we wrzeniu tem wciąż się wzmagała, chociaż śmierć Lacase'a, zabitego w zasadzce, ostatnie ogniwo łączące Francuzów z krajowcami rozrywała, nikt z kolonistów nie chciał dobrowolnie opuszczać wyspy, tem bowiem opuszczeniem usprawiedliwiali projektodawcę i w oczach jego własnych i przed królem. De la Haye w odpowiedzi na odmowę i oświadczoną chęć pozostania, zgromadziwszy wszystkie okręty, na nie zabrał wszelkie zapasy żywności i amunicyi, a nawet co zdolniejszych ludzi z dawniejszego garnizonu;

---

cznie go aresztowali i do zamku Saumur odwieźli. Stało się to w celu utajenia wypadków zaszłych na Madagaskarze. Osadzony w tajemnym oddziale, Montdevergue zmarł tam nagle dnia 23-go stycznia 1672 roku, więc coś w pół roku po osadzeniu.

a zamianowawszy następcą Lacase'a niejakiego Bretesche'a dnia 24-go czerwca (1671) opuścił ostatecznie Madagaskar [1]). Na obronę Fortu i kolonistów pozostało tylko na téj wyspie 40 starych i niedołężnych żołdaków, dla których miejsca na odpływających okrętach już się nie znalazło...

Po upływie lat trzech De la Haye powracał z Indyi do Francyi. Otóż żeglując wzdłuż brzegów Madagaskaru, gdy 2 grudnia stanął na przeciw fortu Delfina, z otwartego morza wyprawił do portu łódź na zwiady. Wysłani już tylko szczątki mieszkań i zardzewiałych kilka luf armatnich na gruzach jedynéj twierdzy francuskiéj znaleźli, a obawiając się krajowców, z temi wieściami czemprędzéj na okręt podążyli.

---

[1]) Czyny De la Haya i losy eskadry francuskiéj jemu poruczonéj, po opuszczeniu brzegów Madagaskaru, przechodzą zakres i założenie téj pracy; jednakże choć w przypisku o nich wspomnę, ponieważ w każdym razie od powodzenia téj wyprawy zależna była dalsza kolonizacya Madagaskaru. Według instrukcyi, De la Haye odpłynąwszy do Indyi, powinien był, po porozumieniu z dyrektorami, zająć jakąkolwiekbądź miejscowość na Cejlonie i wyspie Banka, jednéj z Zoudzkich, w celu założenia na nich kolonii handlowych. Nadto, ponieważ spotkanie się z okrętami holenderskiemi było do przewidzenia, miał on rozkaz w każdym wypadku, bez względu na ilość spotkanych okrętów, wymagać od nich uroczystego pozdrowienia, co już jedno stawiłoby Holendrów na wodach, gdzie oni siebie mieli za właścicieli, w zależności od Francuzów. De la Haye o rok z przybyciem do Indyi się spóźnił. W Suracie stanął pod koniec września, a 11 listopada (1671 r.) wziąwszy na pokład admiralskiego okrętu Carona, odpłynął kierunku Cejlonu dla zajęcia na téj wyspie zatoki Trinkonomali, do owego czasu jeszcze wolnéj. Po drodze eskadra francuska spotkała 12 okrętów holenderskich. Zamiast wymagać od tych okrętów nakazanego mu pozdrowienia, De la Haye, wskutek nalegań Carona, któremu zupełnie zaufał i odkrył wszystkie plany, cofnął się na ich widok. Przybywszy do zatoki Trinkonomali (22 marca 1672 r.), zastał już w niéj okręty holenderskie. Nie mogąc zająć zatoki całéj, ograniczył się zajęciem dwóch w niéj wysepek, które następnie opuścił (2 lipca), będąc do tego przymuszony coraz bardziéj zwiększającą się siłą Holendrów, którzy nawet dwa mu okręta zabrali. Z Cejlonu popłynął na brzeg koromandelski Indyi i tam zdobył miasto San-Thomé, poniżéj Madrasu; i z tego punktu nakoniec był zmuszony przez Holendrów do ustąpienia (25 września 1674 r.). Straciwszy wszystkie okręty, oprócz jednego, i trzy czwarte ludzi, już nie o wyspie Banka, lecz śpiesznym powrocie do Francyi, mógł tylko myśléć. Zdrada Carona uwydatniła się w komunikowaniu kompanii holenderskiéj, gdzie syn jego służył, wszystkich planów francuskiego dowódcy. Gdy z postępowania z sobą zauważył, że go De la Haye już podejrzywa, opuścił eskadrę francuską i odpłynął do Europy; przy brzegach portugalskich okręt go wiozący się rozbił, a on utonął. Po powrocie do Francyi De la Haye wyruszył na teatr wojny, do niepowodzenia któréj głównie się przyczynił, gdzie wkrótce poległ w utarczce.

Urzędowych raportów o tém, co na Madagaskarze zaszło między dniem 24-go czerwca 1671 r. a 2-im grudnia 1674 r., w archiwach państwa nie znaleziono. Głuche tylko wieści poczęły krążyć po Francyi, że po zabiciu Champmargou (w grudniu 1672 r.) i po ogólnéj rzezi kolonistów (która miała nastąpić w sierpniu 1674 r.) ci tylko z Bretesche'em na czele, w liczbie 63, zdołali uniknąć śmierci, którzy się znajdowali w forcie Dauphin i przez okręt *Blanc-Pignon* przypadkowo przepływający, a znakami z brzegu danemi sprowadzony do portu, zostali zabrani. Ta garstka, odwieziona na brzegi Mozambiku, wkróce się rozproszyła po świecie i tylko niektórzy z nich Francyę napowrót ujrzeli.

Po upadku kompanii handlowéj, założonéj w r. 1664, powstała jeszcze jedna, trzecia już z rzędu, w r. 1685. Skoro Ludwik XIV-ty nie zdołał jéj nakłonić darowizną Madagaskaru do rozpoczęcia ponownego jéj kolonizowania, uchwałą rady królewskiéj z dnia 4 czerwca 1686 r. wyspa ta ostatecznie do posiadłości korony francuskiéj została przyłączoną, a jedyne świadectwo należenia jéj ongi do Francyi pozostało w nazwie jéj, Isle Dauphine, zresztą przyjętéj jedynie tylko w świecie urzędowym francuskim.

I. Radliński.



EUROPA W ROKU 1797.

I.

Okrom nieszczęśliwie zamkniętego przymierza z lat 1807 — 1812, o którém była mowa poprzednio [1]), Francya, w ciążeniu swém ku Rosyi, zapisała na kartach swych dziejów parę prób pomyślniejszych, nie tylko z odrębnego jéj punktu widzenia, ale też ze stanowiska zasady, o któréj pomocnik kanclerza Woroncowa, w pamiętnikach streszczonych przez Tatiszczewa [2]), tak się niegdyś wyraził: „zbliżenie się Francyi do Rosyi najniekorzystniéj zawsze oddziaływało na położenie Polaków w państwie rosyjskiém.” Ostatniemu twierdzeniu, skreślonemu około r. 1840, przeczy przedewszystkiém panowanie cesarza Pawła I, stanowiące zarazem jeden z najciekawszych, najbardziéj pouczających rozdziałów w historyi dyplomacyi europejskiéj z epoki po-rewolucyjnéj i po-rozbiorowéj.

Żeby jednak dokładniéj zrozumiéć, na czém mianowicie polegała wyjątkowa ta doba stosunków franko-rosyjskich za dni Pawła I, przyjrzéć się wpiérw należy okresowi poprzedniemu, t. j. ostatnim latom panowania Cesarzowéj Katarzyny II-éj.

---

1) „Ateneum“, 1896, t. IV, str. 206—226.

2) „Kniaź Adam Czartoryjskij“, w dziele „Iz proszłaho russkoj dipłomatii“, str. 155—342.

Początki wstrząśnień we Francyi za Ludwika XVI nie wywarły głębszego wrażenia na umysł Imperatorowéj. Świadczy o tém wymownie pamiętnik osobistego jéj sekretarza, zdający z dnia na dzień sprawę z najpoufniejszych, najszczerszych zwierzeń i wylań monarchini, bynajmniéj nie podejrzewającéj swojego sługi o literackie zamiary lub zdolności [1]).

W d. 2 sierpnia st. st. 1789 otrzymano w Petersburgu pierwszą wiadomość o zatargu korony francuskiéj ze Stanami jeneralnemi, przeobrażonemi następnie na głośne Zgromadzenie narodowe. Chrapowicki przyniósł z rana jak zwykle do tak zw. „perlustracyi", czyli do sekretnego przejrzenia, korespondencyę zatrzymaną na poczcie. Ambasadorem Francyi przy dworze cesarzowéj był wówczas hrabia Ségur, późniejszy pamiętnikarz. Zlustrowano jakiś list jego do margrabiego Lafayetta, widoméj głowy opozycyonistów francuskich. Cesarzowa się ozwała: „Wolno-ż pisać w sposób podobny ministrowi królewskiemu?"... Chrapowicki: „Są oni (Ségur i Lafayette) przyjaciółmi. Obaj walczyli w Ameryce"... Cesarzowa: „Tak jest, przyrodni to bracia... I cóż teraz powié Cesarz Rzymski, gdy się o tém wszystkiém dowié?—Ciekawy list!... Ségur pozdrawia Lafayette'a z powodu szczęśliwie dokonanéj rewolucyi,—rewolucyi, którą sprowadziła niezaradność kilku ministrów, obok uciążliwych podatków i niezaspokojonéj ambicyi sejmów lokalnych (parlamentów)." 10 sierpnia: Rozmowa o Francyi. Cesarzowa zaznaczyła, że od wstąpienia na tron przewidywała w tym kraju fermentacyę. Obecnie, rząd nie umiał korzystać z nastroju umysłów. „Ja-bym poprostu powołała do siebie, jako swego obrońcę, owego pyszałka La Fayette'a." 25 września nadeszła z rana wiadomość o zwycięstwie Suworowa nad Turkami nad Rymnikiem, skąd następnie sam zwycięzca otrzymał nazwę Rymnickiego, z tytułem hrabiowskim, Cesarzowa była w złotym humorze i długo rozwodziła się nad błędami Ludwika XVI, szczególnie zaś nad powołaniem do gabinetu „ministrów-szewców", narzuconych przez Zgromadzenie Narodowe. Czemuż król francuski nie stanął na czele szlachty? I zamiast dać się zamknąć w Wersalu jak więzień, dlaczego się nie cofnął z wojskiem ku granicy i tam nie zasiadł w fortecy Metz? Dziś słuchać musi szewców, a szewc obuwie tylko umié robić, *le cordonnier ne sait que faire des souliers*. 29 września: podczas porannéj toalety monarchini, Leon Naryszkin doniósł o wyjściu nowych broszur francuskich p. t. „Życie prywatne Antonaetty królowéj" oraz „Dzieje Bastylii." „To są paszkwi-

---

[1]) „Dniewnik A. W. Chrapowickawo, 1782—1793", wydanie Barsukowa, Petersburg, 1874.

le — powiedziała Imperatorowa — takich rzeczy nigdy nie znoszę.” 9 października: Francuzi się nie odrodzą: co innego Grecy, „tych można ożywić.” Cesarzowa wspomniała swego wnuczka, Konstantego Pawłowicza: „tęgi chłopczyna, za lat 30 pojedzie z Sewastopola do Carogrodu... Obecnie rogi tylko jeszcze łamiemy, wówczas już będą złamane.” 21 października: w Paryżu zbuntowały się przekupki z targowiska; króla z rodziną przewieziono do Tuilleryów. „Spotka go los Karola I.” 28 października: książę orleański, po rozmowie z królem wyniósł się do Londynu, „zmykając przed czernią.” 5 listopada: „coby na to powiedział Boileau i jego król-słońce, gdyby teraz wstali z grobów!” 4 grudnia: z powodu wzmianki o Kromwelu w pamiętnikach kardynała de Retz, cesarzowa kazała podać sobie tę książkę.

Pierwsze trzy miesiące nowego roku 1790 minęły spokojnie, o Francyi nie było prawie wzmianki. Raz tylko, kiedy zagadano o bezbożności Francuzów, cesarzowa, która w dniu tym odbyła spowiedź wielkanocną, wzruszywszy ramionami rzekła: „Bo też ci księża!... Co za dziwne stawiają pytania... Czy wierzysz w Boga?... Ba! wyrycytowałam zaraz calutki skład apostolski.” 23 kwietnia: nieporozumienia z Prusami z powodu pogłosek o ich intrygach we Francyi; kazano przysięgać członkom rady przybocznéj że nie będą rozgłaszali uchwał powziętych w rzeczach pruskich. „Na pierwszy odgłos zerwania stosunków z Austryą, wojska nasze wkroczą do Polski i posunąwszy się ku Galicyi, połączą się z cesarskiemi.” 14 lipca: przy rozpatrywaniu poczty czytano korespondencyę Ségura. Obawiają się ci panowie katastrofy z królem podczas uroczystości na polu Marsowém; książę orleański oczekiwany z Londynu „na rydwanie wolności, z trzynastoma milionami pieniędzy.” Cesarzowa dodała: „księcia orleańskiego mogą oni zrobić regentem i korona nie będzie dziedziczną, — jak w Polsce, o co się sąsiedzi tak starają.” Mówiono późniéj o formule: *imperat non regit.* 30 lipca: uroczystość paryska odbyła się pomyślnie. 26 sierpnia: posłowi rosyjskiemu w Paryżu, Simolinowi, kazano, ażeby wszystkich Rosyan we Francyi zawezwał do natychmiastowego powrotu do ojczyzny. „Syn hrabiego Aleksandra Siergiejewicza Strogonowa ze swoim guwernerem zaciągnęli się do klubu Jakobinów i *de Propaganda libertate...*”

I znowu przerwa. Milczenie trwa do dnia 29 czerwca 1791 r. w którym otrzymano z Berlina, od posła Alopeusa, wiadomość o ucieczce Ludwika XVI i Maryi Antoniny z Paryża, w przebraniu; *incognito* odkrył pocztmistrz z St. Ménéhould; rodzinę królewską zatrzymano na stacyi sąsiedniéj, Varennes, i z pomocą tłumu, oraz gwardyi narodowéj, zawrócono. 4 lipca: króla francuskiego pochwycono rzeczywiście;

królowa miała paszport na imię pani Korff, z domu Stegelman. Owa pani Korff to córka dawnego petersburskiego bankiera, mieszkająca z matką w Paryżu. 13 sierpnia: cesarz rakuski zjechać się miał z królem pruskim 9 b. m. w jednym z zamków króla saskiego (Pilnitz) celem wspólnego obmyślenia środków przeciw Francuzom. Hr. Bombelles, który przywiózł listy z Wiednia, zapewnia, że Prusy są tak samo jak i Francya podminowane dążnościami rewolucyjnemi. 16 kazano zakupić tajemnie wekslów za 500,000, na okaziciela, w sprawie francuskiéj; weksle Bombelowi doręczyła cesarzowa osobiście, wraz z listami. 24 września: przybył w dniu wczorajszym kuryer z Paryża z doniesieniem, że król, wszedłszy do zgromadzenia narodowego, publicznie podpisał konstytucyę. „Cesarzowa—pisze Chrapowicki — widocznie z tego nie zadowolona. Bo czyliż można pomagać takiemu królowi, który sam swojéj korzyści nie pojmuje?...” Od października sprawy francuskie i nawet polskie usuwają się na dalszy plan z powodu wieści z Jass o chorobie ks. Potemkina. 12: „Kuryer o zgonie księcia w d. 5 października, przed południem. Łzy i rozpacz. O godz. 8-éj puszczano krew, o 10-éj ułożono do pościeli.” 16-go: „Łzy. Na miejsce Potemkina posłano Bezborodkę, który żegnając się ze mną, błagał, abym go zasłaniał od ciosów Zubowa.” 21 paźdz.: listy do braci króla francuskiego z obietnicą pieniędzy i z radą, aby czém rychléj korpus emigrantów wkraczał do Francyi; „czyby nie można było napaść znienacka na Strasburg i zdobyć go *par surprise*”? — Zubow przetrzymuje u siebie pocztę całemi dniami i wtedy dopiéro przysyła do perlustracyi. 29 października: Cesarzowa zajęta historyą Rusi wołyńskiéj i sprawami francuskiemi. Kachowski otrzymał dowództwo nad wojskami. 9 listopada: instrukcya dla króla szwedzkiego, jak sobie ma poczynać z Francuzami: potępić konstytucyę za przykładem króla hiszpańskiego; odwołać posła z Paryża pod pozorem urlopu; nie zaczynać wojny przed wiosną, oczekując, co poczną inne państwa. 22 listopada: „Niepojęta rzecz, dlaczego cesarz rakuski tak się ociąga z wystąpieniem przeciwko Francuzom.” Na to Chrapowicki: ks. Kaunitz zmienił się do niepoznania.” — „To nie Kaunitz, to ten zausznik Spielmann, podkupiony przez buntowników francuskich.” 14 grudnia, w niedzielę, przy czytaniu poczty, cesarzowa powiedziała: „Łamię sobie głowę nad tém, jakby dwory wiedeński i berliński popchnąć głębiéj w sprawy francuskie.” Chrapowicki: „Nie są zbyt ruchliwe”—„Owszem, pruski poszedłby, lecz powstrzymuje go wiedeński.” Powiedziawszy to, cesarzowa skréśliła zaraz polecenie wice-kanclerzowi. „Co czy nie mam racyi? — Oni mię nie rozumieją. Są powody, o których się nie mówi głośno; chcę ich wciągnąć w sprawy francuskie; żeby saméj mieć ręce

wolne *(les coudées franches).* Mam wiele przedsięwzięć na ukończeniu, trzeba więc, żeby byli zajęci i mnie nie zawadzali."

Bieg wypadków istotnie przybrał niebawem kierunek, wskazany w powyższym programie cesarzowéj. Po zawieszeniu działań wojennych w Turcyi, dwór petersburski przystąpić mógł, bez oglądania się na opinię Austryi lub Prus, w początkach r. 1792, do załatwienia nieporozumień z Rzeczpospolitą polską, zaprzątniętą przebudowaniem swego ustroju wewnętrznego. Pod dniem 7 marca pisze Chrapowicki: Rozpatrując pocztę, cesarzowa zaznaczyła, że nigdy jeszcze tak dużo pracy nie miała. Nadmieniłem, że złożył się na to dziwny zbieg rozmaitych okoliczności. — „Tak jest, a oto jeszcze i przybycie Potockiego i Rzewuskiego zabierze niemało czasu. Jakże ich nie przyjąć? Jeden lat 30 jest nam wierny i oddany, drugi, wypadkowo, z nieprzyjaciela stał się naszym przyjacielem, gdyż Rzeczpospolita nie może się ostać bez Rosyi. W polskich sprawach jeden jest najniewdzięczniejszy — *c'est le Roi...* Oto jak się składają interesa; czyliż podobna, rządząc Rosyą, być monarchą nie pracowitym i nie rzutkim?" — Odpowiedziałem: niezaprzeczenie, gdyż rozległość cesarstwa, związki polityczne, obecny stan Europy, przyczyniają się do pomnożenia spraw, które sięześrodkowują w ręku monarchini i wymagają rozstrzygnięcia, wskazówki... Cesarzowa półkolisto powiodła ręką w powietrzu. — „Tak jest, jeden mój ruch nadaje rzeczom dyrektywę, jak i kędy co iść powinno." Rozmowa na ten temat toczyła się długo. 9 kwietnia. Wczorajszego wieczora otrzymano korespondencyę od wice-kanclerza i zaraz przez Bezborodkę ją odesłano, wraz z notatką. Dziś wydano ukaz sekretny tutejszemu gubernatorowi, ażeby poszukiwano Francuza, który w d. 22 marca st. st. przejeżdżał przez Królewiec ze złemi zamiarami przeciwko zdrowiu Jéj Imperatorskiéj Mości; zarządzono środki ostrożności w mieście i na granicy. Wydano rozkazy Kaszkinowi i Tokarewowi, ażeby pilne oko mieli na przybywających, szczególnie cudzoziemców. 15-go: poszukiwany Francuz zwie się Basseville; pisano o nim z Berlina. 17-go przybył dziś z Paryża Simolin (poseł), z którym cesarzowa konferowała dobrą godzinę. 24-go: Żartowano z Francuzów. Wskazawszy mi przez okno maszerujących żołnierzy, powiedziano: *ils n'ont pas des piques patriotiques.* Dodałem: *ni des bonnets rouges.* 24-go: Przypędził hrabia Esterhazy z wiadomością, że Francuzi wypowiedzieli wojnę Austryakom; stwierdziła to jednocześnie sztafeta berlińska. Cesarzowa zadowolona. Kachowski w dniu 10 maja wkroczy do Polski. 22-go maja: Goniec od Kachowskiego; wszedł on do Polski bez oporu i stanął w Mohylowie-podolskim. 24-go: Rozeszła się pogłoska, że sam król polski pociągnie do Dubna

przeciw Kachowskiemu. 1-go czerwca: Otrzymano raporty, że Kreczetnikow zajął Mińsk, a Kachowski Winnicę. 9-go: Wilno i Mir w ręku Kreczetnikowa, Lityn w ręku Kachowskiego. 20-go: Pierwsze bitwy. Ks. Józef Poniatowski stracił kasę, prowiant, obóz i korespondencyę sekretną w rozprawie z Kachowskim; Kreczetnikow w Grodnie...

II.

„W miarę, jak na Wschodzie europejskim znikała w ten sposób z horyzontu jedna gwiazda, rozpalała się druga, bez porównania większa", — i tém się właśnie tłómaczyć mają pierwsze przenosiny cywilizacyjnych aspiracyi Francyi z nad Wisły po za Dniepr i Dźwinę. Metamorfoza duszy zbiorowéj odbywała się przecież tak powolnie, z takiemi dziwnemi przerwami i odskokami, że procesu niktby z pewnością gołém okiem nie dojrzał w źródłach równolegle — współczesnych, gdyby ostatni, najświeższy rezultat nie odsłonił go był odrazu, jako koniec zaćmienia odsłania w dzień pogodny promieniejącą tarczę słońca. Nie jest to, naturalnie, wina słońca lub zaćmienia, tylko rachub astronomicznych, które zawczasu zjawiska nie obwieściły. Jakoż, rzeczywiście, historya stosunków Francyi z Rosyą od r. 1648 do 1789 — pisze jeden z publicystów francuskich w wydawnictwie skądinąd poważném, urzędowém [1]), — dzieli się na pięć okresów, — i w żadnym z nich nie spotykamy śladu nieodzownego w przyszłości związku. W okresie pierwszym, od r. 1648 do 1654, „Rosya zaledwie jest znaną we Francyi i nie posiada dla niéj żadnego politycznego znaczenia." W okresie drugim, 1654—1726, kiedy Rosya zaczyna występować na zewnętrz i ku zachodowi drogę sobie torować, w Wersalu nietylko nie myślą o przyjaźni z Wielkiém Księstwem Moskiewskiém, lecz poniekąd zaczynają je uważać za potęgę nieprzyjazną, niebezpieczną. W r. 1654 car Aleksy Michałowicz wypowiada Polsce wojnę, trwać mającą lat kilkanaście, i stara się o otrzymanie od Francyi zapewnienia, iż Polaków wspiérać nie będzie; Ludwik XIV-ty odpowiada, że z zaczepki nie jest bynajmniéj zadowolony i doradza odstąpić od uroszczeń nieuzasadnionych. W okresie trzecim, 1726 — 1756, „Rosya otwarcie przechodzi do obozu przeciwników Francyi, łączy się najzwykléj z Austryą i coraz żywiéj naciéra na Turcyę, Polskę, Szwecyę." W okresie czwartym, 1756 — 1789, dokonał się wprawdzie

[1]) „Récueil des instructions données aux ambassadeurs et ministres des France", t. VIII i IX, przedmowa p. Rambaud.

t. zw. „przewrót” w sojuszach odwiecznych, Francya pogodziła się na czas jakiś z Austryą i za jéj pośrednictwem zbliżyła się do Rosyi w widokach poskromienia Fryderyka pruskiego; ale skutek koalicyi był całkiem dla Francyi ujemny, gdyż Petersburga na stałe nie zjednano, Sztokholm zaś, Warszawa i Konstantynopol przestały odtąd figurować w dyplomatycznych kombinacyach kancelaryi wersalskiéj. Dopiéro w okresie piątym, rewolucyjnym, zanurtować miał w głowach francuskich projekt „zrobienia sobie przyjaciela z nieprzyjaciół przyjaciół naszych.” Wytworzyły się podobno dwa prądy: jeden stający w obronie owéj przeróbki, drugi przeciwny. Starcie jednakże, z którego dopiéro po latach stu trysnęła sytuacya dzisiejsza, miało przez cały ten czas charakter bardziéj akademicki, niż polityczny, sprowadzało się do szerzenia w masach przekonania, „że Rosya, przyczyniwszy się do osłabienia i zniszczenia trzech starych sprzymierzeńców Francyi, zajmie ich miejsce, a stawszy się głównym czynnikiem n o w e g o systemu, odegra w równowadze europejskiéj sama jedna tę rolę, jakiéj Turcya, Polska i Szwecya, razem wzięte, sprostać nie zdołały.”

Atoli, nawet w téj propagandzie spostrzegać się daje pewna osobliwość niezbędna do zaznaczenia. O korzyściach systemu nowego nie ma w niéj mowy. Nacisk położono głównie na to, że system stary—zestarzał się i że starość uczyniła go niemal śmiesznym. Najdotkliwsze w tym sensie cięgi otrzymuje właśnie środkowe ogniwo dawnego związku wschodniego. „Niesforność Polaków była tak wielka, że zamiast zgody z Turkami i Szwedami, jak tego wymagał interes Francyi, walczyli oni z nimi nieustannie (zwłaszcza — dodajmy — gdy byli przez nich napastowani). Z Turcyą Rzeczypospolita staczała boje o Tatarów, Ukrainę, Podole; ze Szwecyą o Inflanty, Estonię, Kuronię, pomorze baltyckie. Dyplomacya francuska cudów cierpliwości i przezorności dokazywać musiała, chcąc zażegnać następstwa kapryśnéj i swarliwéj téj polityki, któréj utrzymanie w jakichkolwiek karbach utrudniała jeszcze ta okoliczność, że w Polsce dyplomaci francuscy rzadko kiedy dobrze wiedzieli, z kim mówić, do kogo się odwołać, na kim polegać...” W Konstantynopolu był sułtan, w Sztokholmie król, dorównywający sułtanowi pod względem samowładności; tu i tam wystarczały niekiedy dwa, trzy jedwabne słówka rzucone zręcznie na posłuchaniu u dworu, waza porcelanowa ofiarowana pierwszemu ministrowi, bransoleta przesłana słynnéj piękności w łaskach; płacono subsydya stałe urzędnikom stałym. Nic podobnego w Warszawie. „Trzeba tu było jednać, przekonywać i opłacać wszystkich, od największego do najmniejszego, najpierw króla i królowę, następnie prymasa, daléj hetmanów wielkich i polnych, koronnych i litewskich,

później marszałków nadwornych i sejmowych, później wszystkich prawie senatorów i posłów ziemskich, wreszcie — jak się to niekiedy zdarzało — i wyborców tych posłów na sejmikach." Ambasadorowie francuscy wydawać musieli sumy bajeczne nietylko na wynagrodzenie swych adherentów, ale też i na zneutralizowanie wpływu przeciwników, skaptowanych przez inne mocarstwa; a im więcéj dawali jedni, tém więcéj żądano od drugich. W końcu przełamywało się wszelkie zawady... I jakiż był rezultat? — Żaden albo marny. Rzeczpospolita bowiem, jako potęga zbrojna, nie wiele ważyła pod koniec swego istnienia. Wojsko polskie, całkowicie niemal pozbawione piechoty i artyleryi, składało się przeważnie z jazdy, a jazda to była oryginalna, złożona ze szlachty i kozaków, uzbrojona feudalnie, po gotycku, z pióropuszami, ze skrzydłami u ramion; miewała ona niezaprzeczenie chwile nieporównanéj świetności, lecz bardzo krótkie, błyskawiczne. Kawalerya ta, gwałtowna, niepohamowana w zapale, zdobywać się mogła jedynie na czyny tak przygodne, epizodyczne, jak natarcie pod Sobieskim na wzgórza Kahlenbergu lub szarża, w obecności Napoleona, na nieprzystępne szańce wąwozu Samo-Sierry. Słowem, „z trzech tradycyjnych sprzymierzeńców Francyi na wschodzie, Polska była sprzymierzeńcem najgorszego gatunku. Zbliżona do Szwecyi pod względem zmiennych, egoistycznych zachcianek chwilowych, a do Turcyi pod względem mieszaniny ras, języków, wyznań, narodowości", nie posiadała ona ani silnéj władzy królewskiéj, ani wojsk wyćwiczonych, jak w Szwecyi, nie posiadała téż i pewnych przymiotów zdobiących Turcyę. Wprawdzie, zarówno w Warszawie jak Konstantynopolu, ambicye były wygórowane, bezmierne, bez sensu, zatargi na wszystkich pograniczach, granice ruchome i zagrożone, milicye w ciągłych rokoszach, naczelne władze podległe trafom równie niebezpiecznego wyboru nad Wisłą, jak bunty janczarskie nad Bosforem; ale król polski nie dawał Francyi, wzorem sułtana tureckiego, rękojmi niezłomnego słowa monarszego, nie miał téż gęstych zastępów piechoty, posłusznéj na każde skinienie wodza..."

Bezspornie, wszystko to mogło być prawdą i ze wszystkiego tego najdokładniéj zdawano sobie sprawę we Francyi rewolucyjnéj, w latach 1792 — 95. Dlaczegóż jednak tak długo dzieje czekać musiały na realizyę planów odwrotnych, najniewątpliwiéj wolnych od ułomności polskich, szwedzkich i tureckich? — Odpowiedzi na to poszukać musimy już gdzieindziéj, — nie u publicystów i ministrów francuskich.

III.

Roczniki cesarsko-rosyjskiego Towarzystwa historycznego w Petersburgu zawdzięczają w ostatnich czasach prof. Traczewskiemu nietylko bogaty materyał do dziejów panowania Aleksandra I-go, o czém wzmiankowaliśmy poprzednio, ale też i zbiór cennych dokumentów z końca panowania Katarzyny II-éj i z epoki Pawła I-go; tém zaś łacniéj skorzystać możemy obecnie z tych zasobów, że sam badacz streścił je i uogólnił w osobnéj monografii, ogłoszonéj w jednym z najpoważniejszych miesięczników rosyjskich [1]).

Wielki przewrót z końca wieku XVIII-go obarczył cesarzowę Katarzynę (jak się wyraża prof. Traczewski) „nader uciążliwą alternatywą". Przyjaciółka, za czasu młodości, Woltera i Diderot'a, reformatorka swojego państwa w duchu wyobrażeń encyklopedystów, o ile na to pozwalał moralny i umysłowy poziom społeczeństwa, cesarzowa musiała obecnie, kiedy wzeszła siejba rewolucyjna, tłumić w sobie odgłosy wspomnień dawnych, dawnego współczucia. W dwójnasób zwiększonych obszarów monarchii trzeba było strzedz teraz od „nieczystego płomienia", ogarniającego Europę zachodnią i przedrzéć się mogącego na grunt sąsiedni, gdzie z jednéj strony, w ziemiach świéżo zdobytych, dymiły się jeszcze szczątki robót „jakobińskich", a ze strony drugiéj, wschodniéj, gwizdały wiatry potwornych legend pugaczowskich. Takie zerwanie z ideałami „najpiękniejszych chwil życia", stawało się po zgonie Ludwika XVI-go tém naglejszém, że „zdradzieckie" Prusy skłaniały się już, jak zapewniano, do nawiązania ściślejszéj zażyłości ze zbrodniczą bandą terorystów francuskich, którzy, w krajach sprzymierzonych z Francyą, legiony zagraniczne formować pozwolili. Gniéw imperatorowéj wyraził się najpierw, jeszcze za życia Ludwika XVI-go, w szeregu postanowień, skierowanych przeciw Francuzom zamieszkałym lub bawiącym w Rosyi. W d. 8 lutego 1793 r. powstrzymywano przywóz wszelakich towarów francuskich, „dopóki Francuzi nie przywrócą na tron swojego króla"; 8 kwietnia i 25 maja tegoż roku zawezwano wszystkich Francuzów, pozostających na terytoryum rosyjskiém, do wyrzeczenia się pod przysięgą zasad rewolucyjnych i republikańskich; nadto, zobowiązano Szwecyę do chwytania na Bałtyku okrętów pod flagą francuską; z Kronsztatu wydalono niejakiego Billault, konsula francuskiego, prowadzącego handel w Rosyi od lat kilkudziesięciu

[1]) „Wiestnik Jewropy", 1885, tom III, str. 506—562.

ciu; innego „obywatela", prokuratora Francyi w Petersburgu, Madru, skazano na plagi. Dopóki jednak żył Ludwik XVI-ty, cesarzowa nie miała zamiaru posuwać represyi do ostateczności i w r. 1791 stanowczo odmówiła wzięcia udziału w zjeździe monarchów w Pilnitz, wspomnianym w pamiętniku Chrapowickiego. Oprócz zbliżającego się zatargu z Polską, dworowi petersburskiemu dolegała jeszcze dwuznaczna postawa Prus nad Wisłą, ich pożądliwe zazieranie w głąb' walącéj się Rzeczypospolitéj, ich zamiary sięgające nietylko ku środkowéj Wiśle z dopływami Narwi i Bugu, lecz i ku zaniemeńskim pobrzeżom Baltyku. Dopiéro gdy Ludwik XVI-ty złożył ukoronowaną głowę na szafocie, niebezpieczeństwo zniewoliło obie sąsiednie potęgi północne do ustępstw wzajemnych i kroków bardziej stanowczych. Z Prusami, w kilka dni po zgonie króla francuskiego, Rosya zawarła przymierze zapowiadające środki surowe celem „przywrócenia należytego ładu we Francyi", — „bowiem zły przykład, jak wnosić należy z oznak niewątpliwych, oddziałać stamtąd może na dalsze kraje." Wszakże i tym jeszcze razem dyplomatyzm widoków Katarzyny II-éj wziął górę nad obawami. Na zachęty koalicyi do wystąpienia zbrojnego, imperatorowa pozwoliła domyślać się z udzielonéj dworom odpowiedzi, że „nie wyśle ani jednego żołnierza, gdyż wojsk potrzebuje do czuwania nad bezpieczeństwem własnych granic, od strony najbliższych sąsiadów i przyjaciół..." Przyjaciołmi, oczywiście, byli Prusacy, którzy dobrze wiedząc przez swoich agentów w Rosyi o istotnym stanie rzeczy „w prowincyach niegdyś polskich", rozpoczęły, jak zawsze, grę podwójną: i z Francuzami i z Polakami (emigrantami), którym za pośrednictwem księcia krwi królewskiéj, Henryka, mile przyjmowanego w Paryżu na zabawach republikańskich, podsuwały najrozmaitsze, różowe najczęściéj, insynuacye. Dwulicowość ta niezmiernie raziła cesarzowę Katarzynę. W r. 1794-ym, kiedy intrygi te wyszły na jaw, pisała: „Dwór berliński postępuje sobie... (w sposób niezakwalifikowany), łamiąc najświętsze zobowiązania, wiarołomnie łącząc się z wyrzutkami, znęcającymi się nad Francyą."

Cóżkolwiekbądź, trzeba było od słów przystąpić nareszcie do rzeczy. W r. 1795-ym flota rosyjska, długi czas trzymana przez lody w Kronsztadzie, otrzymała rozkaz odpłynięcia na wody Europy i połączenia się z flotą angielską. W roku następnym kanclerz Ostermann zawiadomił posła rosyjskiego w Wiedniu, Razumowskiego, że cesarzowa łączy swe wojska z wojskiem austryackiém. Na dwa miesiące przed zgonem imperatorowéj, naznaczono w całém państwie pobór rekrutów po 6-ciu z tysiąca ludności. Oznaki nieprzychylnego dla Francyi zwrotu występowały zanadto wyraźnie, ażeby się na nich nic spo-

strzeżono nad Sekwaną. Na odgłos zbrojenia się i pogróżek Rosyi wściekłość ogarnęła Francuzów, którzy wówczas, wysileniem nadludzkiém, odparli koalicyę na wszystkich punktach i zaszachowali ją na jéj własnych stanowiskach. Były to wszakże, ze strony Francyi, gniewy bezsilne, aczkolwiek dzielnie podniecane przez jawnych i tajnych agitatorów pruskich, wystawiających w jaskrawych barwach świéże krzywdy „pobratymców" Francyi republikańskiéj nad Wisłą. Wrogów bliższych, których ręką dosięgnąć było można, Francuzi gromili bez miłosierdzia, ale najgłówniejszemu, najpotężniejszemu nic zgoła zrobić nie mogli. Lądem — nie sposób było myśléć o dotarciu do granic „państwa północnego" po przez gęstą puszczę różnorodnych państewek niemieckich; morzem — to samo z powodu Anglików. Nadto, w całéj Francyi nie znalazłoby się ani jednego łokcia towaru rosyjskiego, któryby się dał skonfiskować w zamian za góry zabranego w Rosyi na skarb towaru francuskiego... Dyrektoryat powziął wprawdzie parę uchwał radykalnych, obliczonych na wewnętrzne w Rosyi niepokoje... pugaczowskie nawet! — ale, chciała fatalność przestrzeni geograficznych i braku ułatwionéj komunikacyi, że cała ta napowietrzna, papiérowa armata wpadła w ręce już nie Katarzyny II-éj, lecz jéj następcy, Pawła I-go. Odtąd nie będzie końca niespodziankom najdziwaczniejszym, płynącym z krzyżowania się dobrych zamiarów, o których wieść przychodzi za późno, i zawczesnych odwetów, które trafiają akurat w porę, ażeby podrażnić umysł cesarza Pawła I-go — szlachetny i rycerski, lecz podejrzliwy, niespokojny, fantastyczny.

IV.

W urzędowym Zbiorze aktów dyplomatycznych prof. Teodora Martensa [1]) wytyczne linie polityki cesarsko-rosyjskiéj po wstąpieniu na tron Pawła I-go tak przedstawione zostały. „Cesarz postanowił podjąć się roli pokojodawcy i rozjemcy w Europie, pogodziwszy przedewszystkiém Austryę z Prusami. Rozkazał zatém księciu B. N. Repninowi udać się do Wiednia i Berlina i w téj drugiéj stolicy zawiązać rokowania uboczne, „bez afektacyi", z pełnomocnikiem francuskim Caillardem. W instrukcyi danéj Repninowi 15 kwietnia 1797 r., cesarz skréślił nader jasno i prosto pogląd swój na ogólną sytuacyę państw europejskich, zwłaszcza na wzajemne stosunki Prus i Austryi.

---

[1]) „Recueil des traités et conventions", t. VI, str. 250 — 251 i nast.; t. II, str. 283 i nast.

Paweł I-szy wzywa w tym dokumencie króla pruskiego, ażeby „własne swe sprawy i interesa układał odpowiednio do prawości i godności wszystkich monarchów”, przyczém nadmienia oględnie, z uwagi na zbyt ścisłą zażyłość dyplomacyi pruskiéj z republikanami we Francyi, że sprzeniewierzenie się téj zasadzie wyjdzie na niekorzyść króla, szkodliwie oddziała na związek państw niemieckich; od zachowania tego związku, w jego obecnych granicach i ustroju, zależy téż i niezachwiane istnienie monarchii pruskiéj. Z tego samego powodu, a w zamiarze wzmocnienia rozmaitych kombinacyi politycznych, niezbędnych do utrwalenia pokoju powszechnego, użyć należy wszelkich sposobów zabezpieczających nietykalność Austryi, która, stanowiąc część pomienionéj rzeszy państw niemieckich, nie jest obecnie w stanie zaimponować komukolwiek swą siłą zbrojną i poniekąd zagrożona jest upadkiem. Co do Francyi, należałoby bezwątpienia nałożyć hamulec na jéj uroszczenia nadmierne; cesarz sądzi jednakże, że pokój powszechny zawarty być może na warunkach następujących, uznać republikańską formę rządu we Francyi, narzucić jéj Alpy jako granicę od strony Włoch i pozostawić przy niéj Belgię; w Holandyi przywrócić stathuderat w domu Orańskim, przeznaczając go Prusom (?); w ostateczności zgodzić się na granicę Renu pomiędzy Francyą a Niemcami.

Jeżeli się zważy, że Prusy mocno wówczas obstawały przy swém przymierzu z Francyą, tudzież, że cesarz Paweł oddawna był gorącym zwolennikiem urządzeń pruskich i jeszcze za życia swéj matki, Katarzyny II-éj, utrzymywał stałą korespondencyę prywatną z królem Fryderykiem Wilhelmem II-im, który, ze swojéj strony, nie inaczéj nazywał ówczesnego następcę tronu jaknajbliższym swoim przyjacielem i w nim, w razie zgonu cesarzowéj, największe nadzieje pokładał, — wówczas znaczenie misyi Repnina i reskryptu na jego imię stanie się dokładnie zrozumiałém. Cesarz ostro na razie skierował swe zamierzenia międzynarodowe w stronę przeciwną planom nieboszczki matki—z okresu zgon jéj poprzedzającego. Znaczyło to przedewszystkiém: pojednanie się z Francyą za pośrednictwem Prus, a pozostawienie Austryi — tymczasowo — na łasce wypadków. I rzeczywiście, Paweł I-szy nie krył się wcale z tą swoją „konduitą niepoprawną”, jak się o jego repninowskiém poselstwie wyrażali starzy, doświadczeni słudzy Katarzyny II-éj. Natychmiast po wstąpieniu na tron, cesarz polecił kanclerzowi Ostermannowi ogłosić w okólniku do mocarstw, że „wojska przeciwko Francyi skierowane z a p o p r z e d n i e g o p a n o w a n i a,—na wojnę nie pociągną, wiele bowiem okoliczności zniewala do ofiarowania ukochanym poddanym niejakiego odpoczynku p o t y l u i t a k d ł u g i c h n i e p o k o j a c h.” Jednocześnie kazano unieru-

chomić korpusy już uruchomione, flotę zaś, połączoną z angielską, zawezwać do powrotu.

Tak twarda zmiana frontu dotknęła do żywego koalicyę, to jest Anglię i Austryę. Z Wiednia posypały się żale, wyrzuty; ambasador austryacki w Petersburgu, Cobentzl, zarzucał Ostermanna i cesarza memoryałami, w których wykazywał jak na dłoni obowiązki przez Rosyę zaciągnięte względem państwa postronnego, bez żadnych zastrzeżeń na wypadek zgonu osoby panującej. Cesarz nie pozwolił Ostermannowi wdawać się na tym punkcie w urzędowe rozprawy z Cobentzlem, poczyniwszy na marginesach not reklamacyjnych zaznaczenia: „Nie żądam rad.” „Wiem, co się komu należy.” „Liczę się tylko ze swoimi interesami...” W Londynie polecono Woroncowowi nieco więcéj oszczędzać miłość własną ministrów W. Brytanii. Ambasador rosyjski, komentując przed lordem Granvillem postanowienia swego monarchy, dosadnie wyłuszczał powody w rozmowach poufnych. „W ostatnich latach panowania nieboszczki cesarzowéj — powiadał — wewnętrzne sprawy państwa doszły do pewnego zaniedbania i opuszczenia. Wskutek niezdrowia monarchini, zaufanie jéj zdobyły pewne osobistości, nie zasługujące na to pod żadnym względem; one to w swe dłonie ujęły ster państwa i wszystkie gałęzie zarządu, aczkolwiek nie miały po temu ani zdolności, ani nauki. Poszły stąd niesłychane wydatki skarbowe, nieład zaś i nadużycia zakradły się wszędzie, siły zbrojne, tak lądowe jak morskie, wyzbyły się dyscypliny, rozstrój w armii doszedł do tego stopnia, że pułk do pułku nie przystawał, każdy zdawał się należéć do innego narodu, do innéj broni” (cytata z pracy prof. Traczewskiego).

Zdawałoby się, że we Francyi niczego więcéj niktby sobie życzyć nie był powinien nad to, co obecnie otrzymywano w doniesieniach z Rosyi. Ilekroć jednak mówimy w historyi o pewnym narodzie, kraju lub społeczeństwie, nie powinniśmy zapominać, z czego te zbiorowiska, temi nazwami objęte, składają się naprawdę. Są to uwarstwienia pierwiastków, przekonań, dążności, interesów, uzdolnień — wyróżnicowanych do nieskończoności. Piętra górne oddychają nieraz powietrzem współczesnem; dolne — wchłaniają w siebie wyziewy, których genezy szukać niekiedy musimy w epokach mastodontowych. Wyrabia z tego materyału opinię publiczną, kto chce i jak chce lub może. W centralnem ognisku owych robót, w stolicy np. republiki, zaledwie teraz dopiero kiełkować zaczynały nasiona propagandy wychodźców wszelkiego autoramentu, osnute na dekretach Katarzyny II-éj; co do dyplomatycznych okólników cesarza Pawła i jego instrukcyi sekretnych, to o nich dowiedzą się salony arystokratyczne i pracownie ro-

botnicze w Paryżu... — ba! za lat sto może. Przytém, nie każda gleba urodzi to, co do niéj włożysz; chociaż z pewnością żadna nie wyda z siebie tego, czego na nią nie rzucisz. Ziarno posiane we Francyi w ostatnich latach panowania Katarzyny było nad wyraz nędzne, zanieczyszczone, przeto i plon nie mógł być innym. A w téj to właśnie porze teki wydziałów dyrektoryatu przepełniać się zaczęły rozmaitego rodzaju projektami wypraw przeciwko „odwiecznemu wrogowi ludzkości", awanturnicze pomysły zasadzek, samotrzasków, machin niszczących i t. p. Przypomniano sobie istnienie najrozmaitszych ludów nad Dnieprem, z Herodota wygrzebanych, „których serca—jak głosiły broszury — nie przestały jeszcze bić dla wolności". Ogromnie liczono np. na Persów; „chan" ich, według tego co o nim słyszał poseł francuski w Konstantynopolu, miał być „niebezpieczniejszym dla Rosyi od samego nawet Pugaczowa..." Bardzo powoli przedzierały się przez te chwasty i oczerety świeższe powiewy panowania Pawła I-go, ale i one, albo ginęły bez śladu w stęchłych oficynach paplaniny dziennikarskiéj o wszystkiém po szczypcie, albo się przekształcały odrazu na jakąś ideologię zarozumiałą i butną, trudną dziś do wyrozumienia — chyba w formie humorystycznéj. Niejaki „obywatel świata" Soulavie wysnuł na początek, z kilku pogłosek bezbarwnych o „nowym kursie", szczegółowo opracowany projekt wiekuistego przymierza Rosyi z Francyą przeciwko „despotycznéj, jezuickiéj i bezecnéj Austryi." Jakiś konsul jeneralny, obywatel Lesseps, przetłómaczyć kazał na język rosyjski, dla dogodności „dworzan" cesarza Pawła I-go i pożytku ludu *Déclaration des droits l'homme.* Sporządzono także parę ustaw organicznych według wzorów we Francyi obowiązujących. Depesz elektrycznych czasopisma jeszcze nie znały; więc były tylko krótkie relacye „z ostatniéj poczty": Oto cesarz rosyjski wrócił sławnemu więźniowi polskiemu jego szpadę z temblakiem. Oto główny wróg Francyi i rodzaju ludzkiego, Zubow, stracił wszystkie urzędy. Oto kreatury Zubowa, Tutołmin i Bergman, pod sądem. Oto Morkow w Syberyi. Suworow, ów sławny Suworow, co to pod Warszawą wziął Pragę, w niełasce. Szlachcie francuskiéj, szukającéj przytułku w Rosyi, odjęto pensye naznaczone przez Katarzynę II-gą. Branicki i Potocki, dwaj główni sprawcy nieszczęść ojczyzny, otrzymali zakaz noszenia munduru rosyjskiego. Cesarz publicznie oznajmił w Petersburgu, że zamierzył trzymać się innego, niż jego matka, systemu rządowego, — naturalnie systemu republikańskiego...

Dyplomacya francuska, tradycyjnie wytrawna, przezorna, pełna taktu, finezyi i kurtuazyi, wierciła się tymczasem jak w ukropie. Urzędowego przedstawiciela w Petersburgu nie miała; prywatnie a sekretnie

pracowali tam rozmaici negocyanci podrzędnéj — pod względem politycznym—wartości. *Ex officio*, a jednak również dorywczo i ukradkowo, sprawą zbliżenia Rosyi do Francyi zajmował się poseł przy dworze berlińskim Caillard, ale i on poruszać się mógł jedynie w takich ramach, na jakie przyzwolić raczyli pośredniczący Prusacy. Całą też swą operacyę obywatel Caillard oparł na przypuszczeniu zasadniczém, że Prusy, zostające od ponowionéj 5 sierpnia 1795 ugody bazylejskiéj (z 5 kwietnia 1795) w przymierzu tajném z Francyą, szczerze i chętnie użyczą mu swego kredytu w Rosyi, popierając przedsięwzięcie powołane do wytworzenia koalicyi franko-prusko-rosyjskiéj i do zapewnienia Europie pokoju... na gruzach potęgi austryackiéj. W d. 25 lutego 1797 Caillard, za pośrednictwem pruskiego ministra-rezydenta w Petersburgu, wystąpił do rządu rosyjskiego z formalną w tym sensie propozycyą, a w niéj, między innemi nadziejami wyrażał i tę „pewność", że gabinet berliński „jak najśpieszniéj zakomunikuje Cesarzowi rosyjskiemu zamiary dyrektoryatu i użyje wszystkich swych starań w celu otrzymania w Petersburgu decyzyi zgodnéj z pragnieniami rządu francuskiego, a tém samém i z p r a g n i e n i a m i c a ł e g o r o d z a j u l u d z k i e g o..."

Ta wiara pełnomocnika francuskiego w dobrą wolę gabinetu berlińskiego, dbającego w Petersburgu przedewszystkiém o swoje własne sprawy, wydaje się dzisiaj niemal potworną; doświadczenie jednak, jak wiadomo, nie łatwo się zdobywa i nie prędko przychodzi. Większe też jeszcze ogarnia nas zdumienie, gdy w doniesieniu Caillarda rządowi francuskiemu z d. 20 marca tegoż roku czytamy: „Pękły lody. Rząd pruski, stosownie do życzeń Dyrektoryatu, otwarcie przyznał się Cesarzowi rosyjskiemu, że łączy go z Francyą przymierze sekretne... Tym sposobem—dodaje Caillard — nic już obecnie nie zawadza gabinetowi berlińskiemu w p o d t r z y m y w a n i u s p r a w y n a s z é j w P e t e r s b u r g u." Złudzenia nie oparły się na tém. Agenci francuscy w Rosyi dopięli tego, że ułożono nawet plan spotkania się cearza Pawła z królem pruskim,—w interesie Francyi. W początkach czerwca 1797 Caillard zawiadomił ministrów Dyrektoryatu, że „Cesarz rosyjski opuścił nagle Moskwę, zaniechał ułożonéj poprzednio podróży do Kazania i Astrachania i niespodzianie przybył do Grodna, w nadziei, że król Fryderyk-Wilhelm II także niebawem przybędzie—do swojéj Warszawy, tym sposobem, pożądany zjazd monarchów nastąpi..." Nie nastąpił on wcale; zaszły przeszkody i król w podróż się nie wybrał.

Jakie wrażenie wywarło to na chmurne, do rozczarowań pochopne usposobienie cesarza Pawła, zaznaczają niektóre wzmianki pamię-

tnikarskie owego czasu. Urzędownie, — uraza nie wydobyła się na wierzch. Cesarz wyprawił do Berlina Nelidowa z grzecznym listem, wymownie opisującym zawód monarchy, ale nie zawierającym żadnéj wzmianki nie tylko o „pragnieniach rodzaju ludzkiego”, lecz nawet „o pragnieniach rządu francuskiego.” Dyrektoryat, otrzymawszy tę wiadomość, pocieszał się tylko jeszcze faktem, że w d. 5 czerwca 1797 cesarz Paweł naznaczył Panina (starego konserwatystę ze szkoły Katarzyny) do prowadzenia rokowań z Francyą w Berlinie. Ale i ta pociecha osłabła znacznie po odczytaniu przez dyrektoryat dwóch tylko punktów instrukcyi udzielonéj Paninowi. W 1-ym była mowa o traktacie handlowym z Francyą, ograniczonym w ten sposób, „aby zbytkowne towary francuskie nie pożerały prac i potu rolnika i rękodzielnika rosyjskiego;” w punkcie zaś 2-m cesarz wyraźnie domagał się od rządu francuskiego, ażeby przestał nareszcie marzyć o rodzaju ludzkim, nie mieszał się do opieki Rosyi nad emigrantami francuskimi, nie żywił w sobie i nie podniecał w innych niedorzecznych urojeń o Wołdze, Wiśle lub Dniestrze... Widocznèm było, że pośrednicy pruscy, spowiadając się przed cesarzem w Petersburgu i Moskwie z niektórych sekretnych artykułów traktatu z Francyą, wtrącili zawczasu a nieostróżnie, dotkliwsze jakieś słówko o wyzysku przemysłowców francuskich, o nędzy wiernych sług króla francuskiego skazanych na banicyę, o rozpuście paryskiéj, legionach polskich, i t. p.

Od téj chwili rozwiązanie zbliżało się samo, — nieubłaganie, fatalne, bez szczególnych przewrotnych intencyi jednostek.

V.

Za wiele zazwyczaj wymagamy od sztuki dyplomatycznéj; w gruncie rzeczy i w najlepszym razie, zwęża ona tylko lub rozszerza wyłomy czynione przez oręż na polu walki, przez wzbierające potoki namiętności —w życiu powszedniém. Jakąkolwiek zręczność rozwijał Caillard w Berlinie, jakiekolwiek były usiłowania Repnina i Panina, górowała nad niemi, pochłaniała je, w ciągu całego okresu pokojowéj i humanitarnéj interwencyi cesarza Pawła I, od kwietnia do końca października 1797, akcya wojenna na południu Europy, w któréj urok imienia młodego wodza republikańskiego szerzył się z szybkością piorunującą i w ciągu kilku tych miesięcy urosł istotnie do rozmiarów niebywałych, nieznanych dziejom, łamiąc najuroczystsze uchwały ustawodawców, niwecząc najsilniéj ugruntowane zobowiązania mężów sta-

nu i monarchów [1]). Bitwa pod Rivoli 14 — 15 stycznia, poddanie się Mantui 2 lutego, upokorzenie papieża i pokój z nim w Tolentino 19 lutego, poddanie się rzeczypospolitéj weneckiéj w marcu, kapitulacya leobeńska Austryi w kwietniu, — szczególnie zaś impertynenckie odezwy „jakobińskiego jenerała” do ludów datowane z willi Montebello, gdzie Bonaparte, otoczywszy się sztabem wspanialszym od dworów despotów azyatyckich, podstępnie nadużywał haseł „wolności, równości, braterstwa,” nadawały teraz niezmierną wagę przestrogom i błaganiom dworu wiedeńskiego, przesyłanym w dalszym ciągu do Petersburga. Ujrzawszy się nad przepaścią, państwo Habsburgów zniewolone było oświadczyć w końcu, że przyjmie wszelkie bez wyjątku warunki pokoju, jakie cesarz Paweł, ze stanowiska arbitra, narzuci stronom wojującym. Jednocześnie, gabinet petersburski nie bez pewnego przerażenia ujrzał z depesz zarówno wiedeńskich jak londyńskich, że w miarę, jak Francya na kawałki rozbijała już i bez tego pokawałkowaną rzeszę książąt niemieckich, zostających pod hegemonią Austryi, Prusy szczątki te, o ile gdzie było można zagarniały pod swoją pieczę, — cicho i bardzo zręcznie przygotowując pod bokiem Rosyi ową jedność ziem germańskich, która dopiéro za dni naszych rozwinęła się w całéj swéj okazałości.

Do wtóru ze szczękiem oręża na zewnątrz, huczéć zaczęły wewnątrz Francyi raz jeszcze rozpasane zawiści i współzawodnictwa stronnictw. Na wiosnę 1797 odbyły się wybory na dwie trzecie członków rad ustawodawczych; dały one w rezultacie ogromną przewagę żywiołom umiarkowanym, konstytucyjnym. Zaniepokoiło to Bonapartego, który się uczuł zagrożonym w nieograniczonéj swéj władzy nad podbitemi Włochami. Czujnie śledząc z oddalenia ruchy swych przeciwników, dowiedział się on w początkach czerwca, że trzéj członkowie dyrektoryatu, Barras, Rewbell i Larevellière uknuli spisek przeciwko radom ustawodawczym — i osądził, że nadeszła chwila na cios stanowczy. W rocznicę wzięcia Bastylii ukazała się jego proklamacya do armii, oznajmiająca, w stylu już utartym, ale tym razem zwięzłym, opromienionym tuzinami zwycięstw najświetniejszych, że „intrygi królewszczyków zagrażają bezpieczeństwu, całości i swobodom rzeczypospolitéj.” Przyjaciele Bonapartego urządzili w tymże dniu dla wojska bankiet, na którym oficerowie i żołnierze każdéj dywizyi z oso-

---

[1]) Porówn. Barante'a „Histoire du Directoire“, t. II, str. 470 i nast., Bernhardiego „Geschichte Russlands“, t. II. str. 352 —385, — „Korespondencyą Napoleona“, II, 28—180, tudzież z „Pamiętnikami Turgieniewa“, ogłoszonemi w „Russkaja Starina.“

bna, w adresach wystosowanych do dyrektoryatu, głosili w wyrazach niemal jednobrzmiących, zaciekłością przepojonych, że „wybiła nareszcie godzina sprawiedliwości i sądu na nikczemnych wrogów ludu, spiskowców-arystokratów.” „Oburzenie w armii — pisał wraz z tego powodu Napoleon do dyrektoryatu — doszło do najwyższego stopnia. Żołnierze głośno zapytują, azali po powrocie do ojczyzny nie oczekuje ich los tylu innych męczenników za wolność,—po latach cierpień i poświęceń. Niebezpieczeństwo rośnie z każdą chwilą i sądzę, obywatele dyrektorowie, że powinniście się zdecydować na jeden lub drugi sposób działania, ażeby oszczędzić dobrym i doświadczonym patryotom klęsk i upokorzeń niezasłużonych!!.. Trzej dyrektorowie-spiskowcy wiedzieli dobrze o jakim to z dwu sposobów napomyka Bonaparte; nabrali otuchy, zgodzili się na jedno... Szale wszakże powodzenia wahały się: mniejszość dyrektoryatu (Carnot i Barthélemy), opornie obstawała przy legalności. Bonaparte to spostrzegł, — uważał za stosowne, rozpaliwszy ogień, ręce do czasu w tył założyć. Do Paryża wysłany został, jako pełnomocnik wojska, jenerał Augereau, jakobin chełpliwy, głowa pusta, lecz wojak śmiały. Powierzono mu natychmiast gubernatorstwo stolicy. Carnot-i Barthélemy zaledwie piąte przez dziesiąte domyślali się o co chodzi... W nocy 3 września (17 fruktidora) Augereau otoczył Tuillerye wojskiem, Barthélemy, opadnięty w Luksemburgu, poddał się; Carnot salwował żywot ucieczką. Nazajutrz zrana członkowie rad ustawodawczych, procesyonalnie udający się do Tuilleryów, zostali pochwytani lub rozproszeni. W kilka godzin późniéj zwołano mniejszość rad, która usankcyonowała fakta dokonane... i dokonać się mające. Pięćdziesięciu reprezentantów ludu skazano na deportacyę lub wygnanie; wybory w czterdziestu ośmiu departamentach unieważniono; prawom wyjątkowym przeciwko szlachcie i księżom przywrócono dawną moc obowiązującą; wydawców i redaktorów czterdziestu dwóch czasopism obłożono karami infamii i banicyi; dyrektorom nadano władzę dyskrecyonalną w kwestyach prasy, zgromadzeń, zbiegowisk, klubów i t. d.

Cesarz Paweł I nie mógł dłużéj pobłażać. Panin otrzymał napomnienie, że się za daleko posunął, w szczerych rozmowach z Caillardem, lubo do zerwania rokowań nie został jeszcze wezwany; monarcha rosyjski nie uważał się snadź za upoważnionego do wtrącania się w domowe sprawy Francyi, jak to zresztą pośrednio dał do zrozumienia, nakazując, wkrótce po zamachu fruktidorskim (w listopadzie 1797) utworzenie w Rosyi korpusu emigrantów francuskich, jako „ludzi poświęcających się osobami swojemi dla dobra prawowitego mo-

narchy.” Samemu temu monarsze, Ludwikowi XVIII, cesarz polecił dać w Mitawie przytułek, otoczyć go ceremoniałem należnym panującemu, wypłacać 200,000 rubli na utrzymanie, utworzyć przy nim gwardyę honorową z własnych jego poddanych, *etc.* Cięższe oznaki niezadowolenia odłożono do czasu rozejrzenia się w dalszych relacyach Panina. Poruszały one przedmiot nader doniosły... Jak dotąd, istniały zaledwie poszlaki. Ambasador donosił coś o porozumiewaniu się klubowców paryzkich z „włóczęgami i zbiegami rozmaitymi”... Należało kwestyę zbadać bliżéj, dokładniéj. Panin, od chwili jak wiatr wionął w oczy Francuzom, postanowił zająć się tém bardzo gorliwie. Otwarty wróg wszelkiego „nowiniarstwa nadsekwańskiego”, gorąco pragnął on pochwycić republikanów na gorącym uczynku inkursyi i propagandy występnéj na terytoryum państwa rosyjskiego. Zjednawszy więc sobie jednego z sekretarzy ambasady francuskiéj w Berlinie, który przyrzekł dostarczać odpisów z depesz Calliarda, Panin karmiący aż dotąd kancelaryę petersburską (Bezborodkę i Kurakina) wyłącznie komunałami („Haugwitz, minister pruski, pozostaje niewątpliwie w stosunkach z jakobinami paryzkimi”, — „Jakobini paryscy porozumiewają się niezaprzeczenie z rewolucyonistami polskimi”), zdobył się pod koniec stycznia 1798 na odkrycie cokolwiek pozytywniejsze. Kilka szczegółów jego raportu z téj epoki, oznaczonego N-em 47, przesłano zaraz wielkorządcom i gubernatorom krajów północno- i południowo-zachodnich, — i ślady wpływu wyobrażeń francuskich na umysły mieszkańców istotnie stwierdzono, aczkolwiek w dozach homeopatycznych, a w okolicznościach o tyle naiwnych, że „ludności miejscowéj na żaden sposób odpowiedzialną za to czynić nie można.” Nowoprzyłączone prowincye były zresztą tak klęskami ostatnich lat panowania Stanisława-Augusta skołatane, zniechęcenie i upadek na duchu górowały wszędzie z taką bezwzględnością, że wobec świeżéj podróży cesarza Pawła I, pobytu jego w Grodnie i Wilnie, łaskawych słów i obejścia się z przedstawicielami stanów, — wszystko to razem nie pozostawiało najmniejszéj wątpliwości co do kierunku i nastroju uczuć ożywiających polsko-litewskie kresy monarchii. Nieco inaczéj wypadało trzymać o inicyatorach awantury — rewolucyonistach francuskich... Na replikę téż nie trzeba było czekać zbyt długo. W czerwcu 1798 r. nakazano konfiskatę wszystkich towarów i okrętów francuskich w Rosyi; w październiku tegoż roku takiemuż losowi uległy kapitały francuskie deponowane w banku państwa; wreszcie korpusy i władze pograniczne otrzymały najsurowsze polecenie, ażeby pod żadnym pozorem nie wpuszczały do Rosyi „osób ze wstrętnym sposobem myślenia.”

Łatwo sobie teraz wyobrazić, co się to z kolei działo w klubach paryskich i w całéj Francyi po otrzymaniu szeregu tych wieści z Petersburga. Sprawdzało się do najlichszych drobiazgów to wszystko, co książe Henryk pruski, podróżując po Francyi, tu i owdzie, w toku uczt z jakobinami, napomykał od niechcenia, o treści listów i pertraktacyi Berlina z Petersburgiem z czasu niedoszłéj do skutku wycieczki króla Fryderyka Wilhelma II do ówczesnéj stolicy Prus południowych.

Prawdzic.



DWA PROGRAMATY SPOŁECZNE.

Ostatnie dzieło p. Gustawa de Molinari nosi tytuł: „Sposób, w jaki kwestya społeczna rozwiązaną zostanie" [1]). Zaiste, trudno o bardziéj obiecujący. Tak dalece jest on na dobie, tak wysoce odpowiadać się zdaje powszechnie uczuwanemu niepokojowi, że wzbudza nawet sam przez się sceptyczne powątpiewanie, coś w rodzaju niedowiarstwa, z jakiém przyjmujemy obietnice empiryków, ofiarujących niezawodne lekarstwo na nieuleczalne dotąd choroby. Od tak dawna bowiem i tak uporczywie, socyaliści stawiają przed światem społecznym obraz popełnionych przezeń nadużyć i grzechów przeciwko sprawiedliwości, i grożą mu zarazem tak strasznym odwetem zapowiadając, że kamienia nie pozostawią na kamieniu z całéj naszéj organizacyi indywidualno-kapitalistycznéj, iż najchłodniejsze nawet umysły zaczęły przypuszczać nieuniknioną katastrofę, jakąś rewolucyę, co zatracić miała naszą cywilizacyę, a wytworzyć na jéj gruzach wśród strasznych bólów porodu, całkiem inny, całkiem nowy ustrój świata. Wobec ciągłego powtarzania, że te dwa organizmy, dzisiejszy i jutrzejszy ów, nie mają z sobą nic wspólnego, że są wręcz sobie przeciwne, i że ten powstanie z zagłady tamtego, zagnieździła się obawa konieczności kolizyi tragicznéj. Były już jęki i narzekania. Spaliśmy na wulkanie.

---

[1]) „Comment se resoudrera la question sociale", par G. de Molinari. Paris, Guillaumin et C., 1896, str. 417, w 8-ce.

A oto do celi skazanego na śmierć wchodzi nie kat, ale zwiastun swobody; łuna pożaru zamienia się w różane światło jutrzenki!

Nie dziwota tedy, że głos poważnego ekonomisty dobrą wieść przynoszący podziałał uspokajająco na rozdrażnioną wyobraźnię naszą. Dowiedzieliśmy się, iż żaden przewrot gwałtowny ani dziś, ani jutro, ani kiedykolwiek nam nie grozi. Socyalizm nie posiada środków do przeprowadzenia swego programatu. Gdyby się targnął zuchwale na urzeczywistnienie swych przywidzeń, organizm społeczny rozporządza zasobem sił — nie materyalnych tylko, ale i moralnych — którebymu broń natychmiast wytrąciły z ręki. Daléj posiadamy już obecnie dostateczną ilość danych, aby z przebiegu dotychczasowego ewolucyi ekonomicznéj wyciągnąć wnioski co do formy, w jakiéj świat przyszły się ukształtuje. Przez samo rozwinięcie i spotęgowanie zarodów i pierwiastków żywotnych, które istnieją w społeczeństwie, przez powołanie do działalności produkcyjnéj wszystkich drzémiących jeszcze sił, utworzy się harmonijny ład w dzisiaj zakłóconym świecie, a protestacye i programy, jakiemi rozbrzmiewa socyalizm, rozwieją się, jako nieodpowiadające potrzebom, ani ideałom społeczeństwa, w nicość.

Tak mówi patentowany ekonomista, i jak powiedzieliśmy, doktryna jego wpłynąć nie omieszka na uspokojenie zatrwożonych wyobraźni. Ale czy znajdzie drogę do umysłów, czy przekona, obali uprzedzenia, rozświeci ciemnie, tego się powiedzieć nie poważymy. Nie optymizm, który atmosferę duchową jego stanowi, osłabia doniosłość jego teoryi, ani też nie czyni tego brak specyfiku, któryby zalecał. Pozostawienie uzdrowienia chorego siłom własnéj jego natury, usuwając szkodliwe wpływy i stawiając go wśród najkorzystniejszych hygienicznych warunków, jest systemem uprawnionym w terapeutyce. Głównym szkopułem, jaki p. Molinari znajdzie na swéj drodze, jest własna jego metoda rozumowania i pisania.

Jest to metoda abstrakcyjno-metafizyczna. Należy już ona do przeszłości w sferze ekonomii politycznéj. Dla przywykłych do studyów ekonomistów angielskich i amerykańskich, podających fakta i jeszcze fakta, nie pochopnych do szerokiéj choćby ale mglistéj syntezy, ale obserwujących ściśle i sumiennie objawy życia konkretnego, prace takie, w jakich podoba sobie klasyczna szkoła ekonomistów francuskich wogóle, a p. Molinari w szczególności, są twardym do zgryzienia orzechem. To ciągłe wygłaszanie abstrakcyjnych poglądów bez poparcia ich historycznemi przykładami, bez objęcia ich w etnograficzne ramy, nuży uwagę. Dedukcya logicznych wyników ze spostrzeżeń, których doniosłość nie jest nam uprzytomniona ma w sobie coś oderwanego, nieujętego. Staranność, z jaką p. Molinari unika wszelkich

cyfr statystycznych, wszelkiego imienia własnego, wszelkiéj cytaty innéj niż ze swoich własnych dzieł poprzednich, świadczy, że do swego własnego rozumowania przywiązuje wartość najwyższą, że uważa swą argumentacyę za niepokonaną. Tego rodzaju apodyktyczność jest jątrząca i niekorzystnie usposabia względem zasłuchanego w siebie samego głuszca. Bez najmniejszych usposobień buntowniczych czuje się raz po raz niepowstrzymaną chętkę cisnąć mu garść faktów, które całą jego doktrynerską budowlę zachwiać są w stanie.

Nie o jądro teoryi ekonomicznych, których on jest rzecznikiem, chodzi nam, bo uważamy je we wszystkich zasadniczych punktach za słuszne, ale o sposób, w jaki autor za nie walczy. Nawet gdy ma racyę, obudza wątpliwości. Byłoby jednak przesadą czynić go odpowiedzialnym za winy nietylko jego własne, ale całéj szkoły, z któréj wyszedł i którą uosabia. Pozwala jednak ta solidarność, w jakiéj się znajduje z ekonomicznym obozem, widzieć w nim przedstawiciela wyznawanych tam doktryn, a ostatnie jego dzieło „Sposób, w jaki kwestya społeczna rozwiązaną zostanie" za wyraz zapatrywań i sądu ekonomistów nad programem socyalistycznym. Oprócz tego zauważyć należy, że p. Molinari nie wywrał się, używając popularnego przysłowia, jak Filip z konopi; dzisiejszy jego utwór jest poprostu epilogiem całego szeregu dawniejszych prac, które przed siedmnastu laty rozpoczął był znaną „Ewolucyą ekonomiczną w XIX wieku", a do któréj dodawał z kolei „Ewolucyę polityczną i rewolucyę", „Etykę ekonomiczną", „Program ekonomiczny" i t. d. Mamy tu więc do czynienia z pracą poważną, pod którą, z niewielu zastrzeżeniami, zgodziliby się podpisać wszyscy prawowierni ekonomiści. Przypomniawszy sobie z jednéj strony, do jakich zasadniczych punktów sprowadził swój programat socyalizm wojujący, a biorąc z drugiéj ostatnią pracę p. Molinari, jako wyłuszczającą pogląd ekonomistów na przyszłe koleje, któremi potoczy się ekonomiczno-społeczny rozwój świata, mamy pożądaną sposobność wzajemnego przeciwstawienia sobie obu tych programatów: rewolucyjnego i ewolucyjnego, w wyborze, pomiędzy któremi wahać się było można, zanim się rozejrzało w pomroku. Z przeciwstawy téj wyłoni się ostatni, brakujący jeszcze promyk światła.

Nie potrzeba przypominać szczegółowo programatu socyalistycznego. Od chwili, gdy przestał być mglistą mową, fantastycznym pomysłem i gdy wyszedł ze stadyum czysto krytycznego, w którém długo pozostawał, socyalizm sformułował swoje *credo* w doktrynie kolektywizmu. Możnaby wprawdzie, jak to czyni wielu przeciwników socyalizmu, oskarżyć go o solidarność z teoryami anarchicznemi i włożyć na jego barki wszystkie herezye, wszystkie potworne doktryny, wszystkie

zamachy zbrodnicze, które stanowią jądro anarchii. Ale byłoby to niepotrzebną zaciętością, uwłaczałoby nawet sprawiedliwości, gdyż nie należy zapominać, że wielu socyalistów i właśnie najpoważniejszych, otwarcie i jawnie potępili anarchizm, i ogłosili go za wręcz przeciwny ich programowi organizacyi społeczeństwa. Można tedy ograniczyć się do 'spostrzeżenia, że są pomiędzy orędownikami obu tych rewolucyjnych systematów pewne punkta styczne, które łatwo z jednéj grupy przejść pozwalają do drugiéj i zostawić anarchizm w spokoju. Kolektywizm sam w sobie wystarcza, jako reprezentant socyalizmu dzisiejszego i nie potrzeba szukać go gdzieindziéj.

Ideałem, w którego imieniu socyalizm programat swój formułuje i w czyn wprowadzić pragnie, jest sprawiedliwość. Nie ma jéj być w obecnéj organizacyi społecznéj, indywidualno-kapitalistycznéj, gdyż jednostka ma tylko swój własny interes na oku, nie zaś powszechny i dlatego że kapitał uciemięża i wyzyskuje pracę. Dla zapobieżenia tym dwom niedostatkom nieodzownêm jest pozbawić jednostkę fizyczną i jednostkę zbiorową, t. j. rodzinę posiadanych przez nie praw i własności, a przenieść je na ogół społeczeństwa, i tak samo nieodzownêm jest zneutralizować wszechwładzę kapitału, czyniąc wyłącznym jego posiadaczem państwo, jako reprezentujące społeczeństwo i działające w jego imieniu. Jedynêm źródłem zasobu jest praca, a kapitał zawdzięcza swe istnienie temu, że opłacał tylko część pracy, a resztę zagrabiał dla siebie bezprawnie. Tego rodzaju nadużycia znikną natychmiastowo, gdy państwo będzie posiadaczem wszystkich środków i narzędzi zatrudniania pracy i opłacania jéj. W tym celu należy zrobić je właścicielem wszystkich nieruchomych i ruchomych kapitałów. Przez upaństwowienie ziemi stanie się ona własnością zbiorową i oddawana będzie pod uprawę z ramienia państwa. Tak samo kopalnie, fabryki, rękodzielnie, warsztaty, drogi żelazne i środki komunikacyjne *etc.* przejdą na państwo, które będzie prowadzić w nich wytwórczość i niemi zarządzać podług metod do każdéj z tych gałęzi najodpowiedniejszych. Bodźcem działalności nie będzie już interes egoistyczny, a środkiem wytwarzania dostatków współubieganie się osobników; na ich miejscu stanie organizm społeczny jednolity, który przez władze publiczne troszczyć się będzie o dobro powszechne, rozdawać pracę, rozdzielać jéj owoce. Kapitał indywidualny zniknie, gdyż nie będzie można osobnikowi powiększać go przez wypożyczanie na procenta; nie będzie ani dzierżawy, ani kredytu, ani giełdy, ani handlu. Stąd wynika, że rodzice, wywłaszczeni ze swego majątku, nie będą go mogli przekazać swoim dzieciom: nie będzie spadkobierstwa, dziedzictwa. Zaoszczędzanie części zysku, które miało za następstwo ciągły wzrost ka-

pitału straci racyę bytu, a każdy uczestnik państwowy, wzamian za przedsiębraną dla ogólnego pożytku pracę, będzie wynagrodzony produktami naturalnemi i reprezentującemi je bonami, albo wymiennemi znakami.

Są socyaliści, którzy pozostają, formułując swój programat, w sferze ogólników; są inni, którzy schodzą do najdrobniejszych szczegółów. Ale nie mijamy się z prawdą i nie czynimy im żadnéj ujmy, sprowadzając całość ich doktryny do tych zasadniczych punktów. Nie ma potrzeby polemizować na tém miejscu z doktryną socyalizmu jako taką. Te i owe artykuły kolektywistycznego *credo* wzięte będą na uwagę, gdy przejdziemy do sposobu, w jaki, zdaniem ekonomistów, zagadnienie socyalne rozwiązane zostanie. Zauważyć tu atoli trzeba zasadniczą różnicę, jaka istnieje w zapatrywaniu samém na naturę i istotę społeczności ludzkiéj jednéj i drugiéj szkoły. Podług socyalistów, społeczeństwo jest organizacyą wytworzoną przez ludzi dla spełnienia danego celu; a skoro cel ten—zabezpieczenie dobrobytu i przywilejów mniejszości kosztem i wyzyskiwaniem masy — stracił już swą racyę bytu, zatém organizacya ta może i powinna uledz radykalnemu przekształceniu. Innemi słowy, społeczność ludzka jest własnowolnym wytworem woli ludzkiéj i nic nie stoi na zawadzie, ażeby w odmiennych warunkach, przy inaczéj manifestującéj się woli większości, nie nakréślono dla niéj innego planu. Z téj biernéj jakoby materyi każdy apryoryczny reformator może ulepić nowy całokształt, zaimprowizować nowy ustrój społeczny. Inaczéj rzeczy się mają, zdaniem ekonomistów. Ludzie, rozwijając swą działalność odpowiednio swym człowieczym instynktom i potrzebom, utworzyli społeczeństwa, organizmy zbiorowe, na które oddziaływać nie przestają, ale które także przez posiadaną w sobie siłę żywotną oddziaływują na każdego z osobników. Pomimo wszystkich różnic czasu i miejsca, instytucye zbiorowego bytu ludzi ukształtowały się w pewne jednolite formy, które wolno nam nazywać prawami naturalnemi ludzkości. Nie można sobie wyobrazić nawet dzisiaj społeczności, tych praw naturalnych pozbawionéj, z nich wyzutéj. Jakkolwiek doskonałe plany podobałoby się tym lub owym wymyśléć dla dalszego rozwoju, społeczność ani chce, ani może na nie się zgodzić, jeżeli one gwałcą tę sterę praw naturalnych, pod których tarczą społeczność ludzka wzrastała i wychowywała się po dziś dzień.

Ta różnica zapatrywania sama przez się prowadzi za sobą doniosłe następstwa praktyczne. Wolno ekonomistom, reprezentującym zachowawcze podstawy organizacyi społecznéj, proponować socyalne reformy i ulepszenia, gdyż mają one na celu podparcie i wzmocnienie budowy świata takiego, w jakim żyjemy; socyaliści natomiast, którzy

ryczałtem go potępiają, słuchani być muszą z niedowierzaniem, gdyż przeciwko prawom, na których ludzkość uorganizowała się od zarania zbiorowego bytu, przeciwko empirycznemu doświadczeniu dziesiątków tysięcy lat, przeciwko niezliczonym dowodom ciągle polepszających się warunków życia społecznego, nie przynoszą oni nic innego jak apodyktyczne zapewnienie, że świat, ukształtowany podług ich modły, będzie lepszy od naszego, istniejącego. Nieraz, ale sto razy powinniby tedy mieć racyę za sobą, zanimbyśmy się dali nakłonić do uczynienia skoku w ciemnię za ich namową.

Równie dobrze znany jest programat ekonomistów. Społeczeństwa uorganizowały się i wzrosły dzięki prawom przyrodzonym dla coraz szerszego i coraz doskonalszego rozwoju działalności życiowéj. Ażeby działalność ta wydała wszystkie owoce, do których jest uzdolniona, należy usunąć przed nią wszystkie zapory i przeszkody, o które potykać się może, należy wzmocnić i spotęgować siły produkcyjne każdego osobnika i zostawić mu wszelką swobodę działalności zarówno wytwórczéj, jak wymiennéj. Władza centralna, państwo nie ma samo w sobie innéj racyi bytu, jak dawać opiekę organizmowi społecznemu, zapewniać mu bezpieczeństwo. Wytwórczość ekonomiczna, rozdział zasobu nie leżą w jego atrybucyach i mieszać się do nich nie ma powodu. Swobodne jednostki, jedne współzawodniczące z drugiemi, podniecone widokiem korzyści, daleko lepiéj potrafią się z tych zadań wywiązać. *Laisser faire*, oto wszechmocne hasło, które, zdaniem ekonomistów, wystarcza do zapewnienia społeczeństwu nieprzerwanego, ciągłego postępu.

Można rozszerzyć i wyświetlić doktrynę ekonomistów, ale jéj jądro leży w tych dwóch zasadach: konkurencyi i nieograniczonéj swobody działalności indywidualnéj. Dzięki im i opiérając się na prawach przyrodzonych, ludzkość ma wznosić się stopniowo na coraz wyższe szczeble postępu, tego samego postępu, do którego socyalizm zdąża całkiem odrębną drogą. Postęp, w pojęciu obu szkół, polega na coraz większém rozwinięciu sił życiowych, przy coraz mniejszym wysiłku i naprężeniu ich. To zaoszczędzenie sił najprościéj daje się osiągnąć przez konkurencyę, wszystkich jednostek, zdążających do tego samego celu podług ekonomistów, kiedy socyalizm zamierza to uczynić, zlewając wytwórczość i rozdział zapasów społecznych na jeden organizm centralny, państwo, jest to zatém inne pojęcie mechanizmu postępu społecznego i inne stosowanie do niego sił przyrodzonych. Ekonomiści otwarcie wyrażają zdanie, że postęp społeczeństwa, czyli stopniowa i normalna ewolucya ku coraz większemu światłu, dobru, sprawiedliwości, nie ma niebezpieczniejszych nieprzyjaciół nad

socyalistów, gdyż nie można tego celu dopiąć inaczéj, jak przez uwzględnienie i uszanowanie zasadniczych podstaw natury ludzkiéj. Socyalizm zaś, jak wiadomo, gwałci dwie najgłówniejsze: swobodę indywidualną i własność.

Nie da się zaprzeczyć, że powołując się na siły przyrodzone, na prawa naturalne, ekonomiści stoją na gruncie niezachwianym. Życie ludzkie nie może istniéć i utrzymywać się inaczéj, jak przez nieustanną asymilacyę czynników życiowych, albo innemi słowy: przez pracę. Ponieważ wysiłek, jakiego praca wymaga, jest dotkliwy, zatém każda jednostka pragnie posiąść największą ilość czynników życiowych przy jaknajmniejszym wysilku. Prawo to nazwane zostało prawem ekonomii sił. Ponieważ nie ma naturalnéj równości pomiędzy osobnikami, a jedni są lepiéj uzdolnieni do pracy, aniżeli drudzy, zatém silniejsi wychodzą z tego współubiegania się o czynniki życiowe zwycięsko: jest to prawo konkurencyi. Oba te prawa socyaliści chcą znieść przez swą organizacyę centralizacyjną; ekonomiści są zdania natomiast, że przy swobodzie działania ujemne jego strony znikają, a zachowują się tylko dodatnie.

Jakkolwiek socyaliści protestują przeciwko tym prawom przyrodzonym, badanie przyrody pokazuje nam niezmienne, bezwyjątkowe ich istnienie w całym świecie organicznym, a rozwój historyczny ludzkości stwierdza je tak samo ujawniające się w walce o byt. Nie można sobie wyobrazić zawiązku zbiorowéj grupy człowieczéj w innéj postaci, jak uganiającéj się za dostarczaniem sobie środków żywności. Współubiegają się o nie najprzód z dzikiemi zwierzętami, potém z sąsiedniemi plemionami. Chociaż oburza to sentymentalnych idealistów, trzeba przyznać, że ludzkość wybiła się na wyższe szczeble rozwojowe jedynie dzięki dwom ujemnym czynnikom: wojnie i niewolnictwu. Wojując, silniejsze, lepiéj uorganizowane rasy zajęły miejsce podrzędnych, upośledzonych, zabezpieczając się przeciwko napaściom z zewnątrz, plemiona pierwotne położyły podwaliny tego regularnego ustroju społecznego, z którego wykwitła w następstwie cywilizacya. Niewolnictwo zmuszało do pracy ciężkiéj i mozolnéj tę część zbiorowéj masy, która nie oddawała się rzemiosłu wojennemu. Kiedy jedni walczyli z wrażymi żywiołami, drudzy pracowali dla pozyskania środków materyalnego bytu. Zbytecznémby było stawać w obronie ekonomistów, że są oni i w obecnym stanie rozwoju ludzkości zwolennikami armii i niewolnictwa: nikt ich o takie sympatye nie podejrzewa. Ale nie ulega wątpliwości, że w praktyce życiowéj aż po dziś dzień następstwa tych pierwotnych instytucyi spostrzegać się dają.

Nie spuszczając z oka tego jądra, z którego w historycznym swym pochodzie powstała cywilizacya świata współczesnego, są tedy ekonomiści uprawnieni do postawienia aksyomatu o dwoistéj drodze, która do téj mety nas doprowadziła. Stało się to z jednéj strony przez spotęgowanie siły niszczącéj człowieka w wojnie, a z drugiéj przez spotęgowanie siły produkcyjnéj, jaką w sobie wyrobił. Przeciwieństwo tych dwóch pierwiastków, ich wzajemne ścieranie się, ich współistnienie, przewaga jednego nad drugim stanowią całą tkaninę bytu społecznego i oznaczającą charakter mniéj lub więcéj ujemny i barbarzyński, albo mniéj lub więcéj dodatni i postępowy ludzkości.

Zamykając się we właściwéj sobie sferze, téj, która się zajmuje produkcyjną działalnością ludzi, ekonomiści idą łańcuchową drogą przesłanek i wniosków do wykazania nieuniknionéj konieczności i konkurencyi pomiędzy pracującymi i swobody nieograniczonéj pracy. U kolébki człowieczeństwa widzą wojujące z sobą hordy pod przywódcami zagrabiającymi dla siebie większą część łupu w ziemi, trzodach i niewolnikach. Władza ich nad niemi jest nieograniczona i wymaga od nich jaknajwiększego wysiłku pracy. Stopniowo wyrabia się w nich przeświadczenie o większéj dla siebie korzyści z powierzenia tym niewolnikom wyzyskiwania jego posiadłości na ich własną rękę i niewolnicy zamieniają się na pańszczyźnianych poddanych, oddających naprzód swą daninę w owocach swéj pracy, a następnie w formie wymiennéj, t. j. pieniądzach. Prowadzi to do wykupu i oswobodzenia zależnéj czerni pańszczyźnianéj i do specyalizacyi pracy, która z wyłącznie rolniczéj przeistacza się w rzemieślniczą, rękodzielniczą, handlową i t. d. Z chwilą, w któréj masa robotnicza czuje się wyswobodzoną z uprzednio ciążących na niéj okówi zależności, gdy spostrzega możność zachowania dla siebie całego dorobku ze swéj działalności wytwórczéj, wtedy potęguje się u niéj zdolność i chęć do pracy, rodzi się współzawodnictwo jednych z drugimi, przy którém władze fizyczne i intelektualne rozwijają się w stopniu uprzednio nie przewidywanym, nie marzonym. Dla zaoszczędzenia swego fizycznego wysiłku i powiększenia zasobu społecznego, zastosowane bywają machiny. Wyemancypowały one ostatecznie człowieka-zwierzę i człowieka-niewolnika a podrzędne, przechodnie ich wady są drobne w porównaniu z przełomowemi olbrzymiemi korzyściami, jakie oddały społeczności.

Działalność produkcyjna ludzkości nie da się pojąć nawet bez konkurencyi. Konkurencya ta miała w historycznym przebiegu ludzkości dwie formy. Pierwszą była wojna: celem jéj było zgładzenie, zniweczenie współzawodnika, a przynajmniéj jaknajwiększe jego wy-

cieńczenie. Drugą — widocznie wyższą, formą jéj jest konkurencya przemysłowa. Istnieje ona pomiędzy osobnikami w łonie każdéj społeczności i pomiędzy wszystkiemi społecznościami świata. Z ułatwieniem środków komunikacyjnych i przy postępach oświaty i dobrobytu wszystkie, dawniéj zacofane i po za sferą międzynarodowych stosunków pozostające ludy, zaczynają brać w nich udział i kula ziemska, jak przewidzieć już łatwo, stanie się w przyszłości jedném wymiennem targowiskiem, na które każda społeczność przynosić będzie swoje produkta i swoje zdolności wytwórcze. Skoro taki jest jasno zakreślony cel, do którego zmierza ludzkość, leży w naturze rzeczy, że pragnąć ona musi, ażeby ta działalność produkcyjna i wymienna, objawiająca się za pomocą współzawodnictwa, pozbawiona została swoich kolców i cierni, ażeby jaknajmniéj raniła i przynosiła szkody jaknajmniejsze coraz bardziéj ograniczonéj liczbie jednostek i grup społecznych, a przeciwnie, ażeby stała się dla ogółu, dla powszechności niewyczerpaném źródłem błogosławieństw. Na pozór jest to kwadratura koła, czyste niepodobieństwo. Ekonomiści, jak wiadomo, rozwiązują zagadnienie przez wprowadzenie nieograniczonéj swobody do organizacyi wytwórczéj społeczeństw. Zadaniem państwa ma być otworzenie wszelkich szranek i zapór, ujednostajnienie praw i przywilejów. Przy równości ciężarów fiskalnych i obowiązków publicznych, przy zabezpieczeniu własności i sfery prawnéj każdego ze swych mieszkańców, przy udzieleniu środków edukacyjnych i informacyjnych, przy rozszerzeniu środków komunikacyjnych, działalność w łonie każdéj społeczności będzie mogła się rozwijać do nieskończoności. Potrzeba do tego tylko jednego warunku, ale jest on nieodzowny. Powinny być zniesione wszelkie monopole, wszelkie ograniczenia sztuczne, a dowolne, wytwórczości, wszelkie cła protekcyjne i wchodowe, stające na zawadzie szerokiéj a taniéj produkcyi. Jak już znikły słupy graniczne i baryery wewnątrz każdego narodu, tak co prędzéj zniesione być winny także w stosunkach jednego narodu do drugiego. Ułożą się one same przez się do harmonijnego poziomu i świat cały stanie się podobnym do pracującego ula pszczół.

Czém są w dzisiejszéj epoce rozwojowéj ludzkości wielkie armie wycieńczające i rujnujące narody, tém jest w oczach ekonomistów, system celny protekcyjny. Przeszła już, znikła potrzeba sił wojskowych, któremi broniono się w czasach dawniejszych przeciwko napaściom i najazdom dziczy barbarzyńskiéj. Od wynalazku broni palnéj barbarzyństwo przestało być niebezpieczném. Obecnie narody na czele cywilizacyi idące są w trakcie ostatecznego wytrzebiania i pokonania go w jego własnych puszczach. Nie ma już istotnie potrzeby organi-

zacyi wojennéj u cywilizowanéj ludzkości. Pomimo tego istnieje jak anachronizm, i upłynie bez wątpienia nie mało czasu zanim ta pozostałość innéj epoki zniknie z powierzchni świata. To samo dzieje się z systematem protekcyjnym. Jest to pozostałość fazy przemysłowo-handlowéj niemowlęcéj. Skoro obecnie przynosi on za sobą zmniejszenie wytwórczości większą drożyznę wypłodów, ograniczenie rynku wymiennego, zatém mamy prawo spoglądać nań jako na czynnik wsteczny, tamujący rozwój ludzkości i jest obowiązkiem każdego zwolennika postępu, zwalczać go na wszystkich posterunkach, na jakich się jeszcze utrzymuje. Zamiast miejscowych różnic i wyłączności zamiast ciasnych, parafialnych interesów, trzeba mieć na oku solidarność całego cywilizowanego świata, z rokiem każdym, z dniem każdym coraz ściślejszą, coraz jawniejszą i okazującą się w niezliczonych postaciach i kształtach.

Jeżeli ekonomiści nie przestają wykazywać, iż prawa społeczne odpowiadają w zupełności warunkom istnienia ludzkości, i że nie ma powodu szukać ulepszenia ich na drodze przewrotów gwałcących moralną i materyalną sferę każdego osobnika, to bezzasadnym jest zarzut, jakoby uważali istniejący ustrój społeczeństw za doskonały, nieomylny, nienaruszalny, i żeby udzielali mu błogosławieństwa dlatego po prostu, że istnieje i funkcyonuje. Być może, iż był to dawniejszy, młodociany jéj grzech i że podobała sobie w formułowaniu absolutnych aksyomatów. Ale od czasu jak zastosowanie metody historycznéj odrodziło ekonomię tak samo jak wszystkie inne gałęzie wiedzy, o niczém podobném mowy nie ma. Nawet tak prawowierni ekonomiści jak p. Molinari powtarzają na wszystkie tony, że warunki bytu społeczeństwa uległy wielkim zmianom, Nie przekraczając granic naszego wieku, spostrzegamy w jego przebiegu wypadki ekonomiczne o niezmiernéj doniosłości, jak zmianę środków komunikacyjnych, uruchomienie zasobu społecznego w niepojętych rozmiarach — w samych drogach żelaznych ulokowano przeszło 100 miliardów kapitału—rozwój handlu międzynarodowego, unifikacyę rynku handlowego, i t. d. Jednocześnie zmienił się także i ustrój polityczny społeczeństw. Masy pracujące zostały wyemancypowane, równouprawnione, demokracya popłynęła pełném korytem. Każdy z osobna z tych faktów wystarczyłby już do zakłócenia ogólnéj organizacyi, do wywołania fermentu. Łatwo pojąć, że ich wspólne występowanie na widownię publiczną i ich jednoczesna agitacya za przeprowadzeniem swych planów, swéj sfery działania, wywołały wśród świata chaotyczny zamęt, przesilenie radykalne. Ślepym jest, kto nie spostrzega do jakiego stopnia tradycye przeszłości a aspiracye dzisiejsze, interesa oligarchicznéj mniejszości a wielomilio-

nowych mas, pretensye kapitału do dawniejszych zysków a niewyklarowana jeszcze samoocena pracy stoją jedne przeciwko drugim i ściérają się z sobą. Przesilenie istnieje i nikt go zaprzeczyć nie może. Ale jest to przesilenie przechodnie tylko, utrzymują ekonomiści. Cierpimy przez nie, jest to nieuniknionėm, a cierpimy tém więcéj im bardziéj się upiéramy obstawać przy instytucyach zaśniedziałych, nadgniłych, dzisiejszym warunkom bytu nieodpowiednich. Przesilenie przejdzie, gdy pośpieszymy dać tym nowopowstałym czynnikom społecznym, tym nowo wyrosłym siłom pole do swobodnéj działalności. W ten sposób osiągniemy harmonijną ewolucyę i ludzkość wzniesie się o jeden szczebel wyżéj na drodze postępu. Socyaliści negują przesilenie, przez które organizm nasz przechodzi a potępiają składowe żywioły samego organizmu. Ich zdaniem, jeden jest tylko środek: zniweczyć go raz na zawsze i przy pomocy legendowego Frankensteina w całkiem odmiennych formach powołać go do bytu. Eksperyment byłby niebezpieczny, gdyby był wykonalny. Na szczęście nie jest nim: są to tylko przechwałki i strachy na Lachy.

Dyagnoza choroby społecznéj, dokonana przez ekonomistów, prowadzi do terapeutycznych środków elementarnych. Należy urobionemu już dojrzałemu organizmowi dać sposoby normalnego rozwoju; precz z dziecinnemi powijakami, precz z ekonomicznym *ancien regime.* Nie ma już miejsca dla cechów i korporacyi, dla rogatek i komór, dla przywilejów i monopolów. Wszystko dla wszystkich. Najobszerniejszy *self-government* polityczny i gospodarczy: oto pierwsze warunki bytu. W nich, konkurencya produkcyjna pomiędzy osobnikami każdego społeczeństwa, i pomiędzy wszystkiemi narodami działać będzie z powszechną korzyścią a konkurencya niszcząca, t. j. wojna, okaże się coraz bardziéj zbyteczną i zniknie nareszcie sama przez się, jako organ co przestał być użyteczny.

Przesilenie trwa i społeczeństwa cierpią, gdyż wiele ich organów nie zostało wyzwolonych z obarczających je pęt, albo też wyzwolono je z nich częściowo tylko, bez żadnego systematycznego planu, *at random,* jak mówią Anglicy. Zaczęto od politycznéj emancypacyi narodów i na miejsce uprzednich rządów absolutnych wprowadzono konstytucyjne, z systemem reprezentacyjnym mniéj lub więcéj szerokim. Przypuszczono do udziału w głosowaniu powszechném ciemne, niewykształcone masy. Rezultat nie odpowiedział oczekiwaniom. Na miejscu dawniejszych rządów opiekuńczych, powstała i wzrosła abstrakcyjna idea państwa opatrzności. Do niego udają się obywatele po pomoc, zasiłek, środki utrzymania. Apetyty ogólne są rozbudzone. Aby je zaspokoić, wytwarzane są coraz nowe płatne posady i stanowiska. Nie-

przejrzana rzesza urzędnicza ssie ogół jak pijawki, a martwa, mechaniczna biurokracya ciąży jak wieko trumny nad żywym narodem. Z tego fałszywego pojęcia funkcyi i obowiązków państwa, musiano z kolei dojść do rozszerzenia sfery jego działalności. Włożono na barki jego rozmaite działy wytwórczości ekonomicznéj, które taniéj, lepiéj i korzystniéj wykonywują osobniki. Olbrzymie obdłużenie państw i wydatki czynione lekkomyślnie, nieoględnie, są jedném, choć nie największém, złém następstwem tego fałszywie rozwiązanego zagadnienia politycznego.

Inną przyczyną przeciągania się przesilenia, na które cierpią społeczeństwa dzisiejsze, jest utrzymywanie wielkich armii zbrojnych. Były one niezbędne naprzód, użyteczne następnie; obecnie być niemi przestały. Nie tylko odrywają od pracy produkcyjnéj miliony rąk, nie tylko rujnują finanse każdego kraju, pochłaniając lwią część jego dochodów, ale mijają się ze swym celem. Armie lądowe i morskie mają służyć do windykowania praw każdego państwa i zabezpieczać je przed stratami, o jakie by je przyprawiła napaść wroga. Tymczasem wojny, w obecnym stanie udoskonalenia broni, stały się tak strasznemi, tak dotkliwemi nie tylko dla państwa, które zostaje pokonaném, ale i dla zwycięscy, że wszystkie usiłowania czynione są do zapobieżenia im, do uczynienia ich coraz rzadszemi, coraz bardziéj zlokalizowanemi. Niedorzeczna sprzeczność celu i środków bije w oczy każdemu. Państwa cywilizowane rujnują się i demoralizują, aby utrzymywać armie, które wskutek nieprzerwanych usiłowań, skazane są na bezczynność. Dopóki w ten lub ów sposób ten anachronizm, jakim są olbrzymie armie w dzisiejszym stanie cywilizacyi, usunięty nie zostanie, nie jest nam dozwolone marzyć o gruntowném załatwieniu przesilenia społecznego.

Gdy się do tych przyczyn zamętu społecznego doda środki fiskalne, powstrzymujące dobrobyt powszechny jak zagrabianie własności indywidualnéj drogą źle rozłożonych i przesadzonych podatków, jak cła protekcyjne, które dla zbogacenia drobnéj liczby producentów zmuszają konsumentów, t. j. całą społeczność do przepłacania wyrobów, których dostarczyćby sobie mogli taniéj przy otwartych granicach, jak monopole państwowe, jak arbitralnie narzucany system pieniężny, i wiele innych, to się dojdzie do wniosku, że normalny rozwój społeczeństw jest obecnie nadwyrężany i zakłócany na każdym kroku,— każdém miejscu. Jest śmieszném, gdy się słyszy socyalistę obarczającego ekonomistów wszystkiemi grzechami Izraela i czyniącego ich odpowiedzialnymi za cierpienia społeczeństw. Nie tylko że nie odpowiada ten ustrój ich ideałowi sprawiedliwości i dobra, ale dokładają wszelkich usiłowań, ażeby zaopatrzyć społeczeństwa w instytucye od-

powiednie nowym warunkom ich rozwoju i znieść zastarzałe, niewłaściwe. Ekonomia polityczna nie śpiéwa hymnu pochwalnego dla *status quo*, przeciwnie, uderza w niego taranem. Wina nie po ich stronie ale ciąży na tych tak zwanych ludziach praktycznych co pragną ciągnąć, jak się da najdłużéj, korzyści z istniejących stosunków, bez żadnéj troski o jutro, o to co się stanie z przyszłemi pokoleniami. Do téj walki pomiędzy oświeconymi teoretykami a ciasnym egoizmem wmieszali się socyaliści, z jakim skutkiem—wiadomo.

Jeżeli ten nienormalny, pełen sprzeczności i przeciwieństw stan społeczeństwa współczesnego oddziaływa niekorzystnie na położenie rozmaitych jego warstw, to samo się przez się rozumié, że dał się on przedewszystkiém we znaki niższym, całéj masie, utrzymującéj się wyłącznie z ręcznéj pracy. Ludność robotnicza jest prawnie i społecznie wyswobodzona, ale na niéj saméj polega odpowiedzialność znalezienia dla siebie środków utrzymania. Do tego zadania trzeba przyznać, nie była przygotowana ani umysłowo, ani moralnie, ani fachowo. Byłoby czystém okrucieństwem rozszerzać się nad niedostatkami ich oświaty. Moralne upośledzenie téj masy pokazuje się przedewszystkiém w braku wstrzemięźliwości od pijaństwa i płodzenia dzieci. Wiadomo, że wydatek na gorące trunki pochłania znaczną, często największą część zarobku robotnika i przyprawia go o nędzę. Sumy pochłaniane przez trunki wynoszą w wielu państwach, jak Anglii, Stanach Zjednoczonych, Rosyi i t. d. dwie trzecie części budżetu państwowego. Nieoględność z jaką warstwy ludowe płodzą dzieci, nie tylko bez najmniejszéj przezorności co do środków ich wyżywienia, ale nawet przez pragnienie wyzyskiwania ich pracy, mści się na ich dobrobycie w dotykalny sposób. Brak fachowego uzdolnienia nakoniec, spycha większą część robotników do działalności podrzędnéj, która źle płatna, skazuje ich przez całe życie na upośledzone i ciężkie stanowisko towarzyskie.

Obok tych win, które na robotniku samym ciążą i których poprawa od niego samego zależy o tyle przynajmniéj o ile swoboda woli i zakres inicyatywy osobistéj pozwala, są jednak okoliczności nieprzyjazne, jakich warstwy robotnicze stały się ofiarą w obecnym przejściowym ustroju społecznym. Organizacya ekonomiczna, zrewolucyonizowana w ciągu ostatniego stulecia przez zastosowanie machin, dała uprzywilejowane stanowisko kapitałowi. Żadne sofizmata tego w oczy bijącego faktu nie są w stanie zniweczyć. Przy targu o wysokość zarobku, przedsiębiorcy znajdują się w położeniu dozwalającém im dyktować warunki. Następnie wymienić jeszcze należy brak bezpieczeństwa, brak pewności co do znalezienia sobie zarobku, i trudności jakie napotykają, przy braku wszelkiego zaoszczędzonego zasobu, przy braku or-

ganizacyi solidarnéj, do skorzystania z takąż samą łatwością co klasy wyższe, z okazyi powiększenia swego zarobku i zapewnienia sobie dobrobytu. Ma to wprawdzie już miejsce, ale daleko rzadziéj niżby miéć powinno.

Nie socyaliści tylko, ale wszyscy przezorni mężowie stanu, wszyscy rozumni ekonomiści uznają te niedostatki, ubolewają nad niemi i szukają na nie środków zaradczych. Ale każda z dwóch szkół społecznych szuka ich gdzieindziéj. Podług socyalistów, wina biédy, na którą cierpi masa, pochodzi ze złego podziału dobytku powszechnego: kapitaliści mieli zagarnąć dla siebie lwią część i skazują masę na śmierć głodową. Na tego rodzaju plewy dudki się tylko łapać mogą. Daleko rozumniejszém jest rozumowanie ekonomistów utrzymujących że nie cierpi społeczeństwo przez zły rozdział zasobu, ale przez jego szczupłość. Ludzkość jest jeszcze za biedna, produkcya jest jeszcze zanadto ograniczona, nie posiadamy jeszcze dosyć środków aby nakarmić, odziać i utrzymywać masy milionowe wszechświatowego mrowiska. Postęp powszechnéj zamożności jest widoczny, dotykalny ale powolny, zbyt powolny dla naszego silnie rozwiniętego humanitarnego poczucia. Molinari przypomina że za Ludwika XIV było wszystkiego we Francyi 100,000 rodzin które uważać można było za zamożne. Po upływie trzech niespełna wieków jest ich obecnie już milion, a dziesięć milionów rodzin jeszcze zamożności nie posiada. To samo dzieje się i w innych społecznościach. Leroy Beaulieu w swojém znaném dziele *Répartition des richesses* wykazał jak liczba wyjątkowych fortun się zmniejsza, jak wzmaga się liczba średnich, jak powoli ale regularnie podnosi się dyapazon małych, ubogich. Nie można nigdy dość silnego nacisku położyć na ten pewnik ekonomiczny, nie można dość głęboko wpoić przekonania, że źródłem naszych cierpień materyalnych jest materyalne ubóstwo społeczeństwa. Ażeby mu zapobiédz, nie ma innego środka jak pracować na wszystkich polach działalności ludzkiéj z podwojoną skwapliwością. Nieprzyjaciółmi postępu, wrogami masy biednéj i wycieńczonéj są ci co stawiają zapory wytwórczości. W jéj nieskończonym wzroście jest nasze wybawienie: nie ma go gdzieindziéj. Ekonomiści uczą nas, że produkcya się wzmoże, gdy będzie ją można prowadzić z większą oszczędnością nakładu i sił, gdy wprowadzane będą do niéj coraz doskonalsze machiny i materyały, gdy środki administracyjne każdego przedsięwzięcia zostaną ulepszone, gdy kapitały obrotowe, przez swą obfitość, staną się dostępnemi i taniemi, gdy sfera działalności twórczéj i wymiennéj będzie ujednostajniona i rozszerzona do ostatnich kresów świata. Wymagania to wielkie, ale nie ma w nich nic niepodobnego. Jest w nich materyał do olbrzymiego po-

stępu, do podniesienia człowieczeństwa na niemarzone dzisiaj szczeble dobrobytu.

Ekonomiści, zakreślając taki jasny, taki wykonalny programat dla działalności społecznéj, nie ukrywają bynajmniéj, że i oni zdążają do kolektywizmu, że i oni przewidują w przyszłości coraz mniéj danych dla wytwórczéj pracy osobnika, a coraz więcéj dla zjednoczonych, solidarnie sprzężonych przedsiewzięć towarzystw wielkich, tak wielkich, że będą obejmować w swe ramiona narody, federacyjne grupy narodów, wreszcie ludzkość całą. Jeżeli to marzenie tylko, to marzenie możliwe, gdyż osiągnąć się daje przy zgodnéj woli indywidualnéj, nie zaś drogą gwałtu i przemocy, do jakich uciekać się pragną socyaliści, gdy im idzie o narzucenie światu tego kolektywizmu tyrańskiego, w którym sobie podobają. Ale w każdym razie można te oddalone ewolucye ekonomiczne świata zostawić w spokoju. Dzień dzisiejszy i jutrzejszy dostatecznie zaprzątać nas może.

Socyaliści grożą nam pięściami i złorzeczą organizacyi współczesnéj. Trzeba zwrócić uwagę na tę okoliczność, że wszyscy jesteśmy mniéj lub więcéj ich wspólnikami, bo sympatyzujemy z celem, do jakiego zdążają, do owego wygładzenia niesprawiedliwości krzyczących, do otarcia łez, do zabliźnienia ran. To solidarne poczucie smutnéj doli, będącéj udziałem ludzkości dzisiejszéj, sprawiło, że nieraz zapominamy o środkach i sposobach, jakiemi oni cel ten osiągnąć pragną. Nie tylko że zapominamy, ale współdziałamy z nimi. Socyaliści oddawna zrozumieli, że nie mają możności urzeczywistnienia swego planu wywłaszczenia i konfiskaty indywidualnéj własności częściowo; spotkali by się z żandarmem i kodeksem karnym a ludzie dający się gilotynować przez namowę, istnieją jedynie w fikcyi. Jedyną drogą, jaka im pozostaje, jest przystąpić do tego wywłaszczenia indywidualnego, do upaństwowienia własności nieruchoméj i ruchoméj i do scentralizowania całéj działalności ekonomicznéj za pomocą państwa. Zawładnąć państwem oto *alfa* i *omega* polityki socyalistycznéj. Dostać się do władzy przez rewolucyę socyalną, albo przez propagandę wśród mas obałamucanych zmienia metodę téj polityki, ale cel ostateczny jest zawsze jeden i ten sam: zgiąć jednostkę, zmiażdżyć ją przed wszechpotęgą państwa, zastąpić indywidualną swobodę przez otrzymywane z góry dyrekcyę.

Rzecz dziwna: te same społeczeństwa, które obstają uporczywie przy zachowaniu dotychczasowych warunków swego istnienia przez swobodę, przez własność, przez rodzinę i t. d., robią co mogą, aby ułatwić swym przeciwnikom, socyalistom, dopięcie upragnionego przez nich celu, oddanie w ich ręce państwa. Rozszerzając jego działalność,

jego atrybucye, upoważniając je do interwencyi nieustannéj we wszystkie sfery, dawniéj szczelnie dla niego zamknięte, czynimy państwo organizacyą niezbędną dla ogółu, ściągamy je z obłoków abstrakcyi na podwórko codziennego naszego życia. Gdyby socyalizm znalazł chwilę sposobną do pochwycenia w swe szpony władz publicznych, ułatwiłoby mu to wielce zadanie narzucenia rygoru, zwierzchnictwa i dyrekcyi państwowéj światu, co powoli i stopniowo w ręce jego już abdykował ze swojéj normalnéj działalności. Ograniczając godziny pracy robotników, przedsiębiorąc asekuracyę przymusową, upoważniając państwo do téj lub owéj gałęzi wytwórczości prowadzonéj dla społeczeństwa, położyliśmy podwaliny, przygotowaliśmy materyały dla gmachu socyalizmu kolektywnego. Łatwiéj było stawiać pierwsze, nieopatrzne kroki na téj drodze, aniżeli naraz powstrzymać się na jéj spadzistości.

Otuchę społeczeństwo znaléść może gdzieindziéj. Zanim socyaliści znajdą możność zawładnięcia państwem, zanim na gruzach i perzynie dotychczasowéj organizacyi zaczną czynić swe próby i eksperymenta, zanim się wykaże, że ich rzekomy postęp jest barbarzyństwem, ich niebo piekłem, zanim wywołają gwałtowną reakcyę i skażą ludzkość na konwulsyjne spazmy, w których kwiat cywilizacyi naszéj o zagładę przyprawionym być może, zanim to wszystko nastąpi, ludzkość, idąc dotychczasową drogą, wprowadzając jedne ulepszenia i reformy po drugich, znosząc kolejno różne zapory, zastępując anachronizmy i rupiecie zestarzałe instytucyami szerokiemi, wprowadzi taką dozę sprawiedliwości, dobra, światła, dobrobytu, tak podniesie poziom społeczny, iż rewolucyjne, przewrotne nawoływania socyalistycznéj propagandy stracą racyę bytu. Nikt ich słuchać nie będzie, gdyż owoce, które zapowiadali, inną, łatwiejszą drogą osiągnąć się dadzą.

Pytanie tylko, czy to jest istotnie możliwe, czy nie łudzimy się optymistycznemi mrzonkami. Molinari mówi o milczącym, cichym przewrocie, który się w łonie społeczeństwa dokonywa i który przez każdy krok naprzód uczyniony, zmusza do cofnięcia się w tył ową hordę rewolucyi socyalistycznéj. Byłoby niesprawiedliwością nie uznać go i zaprzeczać mnóstwu dodatnich pierwiastków, co zastąpiły ujemne, dawniejsze. Społeczności coraz ściślejszemi łączą się węzłami; niepodobném się staje odgraniczenie się od reszty świata chińskim murem. System protekcyjny i cła ochronne mogą mieć jeszcze dziesiątki lat przed sobą, nieuniknioném jest atoli, że przyjdzie chwila handlowéj federacyi świata, gdzie produkcya, prowadzona w korzystnych warunkach, znajdzie odbyt na najpożądańszym dla siebie rynku wymiennym. Przez zamknięcie epoki wojen podbojowych, społeczeństwa będą mogły

zamiast rujnować swe finanse na wyczerpujące utrzymywanie armii, zwrócić i działalność obywateli, i olbrzymie kapitały do działalności produkcyjnéj. Coraz większy wzrost zasobu społecznego wpłynie sam przez się na polepszenie warunków bytu materyalnego masy. Kapitały obfitsze, obecnie już zmuszone coraz mniejszym zadawalniać się dochodem, stanieją jeszcze i same poszukiwać zaczną mas robotniczych i oddadzą się na ich usługi. Przedsiębiorstwa, oparte na zjednoczeniu kapitałów drobnych, obejmujących najszersze pokłady narodu i dzisiaj już czynią kapitalistami — masy. Łatwo przewidzieć nieograniczony rozwój w tym samym kierunku i téj saméj formie. Postępy wiedzy i nowe żywioły, nowe czynniki twórcze wzięte z niewyczerpanego łona przyrody, przyczyniają się i przyczyniać muszą coraz bardziéj do spotęgowania wytwórczości, a zatém do zniesienia różnic pomiędzy dobrobytem jednych a drugich warstw społecznych. Każdy punkt tego ekonomicznego programatu opiéra się już na niezliczonéj liczbie faktów i spostrzeżeń, każdy jest poparty kolumnami danych statystycznych. Można się spierać o epokę, w któréj tak zakreślony programat skrystalizuje się w czynie, ale opierając się na podstawie historycznéj, niepodobna zaprzeczyć, że idziemy w tym a nie innym kierunku. Trzeba, przedewszystkiém, wyzuć się z dziecinnéj niecierpliwości i nie spuszczać z uwagi, że rozwój cywilizacyjny świata nie jest dziełem jednego pokolenia. August Comte powiedział już dawno, że ludzkość stanowi garstka żyjących, ale niezliczona ilość grobów. Nie zapominajmy dodać do nich i kolébek przyszłych pokoleń. Trzeba nakoniec, chociaż to naszéj miłości własnéj ubliża, nie zapominać, że dopiéro przekroczyliśmy stadyum barbarzyństwa zwierzęcego. Zamiast wraz z socyalistami burzyć nasz organizm towarzyski, zdaje się słuszniejszém wraz z ekonomistami ulepszać go stopniowo a nieustannie.

M. E. Trepka.



KILKA SŁÓW
W SPRAWIE
wpływu Shelley'a na tragedyę Słowackiego „Beatryx Cenci".

Kwestya wpływu Shelley'a na Słowackiego należy bez wątpienia do ciekawszych w naszéj literaturze. Jeżeli już samo niezwykłe podobieństwo charakterów i talentów obu poetów może myśl podobną nasunąć, to znana „bluszczowa natura" autora „Balladyny" utrwala ją jeszcze i już *a priori* zamienia prawie w przekonanie. Ale, o ile łatwo powziąć takie przypuszczenie, o tyle trudno poprzéć je jakiemiś rzeczywistemi, przekonywającemi faktami; znajdzie się pewno, nawet dosyć znaczne, podobieństwo w ogólnym tonie ich utworów, w wyborze tematów, lecz nie można choćby dwóch tylko małych ustępów zestawić ze sobą tak, jak np. zestawia się całe sceny z „Balladyny" z tragedyami Szekspira. Stąd też pochodzi, że krytycy nasi nieraz już o tym wpływie wspominali, zawsze jednak dorywczo tylko i ogólnikowo.

Najobszerniéj i najgruntowniéj omawiał tę sprawę w ostatnich czasach p. Ferdynand Hösick. W jednéj z pierwszych swych rozpraw starał się on wykazać wpływ „Epipsichidiona" Shelley'a na poemat Słowackiego „W Szwajcaryi", jednakże bez dodatniego rezultatu; w kilka lat późniéj stanął jednak na stanowisku wręcz przeciwném. On, który niedawno z takim zapałem kruszył kopie w obronie twierdzenia, że Shelley wywarł znaczny wpływ na naszego poetę, wystąpił

w rozprawie: „Beatryx Cenci czyli o rzekomym wpływie Shelley'a na Słowackiego"[1]) ze zdaniem, że wpływu takiego nigdy nie było, że nawet istnieć nie mógł. Sam fakt, że p. Hösick wypierał się otwarcie dawniejszych swych zapatrywań a nawet z nich żartował, że następnie przyszedł do tego wniosku na podstawie porównania dramatu Shelleya „The Cenci" z tragedyą Słowackiego „Beatryx Cenci", a zatém z tém jedyném dziełem, które kwestyę shelley'izmu Słowackiego postawiło na porządku dziennym zagadnień naszéj krytyki — sam fakt ten zdaje się istnieniu takiego wpływu przeczyć dosyć wymownie. Bo przecież— pomyśli każdy—p. Hösick wolałby z pewnością albo wytrwać przy dawném swém zdaniu, albo nie wspominać o niém zupełnie, do zmiany zaś zapatrywań musiały go skłonić jakieś ważne powody.

Jednakże mimo to wszystko, mimo wszelkich — na pierwszy rzut oka bardzo przekonywających wywodów p. Hösicka, sądzę, że wpływ Shelley'a na Słowackiego nie tylko mógł istnieć, ale że istniał i że na tragedyi „Beatryx Cenci" da się dosyć wyraźnie wyśledzić i wykazać. Zanim jednak przejdę do uzasadnienia mego zdania, postaram się pokrótce wykazać, że twierdzenie p. Hösicka zbyt jest stanowcze, a za mało uzasadnione, bo opiéra się na podstawach bardzo kruchych.

O jakimkolwiek wpływie Shelley'a na Słowackiego — zdaniem p. Hösicka—nie można nawet mówić, z téj prostéj bardzo przyczyny, że nasz poeta dzieł jego wcale nie znał, a co więcéj, nawet znać nie mógł. Powodem tego miała być ta okoliczność, że, kiedy Byron był na ustach wszystkich, „o Shelley'u było głucho: nie tylko w Europie, ale i w Anglii! (?); o dzieła jego było niezmiernie trudno, bo zbiorowe ich wydanie jeszcze nie było wyszło (do r. 1840?), a te arcydzieła literatury powszechnéj, wydane w małych broszurkach, butwiały na półkach księgarskich nie czytane i nie znane. „W ciągu życia Shelley'a, ani po jego śmierci (?) nie rozeszło się ani sto egzemplarzy żadnego z jego dzieł;" krytyka wyrażała się o nich z lekceważeniem lub oburzeniem, ogół zaś miał tylko jak najogólniejsze i najdziwaczniejsze wiadomości i pojęcia, które bynajmniéj nie zachęcały do bliższego zapoznania się z jego utworami! Wobec takich stosunków trzebaby było nadzwyczajnego, nieprawdopodobnego niemal zbiegu okoliczności, aby dziełko Shelley'a wpadło w ręce Słowackiego, a że do takiego przypuszczenia nic nas nie uprawnia, owszem, wiele jest danych przeciw niemu przemawiających, zatém trzeba przyjąć, że taki zbieg okoliczno-

---

[1]) „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu, Studya historyczno-literackie." Kraków 1895 str. 251—321.

ści nigdy nie istniał i że—co zatém idzie — dzieła Shelley'a były Słowackiemu nie znane.

I rzeczywiście trzebaby tak sądzić, gdyby szczegóły podane przez p. Hösicka były prawdziwe — ale, tak nie jest. Trudno mi naturalnie kategorycznie twierdzić, że Słowacki znał dzieła autora „Królowéj Mab," ale stanowczo sprzeciwiałbym się zdaniu, że ich znać nie mógł. Przedewszystkiém ze znajomością poezyi Shelleya nie było w owych czasach tak źle, jak mówi p. Hösick, idąc wiernie za Brandesem, a zapominając o tém, że on lubi często dla efektu poświęcać prawdę. Z pierwszego lepszego bibliograficznego zestawienia dzieł angielskiego poety, które znaléść można w każdym podręczniku, mógł się autor przekonać, że było inaczéj. I tak np. „Królowa Mab", miała już za życia Shelleya dwa wydania, pierwsze w r. 1810, drugie w r. 1820; zbiorowe wydanie jego „Works" wyszło już w r. 1824 a za niém poszły następne; w r. 1833 wychodzą „The Shelley papers" a w dziewięć lat później jego pamiętniki i korespondencya. Że wreszcie dzieła jego nie przeszły—nie tylko w Anglii, ale i na lądzie stałym — bez żadnego wrażenia i rozgłosu, tak „głucho", jak się p. Hösick wyraża, najlepszym dowodem może być choćby to tylko, że już w r. 1840 wyszło w Lipsku wielkie, zbiorowe wydanie jego poezyi w przekładzie niemieckim, dokonanym przez J. Seubta, a jest to zaszczytem, który wtedy tylko spotyka poetów obcych, kiedy dzieła ich już nawet za granicą nie mały zyskały rozgłos. Mógł więc Słowacki w r. 1840 nawet nie przypadkowo wiedzieć coś o tym poecie, który pojęciami swemi i zdolnościami tak bardzo jest do niego podobny i nie tylko mógł znać dzieła jego dokładnie, ale nawet dziwném by było, gdyby ich nie znał.

Ale czy znał je rzeczywiście, a przynajmniéj czy z jego dramatu „Beatryx Cenci" można się tego domyślać? P. Hösick odpowiada na to pytanie stanowczo, że Słowacki powziąwszy zamiar napisania swego dramatu „nie wiedział wcale o istnieniu tragedyi Shelleya" (str. 276). Zdanie to opiéra się na następujących tezach: Wspólność tematu niczego nie dowodzi, bo może być czystym przypadkiem. Pomiędzy obu tragedyami zachodzi zasadnicza różnica w tém, że dzieło Shelleya jest na wskróś historyczne, kiedy utwór Słowackiego jest tylko wytworem fantazyi. Podobieństwo, jakie zachodzi między prałatem Orsino u Shelleya a Pietrem Negri u Słowackiego można wytłómaczyć tém, że obaj oni pochodzą z tego samego źródła — Otella Szekspira. Tak więc w „Beatryx Cenci" Słowackiego jest wpływ Szekspira („Romea i Julii", „Otella", „Hamleta" i „Macbetha"), portretu Guido-Reniego, wreszcie nawet Eschylosa—tylko nie Shelleya.

Nim się nad temi wywodami p. Hösicka zastanowimy, przypatrzmy się, jakie było założenie, jaki punkt wyjścia obu poetów.

Tragedya Shelleya jest *par excellence* historyczną; fakta oparte są na źródłach dziejowych, dodatków fikcyjnych bardzo niewiele, tło obyczajowe wierne. Treścią jéj jest zamordowanie hr. Cenci za sprawą rodziny, śledztwo z tego wynikłe i wreszcie stracenie zbrodniarzy. Do faktu morderstwa przygotowuje poeta czytelnika przez całe trzy akty, nie szczędząc nader jaskrawych barw dla scharakteryzowania starego łotra bez czci i wiary i zbydlęconego tyrana, od którego nieszczęśliwą rodzinę śmierć jego tylko może ocalić. Morderstwo zostaje też spełnionioném (przez najętych zbójców), ale wkrótce wychodzi na jaw, cała rodzina idzie na rusztowanie.

Dzieło Słowackiego jest, przeciwnie, fantastyczném aż do najdrobniejszych szczegółów. To, co stanowi osnowę dramatu Shelleya, jest dla Słowackiego tylko punktem wyjścia; tragedya jego rozpoczyna się od morderstwa, które spełnia sama Beatryx, główną zaś treść stanowi miłość bohatérki z Gianim, współzawodnictwo dwóch braci, z których jeden, Pietro Negri, sam doradziwszy morderstwo, dla własnego bezpieczeństwa chce zgubić Beatryczę, drugi, Giani, chcąc ją ocalić, popełnia bratobójstwo i tém właśnie sprawia, że jego ukochana idzie na szafot.

Pozornie więc nie ma pomiędzy obu utworami żadnéj łączności, przeciwnie, więcéj tu różnicy, niż podobieństwa — ale tylko pozornie. Jeżeli się przypatrzymy bliżéj nieco całéj sprawie, to zobaczymy, że sama, tak niby różna myśl przewodnia tragedyi Słowackiego, sam jéj zawiązek, leży już w dziele Shelleya. Bezwątpienia cała treść i cała esencya tragiczności „Beatryx Cenci" mieści się w tych słowach ojca Anzelma:

„. . . O Giani!
Jestto okropna nauka i krwawa,
Ale na całe życie pozostanie. —
Tak! kto bez Boga, lecz z ciemnymi duchy
Chce porządkować świat, często go łamie
Bóg, tak jak ciebie, i myli go w drodze.
Tyś ją chciał zbawić — jak? — okropną zbrodnią?
A zbrodnia ta się nagle obróciła
Przeciwko właśnie téj drogiéj osobie,
Którą ty chciałeś zbawić. — Sam się dowiesz,
Że Ojciec święty, poruszony wdziękiem
Téj biednéj panny — już umoczył pióro
I chciał podpisać już ułaskawienie:
Gdy oto nagle... druga w Rzymie zbrodnia

Jakby świadcząca o strasznéj zarazie
Upadającéj na Rzymianów ducha,
Z rąk Papieżowi wytrąciła pióro:
A zaś tę drugą tyś popełnił zbrodnię."

A oto w ostatniéj scenie tragedyi Shelley'a powiada kardynał Camillo:

Jam go (papieża) cichemi chciał przekonać słowy
I przekładałem, że szatańskie czyny
Śmierć zgotowały występnemu ojcu.
A on mi na to: Paweł Santa Croce
Wczoraj wieczorem własną zabił matkę
I potém uciekł. Wnet a ojcobójstwa
Do takich wzrosną rozmiarów, że młodzież —
Ze słusznych przyczyn wątpić nie należy —
Podławi wszystkich, gdy się zdrzemniem w krześle:
Siła, powaga i włos pobielały
Oto dziś zbrodnie śmiertelne. Krewniakiem
Jesteście moim — a dla nich o łaskę
Błagać przyszliście. Zostańcie na chwilę:
Tu na nich wyrok; a nie rychléj wróćcie,
Pokąd do joty nie będzie wypełnion.

Gdyby p. Hösick nie był się zadowolił tłómaczeniem p. Kasprowicza, ale zajrzał także do oryginału, a przynajmniéj do tłómaczeń niemieckich, byłby zobaczył, że do tragedyi swéj dołączył Shelley jeszcze i dokument historyczny, opowiadający koniec całéj rodziny Cencich. W tym zaś dodatku jest obszerniéj wyjaśnione to, co Shelley w powyżéj przytoczonym ustępie swéj tragedyi tylko zaznaczył i naszkicował. Oto odnośny ustęp przytoczony w dosłownem tłómaczeniu:

„....(Papież) zamiast udać się na spoczynek, spędził noc całą na pilném badaniu sprawy wraz z kardynałem di San Marcello, z wielką troskliwością badając przedewszystkiém te ustępy pisma adwokata Farinacci, które uniewinniały rodzinę Cenci'ego, te zaś wywarły na niego wrażenie tak korzystne, że czynił już nadzieję ułaskawienia winnych; występki bowiem ojca i dzieci były sobie w tém piśmie przeciwstawione i porównane, aby zaś ocalić synów, złożono lwią część winy na Beatryczę, a w ten sposób, po ocaleniu macochy, mogła i córka łatwiéj kary uniknąć, gdyż ją, jak tego dowodziły pewne okoliczności, srogi ojciec zmusił do spełnienia strasznego występku. Papież rozkazał zatém oskarżonych potajemnie znowu osadzić w więzieniu, aby z téj zwłoki mogli na swe uniewinnienie skorzystać. Ponieważ jednak Opatrzność w niezbadanych swych wyrokach postanowiła, że ojcobójcy mieli ponieść słuszną karę, więc zaszedł wypadek,

iż w tym czasie Paweł Santa Croce w miasteczku Subiaco zamordował własną matkę, za to, że wzbraniała się odstąpić mu swéj spuścizny. A papież, kiedy zaszła ta druga zbrodnia podobnego rodzaju, postanowił, tych, którzy się pierwszéj dopuścili, ukarać, a to tém bardziéj, że matkobójca Santa Croce uciekł i w ten sposób zemsty prawa uniknął" [1]).

Szczegóły te niezwykłą swą tragicznością uderzyć muszą każdego, choćby niezbyt bujną wyobraźnią obdarzonego, a tylko jaki taki zmysł spostrzegawczy posiadającego człowieka. Więc ta nieszczęsna Rzymianka, która dla ratowania czci własnéj i uwolnienia rodziny od tyrana popełnia ojcobójstwo, mimo swéj okropności, przecież dla nas sympatyczna, byłaby mogła ocaléć i pędzić wraz z całą rodziną życie straszne wprawdzie, ale znośne w porównaniu z dawniejszém, gdyby jakiś nieznany jéj zupełnie człowiek nie popełnił strasznego morderstwa? Jest więc w zbrodni jakaś siła fatalna, która mści się nie tylko na samym jéj sprawcy, ale przechodzi i na ludzi zupełnie w tym wypadku niewinnych i ich także pogrąża w nieszczęściu. A cóżby to dopiéro była za straszna tragedya, gdyby ten człowiek nie był Beatryczy tak obcym, gdyby ją znał i kochał, gdyby tą okropną zbrodnią chciał jéj ratunek przynieść i gdyby ta zbrodnia „nagle obróciła się właśnie przeciwko téj drogiéj osobie“ i zamiast ratunku zgubę jéj zgotowała!

Obraz takiego strasznego zbiegu okoliczności mogła sobie łatwo przedstawić fantazya Słowackiego i, jak niegdyś z kilku lakonicznych słów kronikarza „król dał a panowie wzięli" powstała prześliczna powieść poetyczna „Jan Bielecki" — tak ten jeden fakt, ta jedna wiadomość zaczerpnięta z dramatu Shelleya mogła stać się dla Słowackiego źródłem, z którego wypłynęła jedna z najlepszych jego tragedyi. Kiedy zaś ten pierwszy pomysł był gotów, przyłączyły się do niego zaraz obrazy, o których oryginalności Słowacki był przekonany, a które były tylko reminiscencyami z najlepszych tragedyi Szekspira — i w ten sposób złożyła się całość.

Rzecz naturalna, że tak pojęta treść dramatu nie mogła otrzymać tła ściśle historycznego; od historyi trzeba było — choćby mimowoli — znacznie odstąpić. Nie mógł np. Słowacki przenieść faktu ojcobójstwa do Petrelli, bo w ten sposób poznanie się Gianiego z Beatryczą stałoby się albo niemożliwém, albo zbyt naciągniętém, w każdym zaś razie tragedya straciłaby wiele na téj jędrności, która dziś stanowi je-

---

[1]) Według niemieckiego przekładu A. Strodmanna w „Shelley's ausgewählte Dichtungen“. Leipzig. Bibliographisches Institut. str. 299—300.

dną z największych jéj zalet. Zresztą krępowanie się względem na prawdę historyczną nigdy nie było troską Słowackiego.

Gdyby p. Hösick miał to był na uwadze, byłby z pewnością na poparcie swego zdania nie przytaczał różnicy, jaka zachodzi w sposobie opracowania obu tragedyi i w ich nastroju. Nie chodzi bowiem wcale o wykazanie, że Słowacki naśladował dzieło Shelle'y, bo to— zważywszy na rodzaj jego talentu i jego właściwości—było prawie niemożliwém, ale o wpływ, ten zaś nie musiał koniecznie objawiać się w przejęciu spokojnego toku akcyi i przeprowadzeniu jéj zgodnie z historyą, czy może raczéj tradycyą. Owszem, jeżeli ogólne pojęcie, ogólne cechy tragedyi musiały wypaść inaczéj — co sam p. Hösick przyznaje—to wpływu tego należało szukać w motywach, w drobniejszych szczegółach, a byłoby się go z pewnością znalazło — naturalnie nie wtedy, kiedy się o jego niemożebności z góry już jest przekonanym.

Prawdopodobieństwo takiego przebiegu geneży, jaki powyżéj naszkicowałem, popiéra jeszcze ta okoliczność, że znowu nie tak trudno dopatrzyć się i w innych szczegółach tragedyi Słowackiego wpływu Shelley'a; jest on bardzo widoczny w postaci Pietra Negri. Nie przeczę, że zachodzi pewne podobieństwo pomiędzy nim a Jagonem z szekspirowskiego „Otella", ale téż jest jaskrawsza jeszcze analogia z prałatem Orsino z dramatu Shelley'a. Przedewszystkiém obaj są księżmi [1]), a jest to jedyny wypadek, że Słowacki tak nikczemny charakter uosobił w postaci duchowuego; obaj kochają Beatryczę (czego o Jagonie w stosunku do Desdemony powiedzieć nie można), obaj doradzają spełnienie zbrodni i pomagają ubocznie, widząc w usunięciu starego Cenci jedyny sposób dopięcia swego zamiaru, obaj wreszcie stanowią *spiritus movens* całéj akcyi. Że stosunek Pietra do Beatryczy u Słowackiego musiał wypaść inaczéj, aniżeli u Shelleya, to jest tylko wynikiem samego planu tragedyi, tego przekształcenia shelleyowskiego matkobójstwa w bratobójstwo, które musiało być umotywowaném, jeżeli miało rdzeń dramatu stanowić; ogólne jednak kontury obu postaci są do siebie rażąco podobne.

Z jednego jeszcze — drobnego zresztą — powodu opiérałbym się przypuszczeniu, że Słowacki treść do swéj tragedyi zaczerpnął tylko z tradycyi. Tradycya zna tylko fakt zamordowania hr. Cenci przez

---

[1]) Pietro Negri mówi (akt II, sc. VI):

„... Na Montorio
Jest jeden klasztor pod moim dozorem".

Furye (akt I sc. VIII) nazywają go „mnichem."

córkę i jego powody, nie zajmuje się zaś stosunkiem ojca do całéj rodziny.

Ponieważ Słowacki znał dokładnie okrucieństwa, których się stary Cenci dopuszczał nie tylko na córce, ale często w sposób również zgrozą przejmujący i na innych członkach rodziny — a do zapoznania się z niemi wystarczyło mu przeczytać dramat Shelley'a i dołączony do niego dokument historyczny—nie uważał za potrzebne uzasadniać bliżéj postępowania syna, które w jego pojęciu było zupełnie zgodne z prawdą psychologiczną. Pojęcie to zaś—jak wspomnieliśmy wyżéj— nie mogło opiérać się wyłącznie na tragedyi, a że Słowacki osobnych studyów historycznych w tym kierunku z pewnością nie przedsiębrał, więc wniosek bardzo prawdopodobny, że opiérał się wyłącznie na dziele Shelley'a.

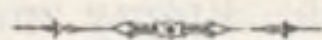
Z tych przytoczonych tu kilku szczegółów można—jak myślę — przyjść do wniosku, że nie tylko nie jest niemożliwém, żeby Słowackiemu znany był dramat angielskiego poety, lecz że owszem, w tym właśnie dramacie można z pewną słusznością i wielkiém prawdopodobieństwem szukać pierwszego zawiązku tragedyi autora „Balladyny."

Tadeusz Pini.



MIĘDZYNARODOWY KONGRES ROLNICZY

W PESZCIE.



We wrześniu 1896 r. z inicyatywy węgierskiego ministra handlu Darany'ego, zebrał się kongres międzynarodowy, w celu omówienia krytycznéj sytuacyi rolniczéj. W obradach wzięło udział 12-tu delegatów z różnych państw (między innymi, przedstawicielami Rosyi byli Kowalewski i Timirjazew), obok których zasiadało wielu reprezentantów związków rolnych węgierskich i cudzoziemskich. Ogólna liczba członków wynosiła 220, pomiędzy którymi znajdujemy nazwiska znanych profesorów, jak: Lexis z Gettyngi, Konrad z Halli, Schmoller z Berlina, Hertzka z Wiednia, Levasseur z Paryża i in.

Kongres rozdzielił swe prace na trzy sekcye. Pierwsza powinna była wyjaśnić, czy istnieje rzeczywiście nadprodukcya zboża, a jeśli tak, to czy ona nosi charakter czasowy, lub też stały, a wreszcie jakie środki przedsięwziąć należy, aby jéj zaradzić. Sekcya druga zajęła się kwestyami, dotyczącemi regulacyi handlu zbożowego, reformy instytucyi giełdowych, współudziału państwa, uporządkowania taryf i t. d. Trzecia wreszcie sekcya miała rozpatrzéć politykę celną i walutę, t. j. zmiany, jakie zaszły we względnéj wartości złota i srebra, wpływ tych zmian na ceny zboża, skutki ekonomiczne, jakieby pociągnąć mógł powrót do waluty srebrnéj, albo urzeczywistnienie związku bimetalistycznego i t. d.

O kwestyach tych — wogóle i w szczegółach — pisano już tyle w ostatnich chociażby czasach, oświetlano ją z tak różnych stanowisk (z punktu widzenia teoretycznego, albo interesu pewnych klas), — że zgóry przewidzieć można było, iż pod tym względem kongres ofiaruje swym słuchaczom-specyalistom bardzo mało. Cechą interesującą w tych obradach mogło być to tylko, iż w ciągłej dynamice zapytań i odpowiedzi, polemiki, dyatryb i panegiryków—słuchacz i widz przekonać się mógł naocznie, jak p r a w d a nauki, która może być tylko jedną, ustępuje na każdym kroku przed wymaganiami życia, interesów—nietylko całych klas i stanów, ale nawet jednostek, a także, jak ostrożnym trzeba być przy przyjmowaniu na wiarę różnych haseł, przychodzących do nas z Zachodu, a rzadko kiedy filtrowanych przez naukę i krytycyzm swojski.

Znając choć trochę walki agrarne z doby ostatniéj na Zachodzie europejskim, można było zgóry przewidzieć, że osią rozpraw będzie kwestya protekcyonizmu, który znowu otrzymał prawo obywatelstwa, i kwestya bimetalizmu. O protekcyonizmie w zastosowaniu do produktów żywnościowych mówiono, jak o czémś zupełnie naturalném. Nawet ci z członków kongresu, którzy znani są jako zwolennicy wolnego handlu, jak Molinari i Louis Strauss (Belgia) — zadowolnili się projektem (nie nowym zresztą) utworzenia związku celnego środkowo-europejskiego, któryby stanął na przeszkodzie dalszemu podwyższaniu ceł protekcyjnych. To samo wypowiedział ekonomista berliński, prof. Schmoller, który projekt ten uzasadnić się starał w dwu pracach swych ostatnich, zamieszczonych w „Roczniku prawodawstwa i gospodarstwa narodowego" („Z powodu projektu Kanitza", 1895 r.; „O epokach i polityce handlu zbożowego", 1896 r.). Panującém atoli zdaniem na kongresie było mniemanie, iż wolno-handlowcy najumiarkowańsi nawet, których dążenia sprowadzić się dają do zawiérania traktatów handlowych—nie mają widoków powodzenia i że z upływem terminu obowiązujących dzisiaj traktatów, spodziéwać się należy podwyższenia ceł zbożowych, o ile oczywiście nie nastąpią ważniejsze zmiany w polityce agrarnéj i wogóle w całéj architektonice stosunków ekonomicznych. Oczywiście, nie szczędzono klątew w kierunku konkurencyi amerykańskiéj. Niektórzy mówcy dochodzili w swych dezyderatach aż do zakazu przywozu zboża amerykańskiego, albo co najmniéj zastosowania do niego najwyższych ceł różniczkowych.

Niezwykle namiętne były rozprawy nad walutą. Agraryusze niemieccy i bimetaliści wysłali na kongres najwybitniejszych swych członków, których podtrzymywali bimetaliści z Ameryki, Anglii i Belgii; p. Timirjazew, przedstawiciel Rosyi, wypowiedział się również, jak

donoszą dzienniki, za bimetalizmem. Stoczono walną batalię z przedstawicielami waluty złotéj — spalono wiele fajerwerków frazeologicznych, powtórzono z jednéj i drugiéj strony te same, co i zazwyczaj, argumenty, które jednak żadnego z przeciwników nie przekonały. Interesującemi w każdym razie były dwa oświadczenia prawie urzędowe, które nie mogły się podobać bimetalistom albo natchnąć ich nadzieją zwycięstwa w przyszłości. Otóż p. baron Hammerstein, jako przedstawiciel rady rolniczéj niemieckiéj, oświadczył się za złotą walutą, a p. Juliusz Mandello, jako przedstawiciel węgierskiego ministeryum, wypowiedział zdanie, że Austrya nie może mieć nic wspólnego z bimetalizmem, a musi przedewszystkiem urzeczywistnić reformę swego systemu monetarnego na podstawie jednostki złotéj. To samo potwierdził i minister rolnictwa w mowie powitalnéj. Przytoczone tutaj oświadczenia— były kulminacyjnym punktem obrad kongresu w kwestyi praktycznych wskazówek dla jednostek, partyi parlamentarnych.

* *
*

Najciekawszym bezsprzecznie momentem kongresu był wygłoszony przez znanego ekonomistę niemieckiego W. Lexisa odczyt „O bimetalizmie.” Autor jest jednym z niewielu uczonych, którzy nie służą żadnéj partyi, jeno prawdzie; na oczach nie ma bielma; widzi—a przynajmniéj stara się patrzéć — jasno, ściśle, krytycznie; jego prace nad kwestyą waluty, tak aktualne i popularne dzisiaj [1]), są pełne argumentów, a nie oślepiają piaskiem patosu; pisane są, aby czytelnika przekonać, ale nie przekrzyczéć; walczą logiką, ale nie pięścią „większości parlamentarnéj” albo giestem patryotycznym.

Demonetyzacya srebra—mówił prof. Lexis—liczy wiele przyczyn: należy tutaj wielka ilość wydobytego z łona ziemi metalu w ostatnich dwudziestu pięciu latach; prócz tego, w całym szeregu państw wzbroniono wolnego bicia srebra, kiedy przedtém z łatwością można było pozbywać się wielkiéj jego ilości w ustanowionym przez prawo stosunku do złota (1 : 15½); wreszcie—dnia 1 listopada 1893 wybiła śmiertelna godzina panowania srebra z chwilą zniesienia *Sherman Actu* w Stanach Zjednoczonych. Jeżeli bowiem dotąd trudno było właścicielom srebra sprzedawać je w Europie, zawsze mieli w rezerwie Amerykę, gdzie *Sherman Act* pozwalał na bezgraniczny zakup tego metalu. Z chwilą jednak, kiedy i w Ameryce ustanowiono linię demarkacyjną, ponad którą „nie wolno bić dolarów ani wypuszczać biletów bankowych zabezpieczonych srebrem — rozpoczął się upadek „srebrników”. Gdyby jednak system bimetalistyczny trwał daléj w państwach związ-

---

[1]) Die Währungsfrage Drezno, 1885; Prace komisyi monetarnéj niemieckiéj (w różnych tomach) *Handw. d. Staatswiss.*—wielka ilość artykułów pod właściwemi nagłówkami.

ku łacińskiego (monetarnego), toby srebro miało dalej bogaty rynek, na którymby znajdowało kupców i posiadało stałą, „mocną" cenę. W takim razie i na rynku wszechświatowym cena ta spadłaby tylko o nieznaczną różnicę — i to w przeciągu paru dziesięcioleci. Francya bowiem mogłaby przyjąć jeszcze za parę miliardów franków srebra — oddając wzamian część swego zapasu złota, który nawet po zapłaceniu niemieckiéj kontrybucyi wojennéj wynosił 4 miliardy franków. Francya atoli nie chciała oddać swego złota, i nie chciała, co więcéj, powrócić do systemu monetarnego panującego w epoce poprzedzającéj r. 1850. Francya mianowicie oraz inne państwa stojące na czele rozwoju ekonomicznego obecnie uznają (wobec współczesnych warunków obrotu towarowego) srebro za mniéj od złota odpowiedni środek wymiany. Świat ucywilizowany stawia pożytek srebra, jako metalu dla pieniędzy niżéj niż dawniéj, a wskutek ogromnych produkcyi w kopalniach stopień rzadkości tegoż spadł w porównaniu ze złotem o wiele niżéj; chociaż bowiem i złota otrzymujemy obecnie znaczną ilość, to jednak nie więcéj niż $^1/_{20}$ część dobywanego corocznie srebra. Z czynnikiem tym, czysto etnopsychologicznym — a mianowicie z coraz większą „sympatyą" dla złota, liczyć się należy, jako z czémś zupełnie realném. I wobec tego czynnika właśnie żadne państwo, pomimo umiejętnéj i namiętnéj agitacyi bimetalistycznéj, nie mogło zdecydować się na wprowadzenie dawnego stosunku srebra do złota. I dlatego właśnie wszystkie najnowsze reformy wprost zdążały do wprowadzenia—złotéj waluty.

Cena jednak (wewnętrzna) złota nie podniosła się. Zmiana stosunku pomiędzy dwoma metalami nastąpiła tylko wskutek upadku ceny srebra. Złoto nie poszło w górę dlatego, że ilość jego rocznéj produkcyi podwoiła się w porównaniu z poprzedniém dziesięcioleciem i zapasy w wielkich bankach Europy centralnéj dosięgły niebywałéj dawniéj wysokości (*Banque de France* posiada np. 2 miliardy), a obroty bankowe coraz więcéjześrodkowują się w czekach i w izbach kompensacyjnych. Bank angielski np. od 2 lat już posiada 12 — 25 mil. funtów sterl. złota więcéj, niż biletów bankowych na rynku; dyskonto weksli było w ostatnich latach nader niskie — a o stagnacyi na polu przemysłu (wyjąwszy rolnictwo) nie można było mówić poważnie.

Demonetyzacya srebra miała bardzo słaby wpływ na upadek cen produktów rolnych. Gdy bowiem o wzroście ceny złota nie może być mowy a ceny zboża (niskie) znajdują wystarczające wyjaśnienie w warunkach konkurencyi wszechświatowéj, to możnaby w danym razie mówić jedynie tylko o bodźcu wywozowym, jaki otrzymała pszenica indyjska wskutek różnicy w walucie w stosunku do krajów o złotéj

jednostce monetarnéj: z chwilą jednak zamknięcia mennic indyjskich w r. 1893—i w danym wypadku srebro nie wywiera żadnego wpływu; rupia bowiem przedstawia bilet kredytowy o 15% przewyższający własną wartość metaliczną. A jednak i tu — otrzymujemy odpowiedź ujemną, od r. 1892 bowiem eksport pszenicy z Indyi do Europy stale się zmniejsza i gra dzisiaj rolę zupełnie nieważną na rynku cen na zboże. Co zaś dotyczy wahań w kursach rosyjskich i argentyńskich papiérów bankowych, o których często mówiono na zgromadzeniach bimetalistów—to wahania te nie znajdują się w żadnym związku z demonetyzacyą srebra. Nadto, kurs rubli jest prawie zupełnie stały od r. 1894 i trzyma się poziomu, wobec którego nie może być mowy o ulgach dla eksportu, a papiéry argentyńskie przez ostatnie dwa lata poszły znacznie w górę.

Przypuśćmy jednak, że utopia bimetalistów została ziszczona, że związek bimetalistyczny istnieje. Cóż wtedy? Cena srebra poszłaby oczywiście w górę. Przypuśćmy, że prawo ustanawia jego dawny do złota stosunek. Wtedy kapitały amerykańskie i europejskie skierowałyby się z pewnością ku zastosowaniu w kopalniach srebra w Meksyku i Ameryce Południowéj najnowszych ulepszeń techniki—zdobycie bowiem jaknajwiększéj ilości srebra leżałoby wtedy w ich zupełnie jasnym interesie. Srebro, otrzymane w kopalniach, znajdowałoby pewny zbyt w mennicach związkowych. Ponieważ i złoto nie pozostałoby bezczynném—więc w rezultacie możnaby się spodziéwać demonetyzacyi pieniędzy, t. j. wzrostu nominalnych cen wszystkich towarów. Wzrost taki atoli nie byłby automatycznym tylko, t. j. nie wypływałby jedynie z powodu nagromadzenia pieniędzy, ale konieczną byłaby tutaj dobroczynna konjunktura rynku wszechświatowego, która zresztą i sama mogłaby wywołać podobny skutek (może jednak nie tak wielki). Ewolucya cen wpłynęłaby dodatnio przedewszystkiém na przemysł i handel—i bardzo być może, że dla rolnictwa nie miałaby najmniejszego znaczenia: wzrost bowiem nominalnych cen produktów rolnych zostałby zrównoważony przez większą płacę roboczą i większe koszty produkcyi. W każdym zaś razie warunki konkurencyi i wyższość amerykańskiéj produkcyi zostałyby te same, a więc i stan rolników europejskich nie poprawiłby się wcale.

Realizacya jednak téj bimetalistycznéj utopii jest nieprawdopodobną—wprost niemożebną. Anglia nigdy nie przyłączy się do koncertu państw związkowych (bimetalistycznych), t. j. nigdy nie pozwoli aby w jéj mennicach swobodnie bito srebro, posiadające nieograniczoną siłę płatniczą. A jednak bez udziału Anglii bimetalizm jest mrzonką nawet z teoretycznego punktu widzenia, a następnie — Francya

i Niemcy nigdyby się nie zgodziły na bimetalizm, o ileby ten warunek (współudział Anglii) nie został spełnionym. Gdyby Stany Zjednoczone były o tyle nierozważne, że pozwoliłyby na wprowadzenie swobodnego bicia srebra u siebie, to doświadczenie ich miałoby tak straszne rezultaty, że inne państwa stracą bezsprzecznie wszelką chęć do dokonywania podobnych międzynarodowych eksperymentów.

* * *

Po za tém, kongres żadnych wniosków nie wypowiedział i wogóle żadnych rezultatów dodatnich i pozytywnych nie dał. Było to nawet do przewidzenia i zaznaczyliśmy to powyżéj. Tam, gdzie panują zupełnie sprzeczne, a wrogie interesy klas społeczeństwa, interesy oparte na zupełnie szczerym egoizmie tych klas (np. agraryuszów i mieszczaństwa), gdzie każda z tych klas dąży do władzy absolutnéj na polu polityki handlowéj i agrarnéj w państwach europejskich — tam o jakiéjkolwiekbądź kooperacyi mowy być nie może. Nie ma współdziałania, są tylko zapasy próbne, manewry. Przeciwnicy mierzą swe siły, aby przewidzieć mniéj więcéj architektonikę kampanii, którą stoczyć wypadnie w parlamencie, w prasie, w nauce—i w życiu.

S. P.



Literatura dramatyczna Grecyi współczesnéj.

(Jerzy Bourdon: *Le theâtre grec moderne*, Paryż 1895).

Niepostrzeżenie w półmroku średniowiecznym, jak żyła rudy żelaznéj w tajemniczém łonie ziemi, wytworzył się naród nowogrecki. Po starożytnych Grekach odziedziczył język i imię, lecz co do czynników składowych różni się on od nich najzupełniéj. Krew rzymska i galijska przymieszały się do krwi helleńskiéj, potém element słowiański, nie mówiąc o innych, zalał Epir, Attykę i Peloponez, niby fala oceanu. Bizantyńczycy językiem tylko pokrewni, wywarli mały wpływ na ludność właściwéj Hellady. Zresztą ich literatura i nauka nieznacznie łączyły się z literaturą i nauką zarówno grecką, jak południowowłoską, a nawet aleksandryjską, nazwa zaś *Rhomajoj* nie *Hellenes*, może służyć za jeden z dowodów ich odmienności. Od trzynastego do piętnastego wieku Francuzi, genueńscy, weneccy i florentyńscy Włosi, wreszcie Katalończycy, wydzierali sobie rozmaite części kraju greckiego, nie patrząc prawie na Bizancyum. Nowe przyczynki do elementów poprzednich.

Więc Grecya stała się powoli podobną do skorupy morskiéj, któréj pierwotny mieszkaniec umarł, w któréj zamieszkał mięczak zupełnie różny. Wznosiła się przez długie wieki na szczycie Akropolu świątynia Minerwy. Partenon do 1687 roku lśnił jak śnieżny w pełni kształ-

tów, a oliwki, które jeszcze bogini Atena zasadziła, tworzyły w siedemnastém stuleciu, jak za Miltyadesów i Cymonów cieniste gaje na całéj przestrzeni od Aten do Megary. Lecz z Panteonu i gajów bogowie uszli, w mieście zaś inny szczep osiadł.

Tak po namyśle należy pojmować naród nowogrecki, jako taki traktuje go Jerzy Bourdon, autor jednego z najznakomitszych dzieł, jakie wydała krytyka literacka Francyi w ostatnich czasach. Chcąc wystudyować literaturę dramatyczną „wnuków Eurypidesa", udał się on do Aten i tu u źródła prowadził poszukiwania. Sposób, w jaki pojmuje dramat, jest zupełnie różny od sposobu Scribe'a i Sardou: „życie potrzeba studyować—i duszę ludzką, nie manekiny lepić." Inne zalety: jędrność i zwięzłość stylu i przedstawienia, wyrazistość obrazów epoki, umiejętność oddania ducha dramatu i jego stron charakterystycznych. A wskutek tego czytelnik idzie za pisarzem, jak obudzona nocą ryba za światłem pochodni rybaka.

Że w Bizancyum, jeszcze przed Konstantynem istniały teatry, świadczy Dion, opowiadając o oblężeniu miasta przez Sewera. „Wyczerpawszy zasób pocisków Bizantyńczycy, poczęli wynosić z teatrów posągi i konie śpiżowe i strącać je na oblegających." Po zawarciu pokoju Sewer zarządził naprawę uszkodzeń.

Ducange zaś opisując w dziele „Constantinopolis christiana" Bizancyum chrześciańskie, wylicza trzy teatry: największy w drugiéj dzielnicy przy termach Zeuksyppa i Amfiteatrze.

Ale i wtedy i potém teatr nie grał zbyt wybitnéj roli. Przedstawiano pantominy, recytowano długie poematy, dziś zatracone, zrzadka tylko dawano wielkie utwory tragików lub komików helleńskich. Właściwie bizantyńska literatura dramatyczna, chociaż pisana w języku Eschylosa, posiada wszelkie cechy epoki Tespisa. Najwyraźniéj widoczne to w misteryach, które od czwartego wieku opanowują scenę, a z których najznaczniejszem jest przypisywany Grzegorzowi Nazyanseńskiemu „Chrystus cierpiący."

Wszystko nareszcie przeplatano i to z gęsta najcyniczniejszemi widowiskami.

Z końcem szóstego wieku noc zapadła na cywilizacyę bizantyńską. Nawa państwowa pękała w przeróżnych miejscach, hordy wschodnie: Awarzy, Persowie, Arabi, Bułgarzy, Waregowie wlewały się do wnętrza. Zanosiło się na lepsze za rządów Konstantyna Porfirogenety, lecz i ten podnosząc szkolnictwo, popierając literaturę i sztukę, płacąc pensyę literatom, zapomniał zupełnie o teatrze. Po nim zaś wróciły bunty i oblężenia, walki wewnętrzne i prześladowania religijne, aż w roku 1453 wybiła państwu godzina śmierci. Ostatni Paleolog padł

u wrót Carogrodu, a do miasta cesarskiego wjechał po trupach Mahomet II.

Od téj chwili właściwie datuje się reorganizacya narodu greckiego. Ucisk otomański zmuszał pokonanych do wyrabiania w sobie sił i indywidualności. Jeśli gdzie pęta mniéj wgryzały się w ciało, naród starał się korzystać ze szczęśliwéj okoliczności. Stąd na Krecie, od roku 1204 weneckiéj, zjawiają się w szesnastym i siedemnastym wieku wcale udatne próby wskrzeszenia literatury. Włoch rodem, Wincenty Cornaro pisze dziesięćtysiącowierszowy poemat Erotokritos [1]), Soummakis, tłómaczy w 1658 słynną tragikomedyę Guariniego: „Wierny pasterz“ (*Il pastor fido*), nieznanego nazwiska autor zostawia po sobie dość naiwny zresztą dramat: „Ofiara Abrahama.“ Osobliwie wyróżnia się Jan Chortaki, autor dwóch komedyi i dwóch tragedyi przenikniętych wpływem włoskim.

Najlepszym w czwórce jest „Erophili.” Motyw zbliżony do motywu głośnéj tragedyi Giraldiego: „La Orbecche”, dziki i krwawy. Król egipski dowiedziawszy się, że jego córka wyszła potajemnie za mąż, każe nieuznanemu zięciowi wyrwać język, oczy i serce, królewna zabija się z rozpaczy, chór zaś rzuca się oburzony na tyrana i karze go śmiercią w obecności przybyłego z Hadesu cienia jego brata, niegdyś przezeń zamordowanego. Technika dramatu gwałtowna, charakter liryczny przeważa. Należy dodać, że Chortaki wprowadza chór starożytny, zwąc go jednak z włoska *intermezzem*.

Ale miejscami zdarzają się ustępy, które o wszystkiém każą zapominać. Naprzykład wspaniała przemowa śmierci w prologu:

„Ja poskramiam serca dumne, ukrócam loty myśli, miażdżę nadzieje i łagodzę cierpienia. Moje spojrzenie burzy miasta i niszczy światy. Gdzie są Grecy i Rzymianie, gdzie ich wielkość i potęga? Gdzie świetność Aten, wojownicy Kartaginy, tajna wiedza Chaldejczyków? Czy znacie imiona olbrzymów, którzy góry kładli na góry, by wznieść piramidy? Człowiek sądzi, że jest dziedzicem świata. Tymczasem dni jego idą za dniami, lata gubią się w nicości, wczoraj przeszło, o przedwczoraj zapomnieliśmy, dziś jest tylko iskierką gasnącą w mrokach. O ludzie, jednodniowcy! co zyskujecie uchodzi, co trzymacie ulatuje, co zbieracie rozprasza się, co budujecie, wali się. Sława jest tylko opiłką, młodość tylko proszkiem, a wasze imię zatrze się, jak gdybyście je nakreślili na nadbrzeżnym piasku, zmywanym przez fale.”

---

[1]) Streszczenie i wybitniejsze wyjątki w Ch. H. Brandesa: „Mittheilungen über Griechenland.“ Lipsk 1842 t. III s 50 i nast.

W ośmnastym wieku życie Nowogreków ześrodkowuje się około „Fanaryotów.” Tak nazywano początkowo mieszkańców dzielnicy konstantynopolskiéj Fanar, późniéj, ponieważ z nich począł rekrutować się najwybitniejszy żywioł, wogóle inteligencyę grecką. Ucisk turecki był przeważnie religijny, nigdy prawie nie stawał się narodowym, a i pod względem wyznaniowym był bez porównania mniejszy, niż np. we współczesnéj Hiszpanii. Greków dopuszczono z czasem do steru państwa, z nich wybierano hospodarów wołoskich. Nie broniono im zakładać szkół, mogli drukować książki, tłómaczyć obce dzieła. Nie stawiano również przeszkód umiłowanéj wówczas przez nich uprawie sztuki dramatycznéj. W Fanarze istniał teatr prywatny, w Bukareszcie i Odesie znajdowały się wielkie teatry publiczne.

Ale zarówno na polach poezyi, jak i na błoniach dramatu (proza prawie nie istniała), trawa rosła bardzo skąpo. A. Karakasses pisał wiersze o—medycynie, Momars dość oschle opiewał brzegi Bosforu. Literatura dramatyczna posiada z tego czasu kilka miernych utworów oryginalnych: Christopoulosa „Gniéw Achilla”, Neroulosa „Aspazyę“, „Polyksenę” i komedyę zatytułowaną „Korakistyka” o ostrzu wymierzonèm przeciw urabianemu przez Koraisa ciężkiemu językowi naukowemu. Głównie jednak żywi się naśladownictwami Włochów: Zambierego, Alfierego i Goldoniego na wyspach jońskich, Francuzów, od Corneille'a do Voltaire'a, gdzieindziéj.

W krwi i pożodze wschodziła jutrznia niezależności greckiéj. Szczególnie od czasu, jak Morea przeszła na własność Turków, poczęły z gór niedostępnych spadać niby jastrzębie hufce kleftów, znosić oddziały tureckie, zabijać urzędników, niszczyć osmańskie osady. Z zakątów i zarośli wciąż uderzały kule na przemożnych muzułmanów. Rewolucya francuska rozwijając szeroko zasadę narodowości, rozdmuchała ogień. Poeta Rigas jął umawiać się z Napoleonem o uwolnienie Grecyi, wydany przez Austryaków życiem przypłacił miłość ojczyzny. Po różnych kolejach wybuchło nareszcie w 1821 roku powstanie w Achai i nad Prutem, a od téj chwili ileż strasznych i rozdzierających epizodów przemknęło przez ziemię helleńską. Traktat adryanopolski uznał w 1829 wolność Grecyi.

Podczas walki tworzono szczególnie wiersze liryczne, ale że w heteryach i zbrojnych oddziałach byli także młodzieńcy zazdroszczący wawrzynów Sofoklesowi, więc gdy oręż spoczął, poczęły kiełkować obficie dramaty, osnute na tle ostatnich czasów. Niestety, czy epoka przedstawiana nie była zbyt daleką, czy piszący posiadali mało talentu, dość że nie powstało nic wybitnego. Dramat i tragedyę reprezentują w tém pokoleniu Panajoti Soutzo i Zambelios. Pierwszego „Karais

Kaki" jest właściwie szeregiem obrazów z życia bohatéra niepodległości. Jak większość dramatów nowo-greckich z XIX-go wieku, zawiéra wiele liryzmu, lecz o istnieniu w nim postaci z pewnym charakterem z duszą prawdziwie ludzką, z czynami, mającemi podkład psychologiczny i psychologicznie działającemi na inne, w umyśle dopiéro przygotowywane, nie ma mowy. Toż samo należy powiedzieć o Zambeliosie. Brał on czynny udział w ruchu powstańczym, potém zaś napisał jakie piętnaście tragedyi, owianych mocno alfieryzmem. Tytuły dają pojęcie o treści i przewodniéj myśli. „Kodrus", „Medea", „Tymoleon", „Konstantyn Paleolog", „Jerzy Kastryota", „Rigas", „Diakos", „Andrukos", „Karais Kaki", „Marek Botsari", „Kapodistrias". O siwooka Pallas-Ateno! Nawet Szekspir nie zdołałby stworzyć z tego wszystkiego arcydzieł, motywy bowiem są zbyt pokrewne, — cóż dopiéro ten szaraczek. Nie wykuwa on wielkich charakterów, nie rzeźbi epizodów duszy, nie umié kréślić tła, ani scenizować akcyi. Jednak oklaskiwany ongi burzliwie w Bukareszcie!

Natomiast komedya pierwszéj połowy naszego stulecia może pochlubić się utworem zgrabnym, miłym, zarazem gryzącym. Tytuł jego brzmi: „Wesele Kutrulego".

Wyszedł z pod pióra Aleksandra Rangabé. Rangabé, nie najgłębszy jako uczony, choć pisał o wszystkiém, co nad ziemią i pod ziemią, dość mierny jako krytyk, objawił niemałe zdolności w literaturze właściwéj. Poemat jego „Demos i Helena", zbryzgana krwią historya uprowadzenia dziewczyny z haremu, posiada wysokie zalety poetyckie, miłe są jego powieści i nowele [1]), dość dobre dramaty. Zamiast nierymowanego jamba Zambeliosa próbował on użyć w nich trymetru z cezurą w połowie czwartéj półstopy.

Lecz wartość „Wesela Kutrulego" nie polega na zewnętrznych zmianach. Podpatrzone w niém zostało życie, autor zamiast odbywać wyprawę w czasy zamierzchłe, spojrzał wkoło siebie, znalazł wdzięczny motyw i opracował go zręcznie. Nawet chór arystofanesowski, tu umieszczony, jest na miejscu.

W kawiarni „Piękném Grecyi", na rogu ulicy Eola i Hermesa w Atenach, wyrabiają się najświeższe ploteczki: osobiste i polityczne. Kto chce miéć dobrą sławę, winien pozyskać gości „Piękném Grecyi".

---

[1]) W biblioteczce Reclama wyszło w przekładzie jego opowiadanie „Leila". W r 1856 przetłómaczył jego powieść „Książę Morei". A. Elissen, *Analekten der mittel- und neugriechischen Litteratur*. Przedrukowano ją w r. 1884-ym we Wrocławiu.

Jak widzimy, Rangabé dowcipnie chwyta jedną ze śmiesznych i zarazem smutnych stron Grecyi i na tém tle snuje satyryczny wątek.

Skyros, właściciel kawiarni, chce wydać córkę swą Antusę za bogatego krawca Kutrulego. Za krawca? Panna Antusa czuje odrazę do nożyc, do łokcia i do dużych naparstków. Nadto serce jéj bije— nieśmiało, bardzo nieśmiało — ku pewnemu młodzieńcowi służącemu w policyi. Ciężka sprawa dla ojca, ale nareszcie córeczka oświadcza, że zgodzi się na jego propozycyę, jeśli Kutruli zostanie — ministrem.

— Bo i cóż? — uzasadnia żądanie. Czy ten oto teraźniejszy prezydent nie musiałby nam bielić domów wapnem, gdyby nie był uzyskał teki. A tamten, minister oświaty, czy nie sprzedawał tobie niegdyś lekarstw w aptece. Nikt z teraźniejszych mocarzy greckich nie spadł z nieba. Więc i Kutruli może dobić się swego.

Z pewną przesadą, ale zupełnie słusznie ośmieszył Rangabé manię karyery politycznéj, która szkodliwie odbija się na umysłowości i życiu wewnętrzném wielu ludów europejskich. Jeśli ograniczymy się tylko Nowogrecyą i wtedy nie przyjdziemy do wesołych wniosków. Ziemia leży w Grecyi odłogiem, przemysł nie wypełznął z powijaków, literatura i wiedza chodzą w wytartych sukniach. Ale politykę w iluż pędzi się gorzelniach! Nie robi się prawie nic dla ludu, nie skierowuje się inteligencyi, kędy trzeba. Każdy marzy o godnościach i tytułach, za pierwszy szczebel do grodu sławy uważa uzyskanie dyplomu doktorskiego, stąd wielka nadprodukcya proletaryatu umysłowego, a tymczasem w głębi kraju z nędzy i biédy chłopi uprawiają bandytyzm.

Wobec tego powiemy nawet, że Rangabé ledwie musnął pytanie.

Dalszy przebieg nie traci na wesołości. Kutruli warunek przyjmuje... Przybrawszy do pomocy starszego czeladnika Strowilego, przebiega miasto. Obaj zatrzymują przechodniów, wchodzą w gromadki, siadają na tarasach kawiarń i mówią cicho towarzyszom: „Wiécie, ministeryum upadło! Kutruli, sławny Kutruli obejmie teraz ster.” Greckiéj łatwowierności to wystarcza. Kim jest Kutruli, co to za człowiek, skąd przybył — nie pytają nawet. Mniejsza o to nareszcie, reprezentuje on opozycyę, przynosi z sobą zmianę, już dość długo nudził poprzedni gabinet. A więc raźno pomyka wieść przez tłumy, ludność gromadzi się, pochwytuje gadkę jakiś reporter, niech żyje Kutruli! pisze wieczorna gazeta. Niech żyje! powtarzają tłumy, a Antusa, wierząc wszystkiemu, szczególnie zaś czarnemu na białém, oddaje rękę tryumfatorowi.

Do „Pięknéj Grecyi", gdzie zasiada Kutruli, poczynają teraz nadciągać zewsząd poławiacze synekur i urzędów. Proszą Kutrulego o poparcie, wszystkim dostają się sute obietnice. Ale ciżba proszących rośnie, Kutrulemu tego zawiele. Świeżo przybyłych spotyka odmowa. Co? nowy minister odmawia? Precz z nim! Krzyk wszczyna się, domieszały się obelgi, tam w kącie ktoś stół podnosi, by go cisnąć w przeciwników. Krzesła prują powietrze, zaczyna wrzeć bitwa w kawiarni i na ulicy... Na szczęście przybywa w porę policya i bez dłuższych ceremonii prowadzi jednodniowego prezydenta do—kozy.

Pisarzy dramatycznych liczy Grecya w ostatnich latach wielu, lecz mała jest ilość cennych dramatów. Polityka i polityka zjada talenty; jak mrówkojad czychający na skrzętne robotnice, które wyjdą pracować dla towarzyszek, zagarnia on swoim długim językiem wszystko, co idzie w świat rozwijać się i wyrabiać. Bourdon wpada nawet wobec tego w pesymizm, może niesłusznie. Dramat nowogrecki przedstawia w całości dążność ku lepszemu, oprócz Wesela Kutrulego posiada bardzo poczytną tragedyę Basiliadisa „Galateę", tłómaczoną na język francuski i włoski, a żyjący jeszcze dramaturg Koromilas, ma także nieco dobrego w swym dorobku literackim. Po pracach dotychczasowych należy spodziewać się, iż prędzéj czy późniéj w Nowogrecyi powstanie arcydzieło dramatyczne.

W przedmowie do Marka Botsarisa pisał poczciwy Zambelios: Głównemi namiętnościami tematów tragicznych są: poświęcenie dla ojczyzny, miłość wolności, miłość prawdziwéj *(sic)* sławy, nieszczęścia (czy są to namiętności?) mężów sławnych, albo cnotliwych (hm), dążności ku uwolnieniu ojczyzny albo odzyskaniu królestwa, skąd niesprawiedliwie zostało się wygnanym." I dodawał nieśmiało: „Można wliczyć nieszczęśliwą miłość dla kobiéty, jakkolwiek ten motyw, uznany na scenie współczesnéj, był obcy ojcom naszym."

Właśnie jednym z lepszych objawów, mało zaznaczonym przez Bourdona, jest wyłamanie się teatru nowogreckiego z podobnych przepisów. „Tymoleony" i „Brutusy" nawiédzają i dzisiejszych pisarzy, ale miłość dla kobiéty i inne „obce ojcom" motywy są również obficie opracowywane. Naprzykład „Marya Doksapatri", najlepsza tragedya zmarłego kilka lat temu kreteńczyka Bernardakiego. W XIII-ym wieku potworzyły się w niektórych okolicach przeciw baronom francuskim, co zawładnęli Moreą, oddziały tubylcze. Na czele jednego z nich stanął Doksapatri. Lecz los zrządził, że jego córka Marya zakochała się w zwalczanym przezeń krzyżowcu. Sytuacya bardzo dramatyczna, przypominająca Cyda, ale w inném środowisku i w innych warunkach. Komedya zaś tak samo nie krępuje się prawidłami. Wiele obiecywał

w niéj D. Paparrigopoulo, autor satyry dramatycznéj „Wybór żony”. Demos—lud grecki—wybiéra sobie towarzyszkę życia z między pań: Monarchii, Konstytucyi i Demokracyi. Jest chwila, kiedy niezdecydowany wybucha płaczem i chce — wszystkie trzy do ołtarza powieść. Pani Konstytucya, najwymowniejsza, wyjaśnia mu, że łączy w swym charakterze cechy obudwóch rywalek i zwycięża.

Jakkolwiek utworowi można wytknąć parę usterek, chociaż w osobie Demosa krzyżują się i wywołują rozdźwięk, równocześnie narzucone role męża i króla, jednak utwór ów posiada wartość. Dowcipne np. miejsce, gdzie w obecności Demosa [1]) poczyna stawiać się bardzo ostro względem swojéj pani panna Izba, jéj służebnica. Aby przerwać niemiłą dla siebie i źle działającą na umysł Demosa scenę, Konstytucya mdleje.

Konstytucya. Ach, ach, źle mi. Kroplę wody!...

Demos (*zrywa się, by przynieść szklankę wody*).

Izba (*chwytając go za rękę*). Gdzie pan idziesz?

Demos. Po wodę.

Izba. Czy zastanowiłeś się nad tém? Czy pomyślałeś, azali wypada to albo nie, jakie mogą być następstwa tego czynu?

Demos. Nad czém miałem myśléć? Czy nie widzisz, jaka blada?

Izba. Ach, panie, wiész mniéj od najciemniejszego bakałarza. Człowiek powinien myśléć przed decyzyą i myśléć wiele. Potém powinien zadać sobie pytanie i zadać je nie raz, ale trzy razy i nie tego samego dnia, ale w różne dni. Następnie, gdy zdecyduje się, powinien znowu zastanowić się przy wykonywaniu i śpieszyć się powoli.

Demos. Ależ, siostro, jesteś albo zwierzęciem, albo idyotką. Czy nie widzisz, że ta nieszczęśliwa cierpi?

Izba. W takim razie potrzeba, aby to było skonstatowane. Dotkniemy dziś jéj pulsu, a jutro spytamy się, czy dać jéj wody, czy też nie?

Czy nie dobre scharakteryzowanie pośpiechów parlamentarnych?

Niestety, zdolny pisarz zgasł przedwcześnie. Urodzony w r. 1843, zmarł w r. 1873-im.

Jeszcze wcześniéj skończył życie S. N. Basiliadis, którego „Galatea” w tragedyi równoważy „Wesele Kutrulego. Urodził się on już na wolnéj ziemi, studya odbywał w Atenach, a otrzymawszy dyplom adwokacki, wyjechał zagranicę, gdzie umarł, licząc dwadzieścia dzie-

---

[1]) Przytaczam według francuskiego przekładu E. Legranda: D. Paparrigopoulo, *Le choix d'une femme*, r. 1872. *Librairie des bibliophiles*.

więć lat. Pozostawił tomik poezyi smutnych, a okazujących duży talent, nadto kilka dramatów.

„Galatea" tak przedstawia się w streszczeniu:

Pygmalion, król Cypru, zrażony brakiem doskonałości moralnéj i fizycznéj pośród kobiét wogóle, a cypryjetek w szczególności, zamyka się w swoim pałacu i całemi godzinami patrzy na posąg kobiéty, wykutéj dla jego ojców przez nieznanego rzeźbiarza. Prawdziwie boskie piętno wcieliło się w ów marmur, o, gdybyż i na padół życia zechciało ono zstąpić.

Długo błaga Pygmalion bogów, żeby przemienili statuę w żywą postać. Lecz nieśmiertelni zdają się nie słyszéć modłów. Nareszcie pewnego wieczora cud dokonywa się. W chwili, gdy Pygmalionowi donoszą, że z dalekich krajów przybył brat jego, Rennos, życie przenika marmurową kobiétę. Rumieniec występuje na jéj twarz, powieki podnoszą się, lewa ręka przytrzymująca włosy opuszcza się na pierś, by przysłonić ją przejrzystą materyą, która osunęła się była w pół ciała i kiedy włosów złocisty snop opada na ramiona, prawa dłoń podaje Pygmalionowi złote jabłko.

Rennos, w młodości swéj wyklęty przez ojca, poszedł w świat szukać przygód. Gotowali wówczas bohatérowie wyprawę po złote runo, przyłączył się do nich. I potém jeszcze długo po świecie wędrował. Walczył w borach ze zwierzem dzikim, w górach z rozbójnikami, na morzu z wodnemi potworami. Przez pustynię podążał, widział rzeki olbrzymie, szedł przez ziemie pełne mroków, to znów przez krainy, gdzie gorąco oddech zapierało. Zgromadził też w swojéj duszy więcéj wspomnień, niż najbogatszy król dyamentów w skarbcu.

Jak Otello uroczą Wenecyankę, tak Rennos podbija swojemi opowiadaniami ukochaną brata Ale i w swéj duszy czując zarzewie namiętności, postanawia usunąć się. Korsarze pustoszą brzegi Cypru; „mój miecz zardzewiał—mówi Argonauta—muszę przywrócić mu dawny połysk." Wyjeżdża przeciw wrogowi.

Jednak w gwarze boju i w ciszy wypoczynków nocnych miłość, jak widmo, słania się za nim. Zwyciężył nieprzyjaciela, lecz płomień, co go palił, jeszcze silniéj bucha.

Właśnie wyjechał, niespokojny o brata, Pygmalion do obozu, i Galatea znajduje się sama w pałacu królewskim, gdy wchodzi nieznajomy mąż. „Jestem wysłańcem Rennosa, oto jego znak: pierścień z wyrytym na kamieniu obrazem okrętu Argo. Czy chcesz, by on żył, czy aby umarł.

— On umrzéć? Wtedy ja prosiłabym bogów dniem i nocą, aby dali mi moc pomszczenia na całéj ludzkości tego zgonu. Nie, on dla

mnie droższy nad wszystko. Lecz powiédz, czy nie wymówił on kiedy przy tobie jakiego imienia. Gdybym wiedziała, że mnie kocha...

Nieznajomy podnosi przyłbicę: to Rennos.

Czwarty akt szczególnie odznacza się siłą. Rennos żałuje, że uległ uczuciu, sroga walka między miłością ku Galatei a przywiązaniem i szacunkiem dla brata toczy się w nim. Ale Galatea nie zna półśrodków. Skoro on ją kocha, a nie chce, by należała do niego za życia Pygmaliona, niechaj Pygmalion zginie. Gwałtowną wymową namiętnéj kobiéty południa skłania go do przyjęcia pomysłu. Rennos jedzie do brata żądać podziału państwa. Zapewne odmówi, to usprawiedliwi zabójstwo.

Z podniesioną głową, choć ze wstydem w duszy, krótko i zuchwale domaga się Rennos swojéj części. „Dziś syn wyklęty wrócił, chce od brata, co mu się należy. Moje mienie mi oddaj.”

— Więc tą drobnostką tak mocno przejąłeś się — mówi Pygmalion. — O, mój drogi Rennosie. Czy sądziłeś, że jestem do tego stopnia wiarołomnym i nędznym, że zabrałbym ci twoje mienie. Bracie mój, kocham cię, jak siebie samego, podzielmy Cypr na dwoje, każdy weźmie jedną część, czy dobrze?

Rennos jeszcze nie rad. Chce najżyźniejszych ziem, największych miast. Wspaniałomyślność starszego brata wciąż ulega. — Weź wszystko Rennosie, czy sądzisz, że gdy odkryję w Cyprze najbogatszą kopalnię złota, pójdę oskardem przebić ci serce? Chcesz miast, bogactw, bierz je, oby szczęście ludów i radość obudwóch braci była owocem twoich pól, perłą dobytą z twoich mórz, drogim kamieniem znalezionym w twych górach.”

Widząc, że serce brata niewyczerpane, Rennos próbuje ostateczności. Dobywa miecza i żąda tronu. Pygmalion nie cofa się, nadstawia szlachetnie pierś. Skoro uważasz, że ta pierś więcéj barbarzyńska, niż zwierząt i dzikich ludzi, których zwalczałeś, uderz bracie. *Ja* na ciebie nigdy ręki nie podniosę.”

Zdejmuje płaszcz królewski i kładzie mu go na ramiona. Bądź królem, żyj szczęśliwie i zostań moim bratem, najdroższy. Co mi po reszcie. Chatki chcę w Cyprze i Galatei w niéj. To całe moje szczęścia, po co mi choćby wszystkie bogactwa świata?

Rennos zwyciężony, skruszony, ciska miecz, rzuca się bratu w objęcia i woła łkając: O bracie, bracie, bracie. Po tém wyrywa się z objęć i ucieka.

Musi mu się wydać Galatea prawie demoniczną, gdy po jego powrocie (Pygmalion został w obozie), pewna, iż król zginął, wita go szczęśliwa, pełna radości. On prosi, by mu wody przyniosła umyć

miecz skrwawiony, ona z rozkoszą wypełnia polecenie. Widząc twarz jego pochmurną zbliża się doń i mówi:

— O gdybym była wiedziała Rennosie, że chwilę tylko będziesz smutnym, byłabym mu odebrała życie własną ręką.

To oburza ostatecznie mężczyznę. Dobywa miecza i przebija ją.

I w ostatniéj chwili miłość nie opuszcza Greczynki. Śmiertelnie ranna pełznie ku kochankowi, przebacza mu i prosi, by ostatni pocałunek złożył na jéj czole. On odmawia.

Galatea po chwili głośniéj:

Oddałam ci swoje życie, ty skąpisz mi pocałunku?

Wadą utworu [1]) jest, mojém zdaniem, zlanie w jedną chwilę ożywienia Galatei i przybycia Rennosa. Poznając równocześnie Pygmaliona i Rennosa Galatea nie była przecie zobowiązana pokochać Pygmaliona. Mogła, jeśli uważała życie za dobrodziejstwo, być wdzięczną królowi Cypru, a zarazem lgnąć do tamtego. Osłabia to znacznie jéj winę, sprowadzając ją głównie do niewdzięczności. Gdyby zaś Galatea uzyskała życie na jakiś czas przed przybyciem Rennosa, gdyby Pygmalion zdobył jéj serce swą miłością i ona także jego pokochała, a dopiéro potém przechyliła się w inną stronę, okazałaby się wiarołomną, nawet demoniczną.

Odliczywszy to, musimy przyznać, że Basiliadis stworzył przedewszystkiém śliczną postać szlachetnego brata w Pygmalionie, że dał piękny typ w Rennosie, i że Galatea wolna od demonizmu posiada natomiast namiętną, gwałtowną duszę, podobną do wulkanu, który w chwili wybuchu nie zna przeszkód, rozsadza powłokę ziemską i zasypuje lawą sady i winnice.

Najwybitniejszy z żyjących pisarzy dramatycznych Koromilas napisał wiele komedyi, wodewilów i dramatów. Na wyszczególnienie zasługują „Kochanek pasterki“ i „Ofiara z miłości.“ Pierwszy osnuty na tle ulubionéj piosnki poety z czasów wojny o niepodległość Zalokostasa: Pocałunek. „Kochałem niegdyś, dziesięć lat mając, młodą pastuszkę. Raz w polu pocałowała mię i choć już wiele wody od owéj chwili upłynęło, zawsze czuję jéj pocałunek na ustach i zawsze ją kocham.”

Tu kochankiem jest Mitros, pastuszką Statena. Kochali się w dzieciństwie, potém rozeszli się, już Statena córkę wydaje za mąż, gdy Mitros wraca do ojczystéj wsi. Wspomnieniom z dzieciństwa zo-

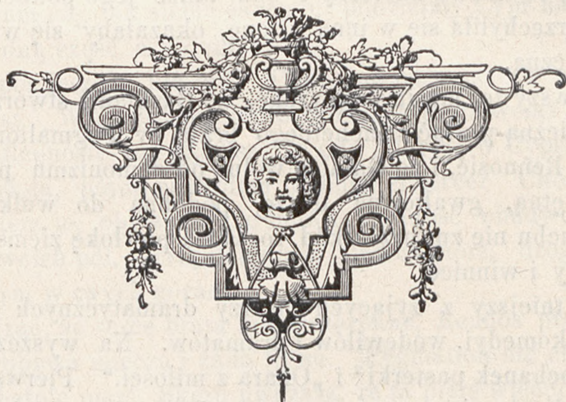
---

[1]) Bourdon nie wié o istnieniu przekładu francuskiego „Galatei.“ Dokonał go w r. 1878 baron Estournelles de Constant, tłómaczenie wyszło wraz z tekstem u Leroux („Bibliotheque orientale elzévirenne t. XVIII). Posiłkowałem się niém w niniejszéj pracy, stąd pewna odmienność moich sądów i opinii Bourdona.

stał wierny. Wypadek zrządza, że przy wejściu do wioski, wyratował tonącego Lidkosa narzeczonego Krustalli, córki Stateny. Dawni kochankowie nie poznając się wchodzą wskutek tego w bliższy związek z sobą, okoliczności zbliżają ich coraz bardziéj, przychodzi chwila wyświetlenia wzajemnego przeszłości i koniec ten, że choć po latach, dwa niegdyś złączone serca spajają się związkiem małżeńskim.

„Ofiara z miłości“ kończy się przeciwnie. Stefan Andepas poślubia Irenę niechętną mu z początku, bo innego kocha. W jakiś czas późniéj miły, zarazem przyjaciel Stefana, wraca. Andepas dowiedziawszy się o stosunku Marka do Ireny, chce wycofać się, jeśli tylko dawna miłość tli się w tercu żony. Lecz przyzwyczajenie owładnęło już Ireną i po pewnéj walce młoda kobieta wybiéra męża.

Włodzimierz Bugiel.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Franciszek Piekosiński. „Ludność wieśniacza w Polsce w dobie Piastowskiéj.“ Kraków, 1896, str. 151.

Nareszcie przybyła naszéj literaturze historycznéj praca, która stara się nakreślić pewien syntetyczny obraz stanu ludności naszéj wiejskiéj do końca XIV wieku. Główne poglądy sz. autora są już nam skądinąd znane. Zasadnicze rysy jego koncepcyi co do genezy i ustroju społeczeń stwa polskiego, a więc i doli ludu wyosobniły się bardzo znacząco w polemice z prof. Smolką i Bobrzyńskim, a naostatku w pracy p. t. „Rycerstwo polskie wieków średnich”, — „O dynastyczném szlachty polskiéj pochodzeniu” (drugie wydanie wyszło w tym roku).

Zaznaczamy przedewszystkiém główne rysy obrazu kultury pierwotnéj w Polsce, jakie sz. autor przed naszemi oczyma roztacza. Zabytki cmentarzyskowe i jaskiniowe, przedmioty górnictwa i hutnictwa są rzadkie w Polsce, są one raczéj przedmiotami dowozu wewnątrz, niż produktami przemysłu wewnętrznego. Zboże, wszelkie jego gatunki, przywieźli nasi praojcowie lechici, jak ich sz. autor nazywa, z Azyi. Namiot, w którym mieszkano, nazywał się stan. Życie całe skupiało się przed stanem, — stąd wyraz dwór ma dotąd podwójne znaczenie: budynek i otwarte powietrze. Przed lechitami ziemia ta wcale nie była osiedlona. Granice władania ziemią były tam, gdzie się bydło wy-

puszczone na paszę spotykało. W charakterze monety kursowały łupieże kunie, wiewiórcze, wydrze i gronostajowe, zresztą i nazewnątrz, naprzykład w Niemczech, bardzo poszukiwane. Warunki osiedlenia wskazują nam zazwyczaj nazwy wsi jeszcze dzisiaj pozostałe. Obok Dalechów należy się dorozumiéwać stan, Dalechowa—wyrazu dziedzina (którą to nazwę autor wyprowadza od dziedziniec), Dalechowo — siodło (lub osiedlenie), Dalechowy — synowie (nie ludzie Dalecha, gdyż Dalech wieśniak nie mógł miéć jeszcze żadnych swoich ludzi, ani swojéj czeladzi, która się zawsze składała z niewolników). Wspólnéj własności autor nie uznaje w owych czasach przedpiastowskich, chociaż przyznaje, iż nazwy wsi na *ice* mogłyby ją wskazywać. Wspólnoty rodzinne mogły się pojawiać, ale miały one tylko tymczasowy, przygodny charakter. Karczowanie ziemi wymagało natężenia sił indywidualnych. Skotnice wspólne, pastwiska gminne pojawiają się od XIII-go wieku w związku z lokacyami wsi na prawie niemieckiém. Ogół wsi w Polsce dzieli autor na następujące kategorye: 1) zakończone na *ów*, *owa*, *owo*, *in*, *yn*, *im*, *ym*. Tutaj należą prastare z VI wieku (stąd wniosek, iż z nazw wsi dałoby się wyprowadzić imiona przybyszów lechitów do Polski), wsi, które wzięły swe nazwy od imion świętych od XIII w., tudzież od imion wielmoży i rycerzy (poczynając od pierwszéj połowy XII w.); 2) zakończone na *ice* — nazwy patronimiczne, uderza wielka ich liczba ogółem 3,100. Pochodzą albo z przemiany *ów* na *owice*, z VI w. zakładane przez braci, od imion świętych (Tomaszowice), rycerzy (Wietrzychowice), albo nareszcie wsie na roku kościelnego (Biskupice); 3) narocznikowe (około 400) wzięły swą nazwę od zatrudnień ich mieszkańców (Łagiewniki). Powstałe wyłącznie dla potrzeb grodu, nie dadzą się odnieść do wcześniejszéj organizacyi, jak grodowéj; 4) wojskowe osady, wsie władycze pochodzą już z XII wieku; 5) przysiołki noszą nazwy topograficzne, należą tutaj wole czyli lgoty od XIII w., folwarki zakładane od XVI w. Przejdźmy teraz do organizacyi społecznéj, politycznéj i wojskowéj, jaką sobie przedstawia autor i zanotujmy jego poglądy. Lechici nadwiślańscy żyją rodami w gminowładném urządzeniu, nie znają ani władzy książęcéj, ani centralizacyi, ani siły zbrojnéj, ani sztuki prowadzenia wojen. O służbie wojennéj w dobie żupańskiéj nie mogło być mowy, gdyż wówczas przodkowie nasi nie mieli sposobności prowadzenia z kimkolwiek wojny i o sztuce wojskowéj żadnego nie mieli wyobrażenia. W dobie więc żupańskiéj służba wojenna nie istniała wcale.

Przejdźmy teraz do epoki piastowskiéj, a raczéj pozwólmy sz. autorowi wypowiedziéć jaknajdobitniéj swój sąd o tém rzekomym rozłamie, jaki istnieje między Polską piastowską a przedpiastowską: „Gdy

pierwotni lechici przedstawiali jedną i jedyną klasę w ówczesnéj społeczności, gdy byli ludźmi zupełnie swobodnymi i co do osobistéj swéj wolności niczém nieograniczonymi, gdy posiadają na nieograniczoną własność ziemię, gdy zatém przedstawiają się oni, jako obywatele kraju w całém tego słowa znaczeniu, to jakiż związek może zachodzić między nimi a wieśniakiem z doby piastowskiéj, ograniczonym w wysokim stopniu, tak co do osobistéj swéj własności, jako i co do posiadanéj przez siebie ziemi" (str. 9). O ile nietrudno jest nam domyślać się, skąd sz. autor wziął wiadomości swoje o ustroju żupańskiém, rodowym i gminowładczym przedpiastowskiéj Polski, a mianowicie ze źródeł dotyczących Słowian połabskich i południowych, które tylko *per analogiam* dają się rozciągnąć i na stosunki pierwotne w Polsce, o tyle ciekawszém staje się pytanie, w jaki sposób sz. autor udowodnia ten obraz ludności wiejskiéj w dobie piastowskiéj, co do którego mamy własne źródła dokumentalne, których sz. autor jest pierwszorzędnym, niepospolitym znawcą. Lecz jak wzgląd na stosunki społeczne zniewolił sz. autora do postawienia hypotezy najazdu, podobnież ustrój społeczny służy mu na to, aby poprzéć swoje wywody hypotetyczne. Sz. autor twierdzi, iż przypiśnicy w Polsce piastowskiéj stanowią ową ludność pierwotną, rdzennie autochtoniczną, podbitą. Na dowód tego przytacza następujące okoliczności: 1) przypiśnicy są katogoryą ludzi najliczniejszą, 2) są w posiadaniu drobnych dziedzin, 3) nadania ich rycerstwu nigdzie ani śladu dopatrzéć nie można, gdy przeciwnie kościołowi książę nadawał ich wraz z ziemią, rycerstwu tylko ich ziemię po uprzedniém wyeliminowaniu dziedziców. Tymczasem wolna ludność, któréj istnienia autor wcale nie zaprzecza, nie jest to ludność autochtoniczna, tylko przybysze, goście, jak ich podówczas nazywano. Co więcéj, sam autor przyznaje, iż we wsiach na prawie niemieckiém czyli powstałych z ludności wolnéj, ludności niemieckiéj nie znać wcale, lecz szczery żywioł polski. Lecz aby osłabić ten wzgląd, jakoteż i drugi, że wśród ludności wolnéj spotykamy nazwy polskie, w inném miejscu dodaje, że ci przybysze, wolni goście, byli też lechici Słowianie połabscy, którzy emigrowali do nas. Osiedlali się oni na czynszu zrazu tylko w dobrach monarszych, gdzie znajdowali korzystniejsze warunki, późniéj w kościelnych i szlachty. W tym obrazie stosunków społecznych mamy przedstawione wszystkie istotne warunki ówczesne, na które każdy musi się zgodzić, i ich tłómaczenie, które tylko sz. autor mógł doprowadzić do końca, mimo oporu faktycznego danych. Że sz. autor ryczałtowo zalicza wszystkich dziedziców, jak ich nazywają źródła, do przypiśników, że pomija wyraźnie przeciwstawienie we wzmiankach źródłowych czynione między wolnymi ludźmi przybysza-

mi a tuziemcami, tudzież wzmianki o lokowaniu wsi przy pomocy wolnych Polaków, tego możnaby na razie nie postrzedz, uwiodłszy się źródłową, logiczną, chociaż złudną budową całości. Lecz pozostaje jeden fakt bijący w oczy, że tych dziedziców pytano się, czy chcą ustąpić dobrowolnie ze swej własności, że dawano im wzamian za to wynagrodzenie, że żądano od nich formalnego zrzeczenia się pretensyi do prawa własności wobec świadków. Jak ten wzgląd wymija sz. autor, niech świadczą jego własne słowa: „Wprawdzie weszło w zwyczaj, że książęta w przeważnych wypadkach naznaczali wydziedziczonym wieśniakom za zagrabione im dziedziny inne wynagrodzenie, lecz czynili to nie z pobudek prawnych, nie z przyczyny, jakoby się tym wydziedziczonym wieśniakom rzeczywiście jakie wynagrodzenie, jaka odprawa należała, lecz jedynie z pobudek czysto moralnych... dla zagłuszenia wyrzutów własnego sumienia" (str. 108). Przyznajemy się otwarcie, iż ten rekurs do delikatności sumienia książąt XII i XIII wieku względem chłopów, a jak sz. autor chce, nawet ludności podbitéj nie wydaje się nam zbyt przekonywającym. O ileż naturalniejszą jest rzeczą uważać przykłady eliminacyi przymusowéj dziedziców bez odszkodowania (bo takie przykłady istotnie zachodziły), jako nadużycia władzy książęcéj. Czy książę potrzebował się krępować prawem własności do ziemi ludności wieśniaczéj wobec całkiem nowych form życia społecznego, wchodzących na porządek dzienny (ustrój średniowieczny oparty na przywilejach)? Czy nie mógł łamać praw klasy najniższéj, któréj znaczenia i potęgi nie obawiał się, bo ta klasa już ich nie miała, podobnie jak od końca XV do XVI w. szlachta łamała prawa ludności wieśniaczéj czynszowniczéj?

Do najlepszych rozdziałów książki zaliczam rozdział o daninach i posługach ludności wieśniaczéj. Głębiéj chyba nikt dotąd nie zanalizował téj kwestyi, powikłanéj skutkiem mnogości i różnorodności nazw, których znaczenia częstokroć nie rozumiemy, albo których różnorakie nazwy często bierzemy za różnice zrzeczenia. Poradlne zbliża sz. autor z powołowem. Stan może to samo co dan, nastawa, godne. Narzaz—to samo co stan lub poradlne. Z powodu daniny zwanéj obraz czyli moneta szerzéj rozwodzi się autor nad systemem menniczym i pieniężnym w Polsce. Najwcześniejsza moneta polska pochodzi od Mieszka I-go. Srebro sprowadzano z zagranicy. Denary Chrobrego i jego następców bito z blachy o tyle grubéj, że noszą dwustronne stemple. Denary Mieszka Starego bite są niemal wyłącznie po jednéj stronie (tak zwane brakteaty). Jako zdawkowa moneta (surogat) uchodziły sól, chustki, płatki płótna (stąd wyraz płacić), bydło (szkot, szkojce), skórki czyli łupieże. Trzesne stanowiły 300 kawałków soli.

Trzy grzywny w łupieżach składały się na jedną grzywnę pieniężną. Denary kursowały od Mieszka I aż do Łokietka. Z monety obcéj kursowały u nas grosze Turońskie (w XIII w. bite po raz pierwszy w m. Tours na wzór dużéj srebrnéj drachmy kufickiéj Samanidów), szerokie grosze pragskie (od r. 1300 wprowadzone przez Wacława) szląskie półgroszki. Półgroszki polskie są w obiegu od Kazimieza W. do końca XV w. Grzywna polska mennicza wagi 198 gr. zawierała w sobie 48 groszy czyli 96 półgroszków czyli 576 denarów (12 denarów równało się (1-mu groszowi) a dzieliło się na 4 wiardunki (po 12 groszy) albo 24 szkojce (po 2 grosze). Przy przebijaniu monety (obraz) za 14 denarów starych dawano 10 lub 12 nowych.

Co do juryzdykcyi patryarchalnéj, to sz. autor wymienia naprzód jako sędziów comesa palatyna na dworze (we wsi sądownictwo spełniał włodarz albo szafarz) daléj comesów prowincyonalnych (na Mazowszu i Szląsku), comesów grodowych począwszy od czasów Chrobrego, późniéj są to kasztelanowie. Z innych sędziów są znani sędziowie wyżsi (wielki sędzia nadworny, najwyższy sędzia, sędziowie prowincyonalni i ziemscy) oraz niżsi, jaka była ich działalność, jaki stosunek do sędziego nadwornego o tém nie pozostawiły pomniki współczesne żadnego śladu" (str. 72). Zawiązek juryzdykcyi patrymonialnéj upatruje sz. autor w juryzdykcyi pańskiéj nad niewolnikami. Zaznaczając współistnienie juryzdykcyi kasztelańskiéj i wojewodzińskiéj, każdéj niezależnéj od siebie co do swych prestacyi i danin, sz. autor świetnie przedstawia upadek juryzdykcyi kasztelańskiéj; usuwała się jéj podstawa, bo brak było subiektów do sądzenia.

Dla badaczów naszego języka prof. Piekosiński niezmiernie się przysłużył umieszczając na końcu swéj pracy spis imion najdawniejszych osobowych, sporządzony na podstawie dokumentów, lub też najstarożytniejszych nazw miejscowości. *Ad. S.*

Antoni Małecki. „Lechici w świetle historycznéj krytyki." (Wydawnictwa Zakładu n. Im. Ossolińskich I), we Lwowie, nakładem Zakładu n. im. Ossolińskich 1897 str. 267.

Książka czcigodnego nestora naszéj literatury, prof. Małeckiego należy do liczby takich, które nie mogą nie zainteresować nie tylko specyalistów lecz zarazem i szerokiego ogółu. Kwestya, któréj dotyka autor, musi znaleźć oddźwięk w zbiorowéj świadomości naszego społeczeństwa. Rozbiéra się tutaj powstanie jednéj z nazw, jaka nam przysługuje—a z kwestyą nazwy wiąże się tutaj, jak zwykle w takich razach, kwestya genezy samego społeczeństwa. Autor mianowicie po-

stawił sobie za cel poddać krytyce gruntownej teoryę naukową, iż naród polski pochodzi ze zlewu dwóch pierwiastków tubylczego polskiego i obcego lechickiego, z których zbiegiem czasu wyłoniły się dwie warstwy w narodzie: lud i szlachta. Źródłowe nazwy naszego narodu, pod któremi jedynie słyniemy aż do końca XII w., są dwie: *Poloni* (w źródłach zachodnich, niemieckich i polskich) oraz Lachy (w źródłach ruskich) i pokrewne z tą ostatnią nazwą *Ledianin* (u Serbów), po litewsku *lenkas*, *lankas*. Obie te nazwy wyprowadza autor od wspólnego pojęcia pola (*leda*, *lada* nazwa równiny w stanie pierwotnej natury, we wszystkich prawie językach indo-europejskich). Jakkolwiekbyśmy przyjęli hipotezę identyfikującą znaczenie wyrazów Polak (*Polonus*) i Lach, to trzeba przyznać, iż te dwie nazwy, jedyne źródłowe dadzą się utrzymać jako najdawniejsze miano naszego narodu. Natomiast trzecia nazwa Lechici (*Lechitae*) została dostatecznie zdyskredytowana przez sz. autora, który dotarł aż po najodleglejsze czasy, śledząc jéj pierwociny. Wykazał całą jéj niepewność, bałamustwo i niewiarogodność. Jako najważniejsze poczytuję to, iż sz. autor wykazał, że między polskim wyrazem Lechici a nazwą, pod którą słynęliśmy u naszych wschodnich i południowych sąsiadów (*lach*, *ledianin*) nie ma żadnego pokrewieństwa lingwistycznego. Powstała wskutek opacznego tłomaczenia jakiegoś ustępu z apokryficznych dziś zaginionych listów Aleksandra do Arystotelesa w kronice Kadłubka (hypoteza sz. autora) wyłania się znowuż w niejasnym tekście rękopiśmiennym kroniki Baszka, jak się autor domyśla, podskrobanym i sfałszowanym już w XVIII w. ręką jednego z „naszych przyjaciół", Niemca Hancka. Na utrwalenie się téj błędnéj nazwy a wraz z nią i całéj teoryi „lechityzmu" w naszéj historyografii minionéj już doby, fatalnie wpłynął na ostatek falsyfikat Zielonogórski, niby pomnik starożytny literatury czeskiéj, gdzie lechy jako stan pośredni między władykami a kmieciami w zaraniu dziejów czeskich są wymienieni. Druga część książki sz. autora streszcza rozmaite hipotezy lechickie obce, jak naprzykład Lengnicha (kolchidzko sarmacka) i nasze własne, poczynając od Albertrandego Wagi, poniekąd Naruszewicza kończąc na Maciejowskim, Bielowskim, Szmicie, Bartoszewiczu i Wilhelmie Bogusławskim. Lelewel rozpatrywany jest trzykrotnie, odpowiednio do trzech faz rozwoju swoich zapatrywań na tę kwestyę. Ta druga część jest nie mniéj ciekawa dla wyświetlenia saméj kwestyi lechickiéj, jak i z ogólniejszego stanowiska rzeczy biorąc. Mianowicie, o ile autor dotyka wszystkich prawie najwybitniejszych przedstawicieli polskiéj nauki historycznéj a zarazem działaczy na polu nauki i oświaty w Polsce już od połowy XVIII w. począwszy, aż do ostatniéj chwili, mamy tu pogląd

na rozwój naszéj historyografii. A w kilku rysach umié autor skréślić obraz bardzo wyraźny i dokładny, naprzykład Tadeusz Czacki („żywy, bystry, niezmiernie oczytany i wszechstronny, niezwykłą obdarzony pamięcią ale i trochę rozrzucony umysł" str. 107), W. Al. Maciejowski („Mąż uczony, wykształcony na wszechnicach niemieckich, autor niezmiernie płodny—nieobdarzony jednak talentem jasnego przedstawienia rzeczy, które wiedział lub o których rozumiał, że je wykrył za pomocą swych badań" str. 163). Zapoznać się stąd można, jakie kwestye poruszane były w literaturze historycznéj, jak je opracowywano i za pośrednictwem jakiéj metody. A nadewszystko przekonywujemy się, jak odmiennemi torami szła niegdyś nauka historyczna u nas a jakiemi idzie dzisiaj. Jak daleko odbiegliśmy w badaniach ściśle naukowych od tych hypotez lizgijsko-kaukaskich, goto-dackich, celtyckich i t. p. wyświetlających nasze pochodzenie, nad któremi naprożno wysilało sobie umysł tylu znakomitych ludzi w przeciągu przeszło całego stulecia. Że te wysiłki i dociekania istotnie były próżne, o tém dostatecznie przekonał nas autor. Lecz zechciejmy się zastanowić, jakie one miały znaczenie. Aby sobie zdać z tego dokładną sprawę, warto jest zwrócić uwagę na końcowe ustępy jego dzieła. Po przesileniu, jakie nastąpiło przeważnie skutkiem odkrycia fałszerstwa Hanki, wychodzi na świat jeszcze jedna hypoteza lechicka, z którą autor polemizuje co prawda, ale któréj nie szczędzi pochwał. Jestto hypoteza najazdu prof. Piekosińskiego. I cóż się okazuje, oto, że nie samą kwestyę, tylko metodę jéj opracowania zwalczył sz. autor. Chcąc zrozumiéć rzecz jakąś, zazwyczaj staramy się poznać jéj genezę. W badaniach nad dziejami narodów, już proste umysły kronikarzy współczesnych stawiały sobie te kwestyę w formie określenia pochodzenia pewnego narodu. O ile pierwsi z nich wiązali te kwestye po największéj części z podaniami Biblii, o tyle późniejsi uciekali się do kronik i pisarzy rzymskich, greckich albo późniejszych bizantyjskich. Oczywista, ich konstrukcye lingwistyczne nie miały żadnego znaczenia naukowego. Ale rzecz szczególniejsza, i późniéj, bo aż do ostatnich czasów, metoda filologiczna, któréj z mniejszą lub większą znajomością imali się uczeni autorowie wszystkich rozebranych powyżéj przez sz. prof. Małeckiego hipotez, okazuje się zawodną. Kwestya genezy społeczeństwa polskiego, obchodząca wszystkich pomienionych badaczów, pozostała jak była. Natomiast dziś owo badanie bez pomocy studyów etnograficznych, porównawczych i socyologicznych przeprowadzić się nie da. Dziś nie jeden wyraz, nazwa, lecz ogólne wiadomości, jakie posiadamy o danych szczepach, naprzykład o ich zwyczajach, kulturze, organizacyi społecznéj, wojskowéj, politycznéj mogą dostarczyć probierza dla

zbliżenia i wyprowadzenia ich wzajemnego do siebie stosunku. Otóż jedną z teoryi, tłomaczących kwestyę genezy społeczeństwa polskiego a zwłaszcza genezy dwóch warstw (ludu i szlachty) na podstawie różnicy nazw (Polacy i Lechici) poddał prof. Małecki gruntownemu rozbiorowi i przy pomocy krytyki filologicznéj i źródłowo-historycznéj zdaje się raz na zawsze obalił. Lecz jądro kwestyi, geneza społeczeństwa polskiego pozostanie dla badaczy długo jeszcze nie przenikniętém i pod tym względem kwestya ta już nie w formie lechityzmu musi być otwartą. Autor, który zresztą jest zwolennikiem poglądu, iż zarówno wyższe jak i niższe warstwy naszego społeczeństwa powstały z jednego i tego samego szczepu, jak to w innéj swéj pracy p. t. „Ludność wolna w księdze Henrykowskiéj" wykazuje, napomyka o tém w polemice, jaką z całém uznaniem dla argumentacyi przeciwnika toczy z przedstawicielem innego obozu, prof. Piekosińskim. Czy potrzeba również nadmieniać, że forma samego dzieła, styl, język, przewyższa najskrupulatniejsze wymagania i że przez to jeszcze bardziéj rzecz cała zaleca się szerokiemu ogółowi czytającéj publiczności. *Ad. S.*

Deutsche Einflüsse auf die Anfänge der slavischen Romantik. I. Deutsche Einflüsse auf die Anfänge der böhmischen Romantik. Mit einem Anhang: Kollár in Jena und beim Wartburgfest. Von dr. Matthias Murko. Graz. Verlagsbuchhandlung Styria, 1897, str. XII, 373.—Tegoż autora: Die ersten Schritte des russischen Romanes. Habilitations-Vortrag, gehalten an der... Universitat in Wien. Wiedeń, 1897, str. 21.

Badania porównawcze w dziedzinie literatury powszechnéj przechodziły już w ciągu stulecia bieżącego faz kilka: z początku poprzestawano na bardzo ogólnikowych jeno poglądach co do większéj lub mniejszéj zależności jednego pisarza od drugiego, albo jednéj literatury od innych; potém zajęto się wykazywaniem, jak pewne idee i pomysły wędrowały od jednego do drugiego narodu, mając na uwadze znowuż przeważnie cechy najbardziéj znamienne; następnie, wskutek rozspecyalizowania się poszukiwań piśmienniczych, zaczęto uprawiać gorliwie tak zwaną „policyę literacką" t. j. wyszukiwano starannie, czasami posuwając drobiazgowość aż do śmieszności, jakie wiersze czy jakie zwroty lub wyrazy przejął dany poeta od innych dawnych i spółczesnych.

Ta trzecia faza trwała bardzo długo, bo przez ostatnie lat kilkadziesiąt. Nie przecząc jéj bynajmniéj prawa bytu — jak wogóle specyalności wszelkiéj — trzeba jednak zauważyć, że poszukiwacze podobieństwa w wyrazach, zwrotach, przenośniach nieraz zapominali o rze-

czach ważniejszych, bo o myślach zasadniczych, wspólnych pewnym pisarzom, mogącym się różnić w sposobie ich formułowania, ba, mogącym nawet przybierać ton polemiczny względem kierunku, któremu w gruncie przecież hołdują.

To też w najnowszych czasach przejawia się dążność, przypominająca fazy dawniejsze w rozwoju badań porównawczych. Nie tyle chodzi tu o ową „policyą literacką,“ ile o idee i kierunki. Naturalnie wszakże powtórzeniem prostem faz dawniejszych dążność ta nie jest; wyróżnia się od nich szczegółowszym, specyalniejszym charakterem; skorzystała bowiem z prac i wywodów drobiazgowych, ażeby na ich podstawie wyprowadzać wnioski nie ogólnikowe tylko, ale docierające zarówno do rzeczy głównych jak i podrzędnych.

Jednym z przedstawicieli tego nowego zwrotu w zakresie literatur słowiańskich jest dr. Maciéj Murko, Słoweniec rodem, piszący po słoweńsku, po czesku i po niemiecku. Oddawał się on z początku lingwistyce oraz filologii słowiańskiéj i niemieckiéj z epok dawniejszych. Dojrzałym wynikiem studyów uniwersyteckich w tym kierunku była nadzwyczaj starannie i sumiennie obrobiona „Historya o siedmiu mędrcach u Słowian”, ogłoszona w języku niemieckim roku 1890, o czém „Ateneum“ podało w swoim czasie dość obszerną wiadomość.

Od literatury starszéj zwrócił się następnie dr. Murko do nowszéj i zamierzając się habilitować na docenta slawistyki w uniwersytecie wiedeńskim, chciał wykazać w monografii o poecie słoweńskim Stanku Vrazie wpływy wywarte nań przez poezyę niemiecką. Ponieważ jednak musiały być także przedstawione wpływy p o ś r e d n i e, które u Słowian południowych w wielu wypadkach są nawet ważniejsze od b e z - p o ś r e d n i c h, tak że Vraz nie mógłby być należycie zrozumiany i oceniony bez zestawienia go z pisarzami czeskimi: Hanką, Czelakovskim, Szafarzykiem, Kollarem i Erbenem, miał przeto dr. Murko we wstępie wykryć wpływy niemieckie na początki romantyzmu u Czechów, Polaków i Rosyan. Tymczasem wstęp ten tak się rozrósł, że jedna tylko jego cząstka, a mianowicie przedstawienie wpływów niemieckich na początki romantyki czeskiéj wytworzyło osobną, sporą książkę, któréj tytuł podałem na czele.

Książka to z wielu względów ciekawa i ważna. Tak zwane „odrodzenie czeskie” w początkach XIX stulecia było bardzo długo przedstawiane jako przebudzenie się ducha narodowego, świadomie dążącego do otrząśnięcia się z wpływów cudzoziemskich, a przedewszystkiém niemieckich. Dopóki autentyczność t. zw. „odkryć” literackich: rękopisów królodworskiego i zielonogórskiego (Sądu Libuszy) uchodziła

jeszcze za dogmat, to sądzono, że odkrycia te, w których wrogie usposobienie względem Niemców przejawiło się silnie wraz z nawoływaniem do życia czysto narodowego; wywarły bezpośrednio i natychmiastowo wpływ stanowczy na rozwój nowéj literatury czeskiéj i nie myślano nawet o doszukiwaniu się wpływów jakichkolwiek innych. Odkąd jednak sławne te odkrycia, co tyle w Europie całéj narobiły hałasu, okazały się falsyfikatami; odkąd mianowicie taki na nie pogląd przyjęty został przez młodsze pokolenie uczonych i literatów, zapatrujących się na piśmiennictwo ojczyste krytycznie; odtąd naturalną stało się rzeczą dochodzenie, skąd czerpali idee swe pisarze czescy z doby odrodzenia. I okazało się, że czerpali je od Niemców. Gdy w tym kierunku zaczęły się rozszerzać badania, nie trudno było wpaść w przesadę wprost przeciwną dawniejszéj i widzieć wszędzie same tylko oddziaływania niemieckie.

I dr. Murko nie jest wolny od téj przesady. Wprawdzie pisał wyłącznie i jedynie o „wpływach niemieckich" na początki romantyki czeskiéj, a więc nie był obowiązany wykazywać ani wpływów innych, ani téż dowodów samodzielności pisarzy czeskich; w każdym jednak razie nie zawsze pamiętał o bardzo trafnéj uwadze A. Sterna, przytoczonéj przez siebie w przedmowie do swego dzieła. Stern mianowicie robi spostrzeżenie, że „pomimo żywotnéj rozmaitości w poszczególnych formach przejawów ludzkość europejska i w XIX wieku tworzy społeczeństwo, oddychające w téj saméj atmosferze idei politycznych, gospodarczych, artystycznych i naukowych." To jest najwłaściwszy i najprawdziwszy punkt wyjścia przy ocenie zjawisk wszelkiego rodzaju w życiu narodów europejskich, a zatém i w ich działalności literackiéj. Dr. Murko, chociaż sam zaznaczył taki punkt wyjścia, odstępował od niego dość często w ciągu pisania swéj książki.

I tak, natrafiwszy bardzo liczne i bardzo wyraźne ślady wpływu idei Herdera zarówno co do charakterystyki Słowian w przeszłości, jak i co do ich rozwoju w przyszłości, zarówno w zamiłowaniu i wysławianiu uczuć prostych i łagodnych, jak we wstręcie do wszelkiéj niesprawiedliwości, ucisku, chce już wszędzie widzieć bezpośrednie oddziaływania pism zacnego pastora niemieckiego, gdzie tylko o podobnych myślach czy uczuciach jest mowa.

Podobnie, uwielbienie dla przeszłości i jéj idealizowanie, jakie dostrzegł u romantyków niemieckich, nie zrodziło się, zdaniem d-ra Murki, wśród Czechów samorzutnie lub też pod innymi wpływami, ale zawdzięczało swe powstanie i rozwój—Niemcom. Mniejsza o to, że romantycy niemieccy byli przedewszystkiém entuzyastycznymi bałwochwalcami wieków średnich i związanego z niemi rycerstwa, które Sło-

wianom przedstawiało się jako coś obcego; mniejsza o to, że tęskne westchnienia posyłane ku czasom sędziwéj starożytności i uważanie ich za złotą, niemal rajską dobę życia miało swe źródło w dziełach Roussa i w pieśniach Ossyana; mniejsza o to, że badanie dziejów minionych i to właśnie najdawniejszych rozpoczęło się u wielu Słowian wówczas, kiedy haseł romantycznych nie wygłoszono jeszcze (Jan Potocki); autor nasz, chociaż wié o tém wszystkiém, chociaż nawet tu i owdzie zaznacza różnice zachodzące pomiędzy poglądami na przeszłość w pismach romantyków niemieckich i pisarzów czeskich, mimo to zwrot nie tylko poetyczny, ale i badawczy ku wiekom ubiegłym, a mianowicie wiekom sławy narodowéj jako wynik wpływu romantyki niemieckiéj przedstawić usiluje.

I tak np. mówiąc o działalności historyka Palackiego, powiada: „R o m a n t y c z n e g o ducha narodowego n a t u r a l n i e braknąć nie mogło w częściach dzieła, dawniéj napisanych. Znajdujemy tam wysławianie anarchii starosłowiańskiéj jako demokracyi z zasadami rewolucyi francuskiéj (!), entuzyastyczny obraz patryarchalnych zwyczajów i obyczajów Słowian starożytnych oraz gęsto zaludniony Olimp słowiański, wielce spokrewniony z indyjskim, co zresztą krytyczny Palacky dość sceptycznie traktował. Że dzieło nie sięgnęło poza rok 1526, objaśnia to Polacky nie tylko wiekiem swoim, ale także samym charakterem pracy i pożytkiem narodu; mianowicie że z nowymi czasy nie mógłby się był uporać, gdy mu dla dawnych wiele nowego przybywało materyału, który nanowo należało opracować. Nie pomylimy się jednak, utrzymując, że mu dla czasów dawniejszych t. j. dla dziejów samoistnego państwa czeskiego, właśnie z tego powodu tak dużo materyału zebrano nanowo, że zarówno on jak i jego spółcześnicy, co mu w gromadzeniu i obrobieniu materyałów pomagali, mieli szczególne do owych czasów zamiłowanie i j a k o r o m a n t y c y m i e ć m u s i e l i. To téż widzimy zarówno u Czechów, jak u Polaków i Słowian południowych, zwłaszcza Chorwatów, jeszcze w dobie najnowszéj owo romantyczne uciekanie do sędziwéj starożytności i w czasy samoistnych dziejów narodowych, a natomiast zadziwiające zaniedbanie czasów nowszych, chociaż te właśnie byłyby nieraz daleko ważniejsze dla celów narodowych i politycznych" (str. 123).

Któż z patrzących na rzeczy bezstronnie nie przyzna, że cały wywód powyższy jest naciągany? Toż uwielbienie dla czasów minionych jest cechą każdego stulecia czy nawet pólstulecia i nie potrzeba do tego wpływu romantyzmu, bo każde starzejące się i do działania niezdolne już pokolenie ma skłonność do przeceniania wszystkiego, co

było dawniéj, kiedy było młode. A co się odnosi do pokoleń, odnosi się także do tych, co przywykli ogarniać okiem całe stulecia. Powtóre zamiłowanie w czasach samoistności narodowéj jest rzeczą tak zrozumiałą, że jéj tłomaczyć romantyzmem również nie potrzeba. Nie to bowiem jest zasadniczą cechą romantyzmu, iż wielbił przeszłość wogóle, ale to, że z téj przeszłości wydobywał pewne instytucye, pewne zwyczaje lub usposobienia, które darzył szczególną swoją sympatyą (rycerstwo, ustrój feudalny, kult kobiét, religia katolicka, mistycyzm i t. p.). Potrzecie, badanie raczéj dawnych wieków niż nowszych wynikło rzeczywiście z wydobycia na jaw mnóstwa materyałów nieznanych, rzucających nowe światło na wiele wypadków i stosunków. Nowe te materyały domagały się obrobienia i pociągnęły ku sobie wielu badaczów. I tu również jakiś wpływ specyalny romantyki niemieckiéj nie może być uważany za decydujący.

Poprzestaję na tych uwagach, które miały na celu wskazać, jak obrany temat uniósł rozważnego i bystrego badacza, lecz bynajmniéj nie zamierzały obniżać wartości dzieła, świadczącego i o wielkiém oczytaniu i o niepospolitéj zdolności krytycznéj.

Przechodzę do zaznajomienia z treścią książki. Dzieli się ona na dziesięć rozdziałów i przeprowadza rozważanie wpływów niemieckich na ruch literacki wśród Czechów, poczynając od pierwszych przejawów czysto naukowych, a kończąc na kongresie słowiańskim w Pradze r. 1848.

Rozdział wstępny pozostał widocznie z dawniejszego planu dzieła, kiedy autor pragnął zobrazować wpływy niemieckie na literaturę słowiańską wogóle. Mowa tu jest bowiem o pierwszych odbiciach romantyki niemieckiéj u Słowian południowych. W sposób trochę suchy zebrał tu dr. Murko ślady zajmowania się sprawami słowiańskiemi w pismach, z początku po niemiecku, a potém w językach krajowych wydawanemi. Uwydatnia autor znaczenie Wiednia, najprzód dla romantyki niemieckiéj, a potém i dla usiłowań Słowian w kierunku narodowym. Przypomina, że jeden z wodzów romantyki niemieckiéj, Fryderyk Schlegel właśnie w Wiedniu był współpracownikiem pisma „Der österreichische Beobachter", że tu założył najobszerniejsze czasopismo romantyczne: „Deutsches Museum" (1812 — 1813), którego program przejęły następnie „Wiener allgemeine Literaturzeitung" (1813 —1816) i „Wiener Jahrbücher der Literatur" (od r. 1818). Uwydatnia, że zarówno w odczytach wiedeńskich Augusta Wilhelma Schlegla, jak i w artykułach jego brata Fryderyka mogli znaléźć Słowianie teoretyczne uzasadnienie swoich dążności narodowych. Przytacza mianowicie z pism Fryderyka ustępy, domagające się jaknajszérszego uwzględ-

nienia praw języka ojczystego. „Każdy naród znaczny i samodzielny— mówił tu między innémi — ma, że tak powiem, prawo do tego, by posiadać własną i sobie właściwą literaturę, a najsroższém jest to barbarzyństwo, które mowę pewnego ludu i kraju chce zgnieść albo wykluczyć od wszelkiego wyższego ukształcenia; jest téż przesądem, gdy się zaniedbane lub nieznane języki uważa za niezdatne do wyższego udoskonalenia." Prócz tego dr. Murko kładzie nacisk na to, że wśród owoczesnych Niemców austryackich kwitnął rozległy patryotyzm prowincyonalny i lokalny, że poeci, używający różnych narzeczy, doznawali wtedy powodzenia, a historycy rozmaitych kraików cieszyli się uznaniem. Wszystkie te i inne okoliczności, jakie autor wymienia, nie pozostały bez wpływu na Słowian południowych; widać to z zakładanych od r. 1810 stowarzyszeń słowiańskich i czasopism, wydawanych najprzód po niemiecku, potém w językach krajowych. Uwydatnia wielkie znaczenie Kopitara w rozbudzeniu życia literackiego wśród Słowian południowych.

Od rozdziału drugiego przechodzi dr. Murko do literatury czeskiéj i opowiada po kolei: o wskrzeszeniu języka i piśmiennictwa czeskiego, wysławiając zasługi Józefa Dobrovskiego, o działalności Jungmana w zakresie językoznawstwa, estetyki i metryki, o pierwszych czasopismach romantycznych w języku czeskim, wydawanych przez Hromadkę (Vidensḱé Noviny 1812 — 1816; Prvotiny pěkných uměni 1813—1817), o Wacławie Hance i związanych z jego imieniem „udatnych falsyfikatach" Królodworskim i Zielonogórskim rękopiśmie, o założeniu muzeum czeskiego i o pierwszém czasopiśmie naukowém czeskiém p. n. „Krok," które autor zestawia z wydawaniem przez słynnego fantastę filozofa natury, Okena, czasopismem niemieckiem „Isis." Obejmował „Krok" wszystkie nauki programem swoim.

Przechodząc do poezyi, dr. Murko w 6-ym rozdz. swéj pracy wylicza dość znaczny poczet wierszopisów, którzy bezpośrednio po r. 1820 wystąpili na widowni literackiéj, oraz szereg noworoczników czyli almanachów,ześrodkowujących w sobie natenczas ruch poetycki. Pomijam nazwiska i szczegóły, by natomiast zaznaczyć ogólne spostrzeżenie autora, odnoszące się do całego owego ruchu. Ta grupa poetów, którą powszechnie dotąd narodową albo patryotyczną nazywano, właściwiéj zdaniem dr. M. powinna być poczytywana za romantyczną, zależną od Niemców, a mianowicie od Goethego i młodszéj romantyki niemieckiéj. „Wielkie dzieło romantyki czeskiéj—powiada on—zajęcie się pieśnią ludową i jéj naśladowanie w treści i formie więcéj niż co innego należy odnieść do wzorów niemieckich, a nowsza literatura czeska właściwie tam się zagnieździła, gdzie niemiecka liryka wieku

XIX wyszła poza Schillera i Goethego." Ażeby dowiéść prawdy swego twierdzenia, autor obala przedewszystkiém dawniéj ustalone mniemanie, jakoby nowsza liryka i epika czeska rozwinęła się pod wpływem rękopismu Królodworskiego. Następnie zaś w szczegółowym rozbiorze utworów najznakomitszego ówczesnego poety Czelakovskiego, wskazuje bardzo wyraźne wpływy niemieckie tam nawet, gdzie napozór mowy o nich być-by nie mogło. Rzecz o Czelakovskim jest obrobiona starannie i czyta się z zajęciem; dodać tylko potrzeba, że dr. M. zajęty wykazywaniem wpływów niemieckich, o innych wzmiankuje jeno pobieżnie.

Mniéj zadawalnia krótki rozdział o Franciszku Palackim, jako historyku narodowym, organizatorze pracy narodowéj i polityku. Jest to najsłabsza bodaj część pracy d-ra Murko. Natomiast w przedstawieniu działalności Szafarzyka, jako starożytnika, filologa, lingwisty i najznakomitszego reprezentanta „panslawizmu naukowego" znalazł się autor we właściwym sobie żywiole i z prawdziwém zamiłowaniem nakréślił obraz rozległéj i wpływowéj pracy tego męża.

Najobszerniéj atoli, najszczegółowiéj i może najkrytyczniéj przedstawił autor życie i działalność Jana Kollara, jako poety i „filozoficznego założyciela" panslawizmu literackiego. Opowiedziawszy dzieje wykształcenia jego, wpływ profesorów uniwersyteckich w Jenie, a zwłaszcza Friesa, który obudził w nim uwielbienie dla nauki braci czeskich, a daléj wpływ ówczesnych stowarzyszeń studenckich i pamiętnéj uroczystości Wartburskiéj, przeprowadza autor szczegółowe dowody na to, że w poezyi Kollar prawie nic nie wziął bezpośrednio z pieśni ludowych słowiańskich, lecz parafrazował głównie myśli Herdera o słowiańszczyznie. Ponieważ to dowodzenie uważa za własność swoją, więc wyjątkowo przytoczywszy obszerny, a znany i u nas dość dobrze ustęp z dzieła Herdera o Słowianach, umieszcza w przypiskach odpowiednie miejsca z „Córy Sławy" Kollara. Może nie wszystkie zestawienia nazwać-by się dało zupełnie przekonywającemi; może dążność do wykazania podobieństwa zaprowadziła autora zadaleko; ale przyznać potrzeba, że są tu i takie znamienne szczegóły, których inaczéj jak zapożyczeniem się Kollara u Herdera wyjaśnić niepodobna. Oto np. w wyliczaniu narodów słowiańskich nie idzie poeta czeski za pisarzem niemieckim krok w krok, ale wspomnienie Muldy dowodzi stanowczo, że jego utwór miał przed oczyma; „bo któryż Słowianin wié cokolwiek o rzeczce, wpadającéj pod Dessau do Elby z lewéj jéj strony?.." W dalszym rozbiorze wpływów Herdera na Kollara, autor szczegółowo przechodzi znamienne idee pierwszego i ich odbicia w pismach drugiego.

Najbardziéj tu interesującém jest pojęcie patryotyzmu. Jak u Herdera tak i u Kollara nie tyle jest ono związane z krajem danym, ile z pokrewieństwem wewnętrznéni. Patryotą jest ten, co cały naród nosi w sercu; stąd rozszerza Kollar znaczenie wyrazu czeskiego *vlastenec*, znaczącego właściwie krajowiec, i woła: „Świętego imienia ojczyzny nie powinniśmy nadawać krajowi, w którym mieszkamy!" — to znowu: „Cóż ma człowiek kochać więcéj: małą, martwą, bezduszną ojczyznę czy też wielki, żywotny i rozumem obdarzony naród?" Przypomina to już zupełnie—jak mówi dr. Murko—Herderowskie „widmo ojczyzny" (*Phantom von Vaterland*). Gdy zauważymy, że Kollar z pochodzenia należał do szczupłego liczbą i ubogiego mieniem plemienia Słowaków, to nie trudno nam będzie zrozumiéć, iż chętnie przyjął doktrynę Herdera co do ojczyzny duchowéj — wszechsłowiańskiéj. Wprawdzie powtarzał on za Herderem, że tylko w mowie rodzinnéj tworzyć można poezye; wprawdzie żądał on, tak samo jak romantycy, ducha narodowego w literaturze; ale jego duch wszechsłowiański (duch všeslavosti) wprowadził pomiędzy Słowaków „kosmopolityczny panslawizm", który w Czechach wywołał natenczas odpór, wyrażony wymownemi słowy Chmelenskiego. Kollar domagał się wspólnéj literatury słowiańskiéj, którąby rozszerzając swój zakres mogła się pozbyć jednostronnego charakteru a przybrać wielki, wzniosły, czysto ludzki.

Godném też uwagi jest dowodzenie autora, że Kollar tak samo jak Herder bardzo mało przejął z pieśni ludowéj, chociaż był jéj entuzyastycznym wielbicielem. Ślady wpływu pieśni ludowych w poezyach Kollara dostrzega dr. Murko zaledwie w niektórych obrazkach przyrody. Zjawisko to tém objaśnia, że kiedy Kollar tworzył prawdziwie poetyczne sonety swoje, mało jeszcze wiedział o liryce swoich Słowaków i innych ludów słowiańskich, później zaś natchnienie go opuściło. Zresztą poeta czeski, jak się zdaje, nie uświadomił sobie ważności naśladowania pieśni ludowéj, gdyż w drugiém wydaniu swoich „Narodnié Zpievanky" wyrzucił znamienne wycieczki przeciwko romantyzmowi, zawarte w pierwszem, i poprzestał na tém jedynie spostrzeżeniu, że miłośnicy poezyi artystycznéj i rozkoszy estetycznych mogą często w pieśniach ludowych znaléźć karm zdrowszą niż w „parnaskich wulkanach" owoczesnych. Z dawniejszéj swéj pochwały pieśni słowiańskich powtórzył on tam tylko następną uwagę: „Tu wszystko jest czyste, jasne, naturalne, proste, samorzutne i lekkie; tu pieśni nie są robione, ale rosną jak kwiaty na łąkach."

W rozbiorze głośnego dziełka Kollara, napisanego po niemiecku o „literackiéj wzajemności słowiańskiéj" (*Ueber die literarische Wechselseitigkeit zwischen den verschiedenen Stämmen und Mundarten*

der slavischen Nation, 1837) wykazuje dr. Murko kruchość podstaw, na których poeta-fantasta budował swój gmach wszechsłowiański, chociaż przyznaje, iż dalekim był od pomysłu zamalgamowania wszystkich języków słowiańskich w jakąś dziwaczną całość. Kollar żądał od każdego Słowianina, stojącego „na pierwszym stopniu rozwoju", znajomości czterech głównych „narzeczy", t. j. rosyjskiego, ilirskiego, polskiego i czesko-słowackiego. Ukształceńsi i uczeńsi powinni już znać wszystkie narzecza i podnarzecza; a Słowianin „trzeciéj klasy", t. j. fachowiec, powinien być nietylko doskonałym slawistą, ale także mieć świadomość języka ludów bliżéj lub daléj spokrewnionych, jako to: Łotyszów, Litwinów, Wołochów, Albańczyków, Nowogreków i t. d. Wszyscy Słowianie mają się uważać za braci jednéj wielkiéj rodziny i utworzyć sobie literaturę wszechsłowiańską, zakładając słowiańskie biblioteki we wszystkich miastach głównych Słowiańszczyzny, katedry wszystkich narzeczy, ogólną słowiańską gazetę literacką we wszystkich narzeczach i t. p. Literatura i poezya powinny wśród Słowian wytworzyć się samoistnie i stać się czysto słowiańską, każda bowiem z obcego gruntu wzięta kultura oddziela naród od jego przeszłości, jest powierzchowna i nie może sprowadzić wspaniałéj, trwałéj przyszłości.

Mówiąc to wszystko, miał Kollar ciągle na myśli porównanie z Niemcami, którzy pomimo różnic państwowych i dyalektycznych mieli przecież jednę wspólną literaturę. W tém złudném przekonaniu, że zachodzi tu nadzwyczajne podobieństwo, jeżeli nie tożsamość, chciał Kollar w imię narodowego charakteru słowiańskiego narzucić nawet Polakom i Rosyanom, których język nie posiada długich samogłosek, metrykę iloczasową; nie rozumiał też tego, że np. Mickiewicz lub Puszkin z powodu trudności językowych, oraz ze względów kulturalnych, historycznych i politycznych nie mogli się stać poetami narodowymi wszystkich Słowian, jakiemi są Schiller i Goethe dla wszystkich Niemców, rozproszonych po całym świecie. A sam przecież Kollar własnym tego dowodził przykładem, gdyż obu największych poetów słowiańskich znał mało, albo ich zgoła nie rozumiał, gdyż mu się wydawali nie dosyć słowiańskimi.

Dr. Murko roztrząsa również kazania Kollara i dostrzega w nich także wielki wpływ Herdera. Tak samo, jak pastor niemiecki, żądał i pastor słowacki, żeby kazania były zastosowane do potrzeb i stopnia wykształcenia ludu, a więc żeby nie miały charakteru dogmatycznego i uczonego. I Kollar, jak Herder, czerpał tylko z biblii i był przeciwny metafizyce. W kazaniach jego znajdujemy też Herderowską ideę o udoskonaleniu i wychowaniu rodu ludzkiego, gdy np. mówi: „Bóg ten ma

cel względem ludzkości na ziemi, by ją tu wychować i do wieczności przygotować, lecz ludzkość składa się z ludów, to też Bóg wychowuje ją przez ludy i ich losy."

W końcowym rozdziale streszcza autor zasługi romantyki czeskiéj, nazywając je wspaniałemi (*grossartig*). Przywołała ona napowrót język czeski z chat wieśniaczych i dawnych pisarzy i uczyniła go zdatnym do użytku nowożytnéj cywilizacyi, częściowo przy pomocy języka polskiego i rosyjskiego. Zwróciła baczną uwagę na pieśni, podania, baśnie i przysłowia ludowe, które stały się nietylko silną podporą dla nowo podrastającéj literatury, ale wytworzyły także jéj ważną część składową. Przyczyniła się bardzo znacznie do zwycięstwa idei prawdziwie demokratycznych. Rozbudziła zamiłowanie do nauki, a zwłaszcza do historyi. Postawiła za przykładem Herdera i całéj zresztą literatury niemieckiéj z końca XVIII wieku — ideał człowieczeństwa z zachowaniem praw narodowościowych i poczucia się cząstek do łączności z całością.

Główną zaś wadę romantyki czeskiéj upatruje dr. Murko w tém, że uwielbienie dla wszystkiego, co ludowe, przybrało tu formy naiwne i z siebie zadowolone, a stąd wywoływało stagnacyą umysłową, zwłaszcza że owa ludowość wskutek teoryi panslawistycznych, które się opiérały na wielkiéj nieznajomości rzeczywistego świata słowiańskiego, częstokroć stawała się czémś mglistém.

Obrazem zjazdu słowiańskiego w Pradze czeskiéj od 2 do 12-go czerwca 1848 roku kończy autor swą pracę: dołączając w dodatku przetlómaczony na niemieckie wyciąg z pamiętników Kollara, opisujący pobyt jego w Jenie na studyach uniwersyteckich.

Drugie pismo d-ra Murki: „Pierwsze kroki romansu rosyjskiego" jest to odczyt habilitacyjny, miany na wydziale filozoficznym uniwersytetu wiedeńskiego. Wspomniawszy o wielkiém zainteresowaniu, jakie obudziła na zachodzie nowożytna powieść rosyjska, zadaje sobie autor pytanie, kiedy to i w jaki sposób zachodnio-europejska literatura powieściowa znalazła dostęp do Rosyi. W odpowiedzi na tak postawione pytanie, dr. Murko zaznacza, że w tym względzie nie potrzeba się zapuszczać w zbyt odległą przeszłość, gdyż w Moskwie dopiéro w drugiéj połowie XVII stulecia wpływ téj literatury za pośrednictwem Polski widocznym się staje; a w W. Ks. Litewskiém (na Białéj Rusi) można o tym wpływie mówić, poczynając od wieku XVI.

Zdziwienie, a nawet zdumienie ogarnia nas, gdy się przyjrzymy trudnościom, z jakiemi połączone było przejęcie treści i formy. Początkowo właściwie nawet nie tłómaczono owych powiastek zachodnio-europejskich z polskiego, tylko łacińskie litery zamieniano na cyrylic-

kie, dokonywając przetwarzania jeno czysto dźwiękowego, tak że przytém znaczenie wielu ustępów, a nawet całych opowiadań (str. 12) zupełnie ginęło. Późniejsi przepisywacze starali się tekst ulepszyć, coraz bardziéj go rusyfikując; ale nawet w tych rękopismach, które już powstały na gruncie wielkorosyjskim, ślady pochodzenia polskiego nigdy się nie zatarły. I tak, gdy w pierwotnym tekście znajdował się wyraz polski niezrozumiały, przepisywacze późniejsi dodawali mu objaśnienia, ale go nie usuwali całkowicie, tak że to samo pojęcie kilkoma nieraz słowy było oznaczone. Tak np. g o n e b n a j a (haniebna) smert' pierwotnego niby—tłómacza, w późniejszych odpisach pojawia się jako g o n e b n a j a, p o z o r n a j a, n a p r a s n a j a i z ł a j a. Często przekręcone imiona własne powstają z takich objaśnień; w najpopularniejszéj np. powiastce „Bowá" znajduje się miasto Kostel, które powstało z „kasztelu" i początkowo było nawet objaśnione wyrazem: z a m o k.

Wbrew mniemaniu kilku znawców omawianego tu przedmiotu, dr. Murko utrzymuje, że wszystkie odpisy (dość liczne) różnych powiastek europejskich z j e d n e g o tylko pierwotnego źródła wypłynęły. Raz przetłómaczony z polskiego zabytek, nie znajdował już drugiego tłómacza, tylko ulegał coraz to nowym przeróbkom.

Przy końcu swego odczytu zwraca autor uwagę na to, że nie powinno się lekceważyć tych słabiutkich początków beletrystyki, z których można wiele wniosków o życiu umysłowém przeszłości wyciągnąć. „Jakżeż wdzięczną — powiada — powinna być historya porównawcza literatury slawistom, kiedy ci dowiodą np. że powieść o Apoloniuszu z Tyru dość jest śledzić aż do czasu, kiedy się dostala Czechom, gdyż do Polski i Rosyi doszla ona tylko w opracowaniu czeskiém." Témbardziéj poszukiwania podobne mogą oddać wielkie usługi zarówno dziejopisom poszczególnych literatur słowiańskich, jako téż i tym, którzy je porównawczo traktować zechcą.

O stylu d-ra Murki nie można powiedzieć, żeby się odznaczał wielkiemi zaletami; jest on przedewszystkiém ciężki, nie płynie swobodnie i gładko, nie posiada giętkości i barwności. To też wykład autora może nieraz znużyć czytelnika. Jest to jednak rzecz do poprawienia w przyszłości; a tak sumienny, gorliwy i rzutki badacz, jak dr. Murko, nie zaniedba zapewne popracować nad wysłowieniem, by i stroną zewnętrzną uczynić zadość dzisiejszym wymaganiom, chcącym widzieć artyzm i w pracach historyczno-literackich.

Piotr Chmielowski.

Guhl i Konner. „Hellada i Roma“, przekład Stanisława Mieczyńskiego. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1896. dwa tomy, str. 486 i 395.

Nie mogło w lepszą porę trafić do nas dzieło pp. Guhla i Konera, — przynajmniéj pierwsza jego połowa, poświęcona Grecyi. Obudzone w początkach bieżącego roku wypadkami wschodniemi współczucie dla obecnych losów narodu, zajmującego nieskończenie więcéj miejsca w dziejach, niż na ziemi — że tu użyjemy odwróconego o Słowianach orzeczenia Herdera, — potężnie wzmaga zachętę do wejrzenia w przeszłość promiennéj ojczyzny Homera, Platona, Fidyasza, Herodota i tylu innych wielkich imion, jaśniejących nad kolébką oświaty nowoczesnéj. Dwutomowa praca, przyswojona obecnie piśmiennictwu polskiemu przez p. Stanisława Mieczyńskiego, nie obejmuje wprawdzie całości wyobrażeń, jakie w nas wywołuje rozgłośne brzmienie imion: „Hellada!“ — „Roma!“ Jest to zaledwie cząstka olbrzymiéj spuścizny pierwotnego, staro-europejskiego świata; nie można jednak powiedzieć, żeby to była cząstka podrzędna, małoważna. Nie sama tylko moralna i umysłowa strona rozwoju w starożytności klasycznéj podziśdzień nas olśniewa i zachwyca; materyalna, widoma pozostałość wspaniałéj, wszechstronnéj działalności dwu społeczeństw przodujących pochodowi cywilizacyi wszechludzkiéj, również nie przestanie nigdy pociągać ku sobie wdzięcznéj, wzruszonéj uwagi pokoleń potomnych. Dom Temistokla, pracownia Archimeda, kołowrotek Penelopy, profil Cezara, świątynia Ateny, posąg Marka-Aureliusza—kogóż nie zaciekawią, czyjéj myśli nie podniosą?

Kompendyum pp. Guhla i Konera, opatrzone tysiącem zgórą mniejszych i większych wizerunków, naturalne i zdrowe to zaciekawienie zaspakaja w dostatniéj mierze, przesuwając przed naszemi oczyma realne, dotykalne szczątki życia, które — jak to z „pewną pociechą“ utrzymują autorowie — „po dzień dzisiejszy nie przestaje oddziaływać na duchowy rozwój ludzkości w sposób zapładniający.“ Nie trzeba tylko, naturalnie, żądać od kilku geometrycznych linii rysunku, wskazującego... *ubi Troia fuit*, albo też od suchego, martwego opisu odgrzebanéj z popiołów łazienki herkulańskiéj, aby nam w najdrobniejszym bodaj odsetku opłaciły zawód wyobraźni, wdrożonéj do szybowania szlakami majestatycznéj obrazowości Homera lub nastrojonéj do tonu słodkich pieśni Horacego. Najdokładniejsze podobizny tych mieczów i tarczy, tych dzid i rogów, nie zagrzmią ku nam z pewnością pobudką tyrtejową „Hej do boju młodzi! hej na mury starzy! bronić ojczystych progów i bogów ołtarzy!... A gdy nam śmierć sroga, wzrok

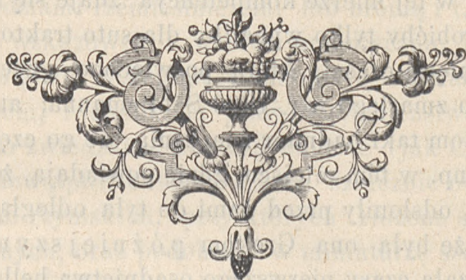
mgłą krwawą zmroczy, jeszcze i wtedy kopią mignicm wrogom w oczy!" Ani też z tych niebios na drzewie czy na cynku rytych, nie posypią się ku nam jowiszowe groźby „Przemian" Owidiusza: „I już miał gromy swoje rozrzucać na ziemię, — lecz z obawy, by pożar wszczęty od piorunów,—eteru nie ogarnął, nie spalił biegunów,—inną karą chce zniszczyć ziemian ród zuchwały: — chce, by z wszystkich chmur nieba dészcze razem lały..." Ale, jeżeli chcemy wiedzieć, jak bez żadnéj przenośni poetyckiéj wyglądają w Paryżu, przy bulwarze sewastopolskim, cieplice rzymskie Juliana Apostaty, lub jaki naprawdę kształt miały dzbany, z których Petroniusz Sienkiewicza swe troski zapijał, patrząc w ślépki Eunicy,—albo też, jeżeli nam pilno skonfrontować, czy „Gasnące słońce" Choińskiego prawidłowo odbija się w ozdobach, drogich sprzętach i tajemnicach toaletowych kurtyzany lub matrony rzymskiéj, — to nam w tym kierunku pp. Guhl i Koner nie poskąpią wskazówek cennych.

Naczelną zaletą dzieła jest jego faktyczność; wygląda ono jak zbiór sprawozdań reporterskich—w ścisłém, angielskiém znaczeniu reporterki dziennikarskiéj. Autorowie w relacyach swych, obejmujących architekturę i dekoracyę świątyń starożytnych, mieszkań, cyrków, gmachów publicznych, łuków tryumfalnych, użytek lub przeznaczenie sprzętów domowych, układ ogrodów, sposób trefienia włosów, posługiwania się narzędziami rzemieślniczemi lub bronią i t. d. — trzymają się najsumienniéj wskazówek i wzorów autentycznie dochowanych po dziśdzień i rzadko gdzie posługują się indukcyą dopełniającą, wnioskowaniem rozumowém, rachunkiem prawdopodobieństwa. Weźmy np. wojskowość. Kto zwiedzał muzea zagraniczne (jak Cluny w Paryżu), spostrzegł tam niewątpliwie spory szereg sztucznie odtworzonych taranów i działobitni rzymskich, przy których złożone są naturalne zabytki kul kamiennych, oraz podobizny w miniaturze szańców, okopów, twierdz dawnych, galijskich np., które Juliusz Cezar zdobywał lub sam wznosił. Wszystko to powstało ze studyów umiejętnych, z rachunku, z uplastycznienia rzeczy nie istniejących już w całości, lecz tylko w szczątkach rozrzuconych po rozmaitych miejscowościach. Pp. Guhl i Koner niechętnie posługują się tego rodzaju robotami; wolą oni jakiś pompejański drobiazg od zniszczenia ocalony, jakąś mozajkę sięgającą epoki Cezara, na któréj przedstawiony został (dość bezkształtnie najzwykléj, dziwacznie) szturm do murów obronnych, niżli uwydatnienie téj sceny świéżo dokonane na podstawie dokumentów i wymiarów. Unikają też w przeważającéj większości wypadków analogii, zestawienia, porównania, ustopniowania zdarzeń lub przedmiotów. Wszyscy znamy ten pewnik dziejowy, że Rzym, podbiwszy orężnie

Grecyę, sam przez nią podbity został cywilizacyjnie, — według sławnego orzeczenia: *Graecia capta ferum victorem cepit, et artes intulit agresti Latio.* O ilebyśmy jednak przebieg ciekawego tego zjawiska sprawdzić chcieli z pomocą monograficznych, do fetyszyzmu poniekąd kult szczegółu posuwających zaznaczeń pp. Guhla i Konera, musielibyśmy sami, na własną rękę podjąć się pracy grupowania odpowiednich podobieństw i różnic. W kilku miejscach autorowie ułatwiają nam poniekąd to zadanie, ale wówczas są do sknerstwa skąpi. W rozdziale np. o handlu greckim mamy kilkadziesiąt wierszy o pieniądzach, czyli monecie używanéj w Atenach i Rzymie (I, 437—441), — istny to drobiazg, najzupełniéj elementarnego znaczenia, jeśli go porównamy z rozległą i nad wyraz dla historyi ważną dziedziną poszukiwań numizmatycznych, oddawna a szeroko na zachodzie rozwiniętych. O zwięzłości wysłowienia w tym zakresie pp. Guhla i Konera dość nadmienić, że ciekawy dział t. zw. „fabrykatów" dostał odprawę w tych słowach: „Nad fałszowaniem monety przez cesarzów zastanawiać się obszerniéj nie możemy; zaznaczymy jeno, że pierwotny złoty *solidus* zamienił się we Włoszech i Francyi na zdawkową miedzianą monetę *soldo* lub *sou.*"

O specyalnéj, ściśle naukowéj wartości całego tego wydawnictwa, z niejaką przykrością wyznać muszę, że dla wypowiedzenia o tém zdania, nawet moja w téj mierze kompetencya zdaje się być wystarczającą... Wyjątek zrobićby tylko wypadło dla suto traktowanéj i na czoło „Hellady" wysuniętéj części, którą poświęcono „wiekopomnym" trudom i zdobyczom zmarłego w r. 1890 Schliemanna; autorowie przypisali tym zdobyczom taki nadmiar znaczenia, że go często nic a nic nie rozumiem,—jak np. w tém miejscu, gdzie powiadają, że schliemannowskie te odkrycia odsłoniły przed nami do tyla odległą epokę starożytności greckich, że była ona Grekom późniejszym „zupełnie nieznaną" (poprzedzała czasy pierwszego osadnictwa helleńskiego w Helladzie)... Jeżeli nie jest to błąd wysłowienia, w takim razie zażartowaćby wolno z owéj archeologii greckiéj przed narodzeniem się Grecyi... Co do reszty,—erudycya niemiecka słusznie cieszy się charakterystyką „sumiennéj, skrupulatnéj, lubo niekiedy za ciężkiéj, niestrawnéj." Pp. Guhl i Koner dobrze snadź o tém pamiętali, skrzętnie omijając szkopuły drugiéj połowy kwalifikacyi. Tekst ich dopasowuje się, o ile możności, szczelnie do materyału obrazkowego, ilustracyjnego, niby partycya—do muzyki. Ilekroć muzyka niezła, alboż przyjdzie komu na myśl wglądać zbytnio w dorobioną do niéj wierszowaną prozę? — Cele wyższe, głębsze, rzetelnie umiejętne, wszędzie dziś po-

woli ustępują przed widokami praktycznemi, w ten czy w inny sposób popularyzacyjnemi. Ktokolwiekby na jeden bodaj moment, zestawił tę „Helladę i Romę" z takim np. „Słownikiem starożytności greckich i rzymskich", wydawanym przed dwunastu laty we Francyi pod kierunkiem pr. Daremberga, — musiałby się zrzec wszelkiéj na tym punkcie dyskusyi. Ale, oczywiście — Zachód, to nie my. Nasze potrzeby badawcze uparcie dążą w ostatnich latach do poziomu pobieżności, o jakiéj niezadługo słychać już nie będzie... — może nawet u Łotyszów, u Czuchnów... Polskim wydawcom „Hellady i Romy" należy się uznanie — że i na to się odważyli. Koszt naprostszéj reprodukcyi artystycznéj jest tak na nasze siły znaczny, że trzeba sobie dobrze nałamać głowy nad pytaniem: gdzie, wśród jakich grup społecznych szukać pokrycia skromnych zaliczek na tłómaczenie i transport stereotypów... Uwzględniwszy tę okoliczność wyjątkową, pozostaje tylko jeszcze do zaznaczenia, że język przekładu polskiego prosty, jasny, terminologia nie przeciążona neologizmami, korekta staranna, papiér ładny, druk czysty, dobitny. *J. T. Hodi.*



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Wincenty Lutosławski.* **O pierwszych trzech tetralogiach dzieł Platona** (Kraków, 1896, str. 165). — Tegoż. **Sur une nouvelle méthode pour déterminer la chronologie des dialogues de Platon** (Paryż, 1896, str. 34). — Nowa praca polska p. Lutosławskiego stanowi trzeci ciąg dzieła na wielką skalę pomyślanego o logice Platona. Rozprawka francuska, którą autor czytał 16 maja 1896 r. w Instytucie francuskim na posiedzeniu Akademii nauk moralnych i politycznych, mieści w sobie wiadomości, podane we wstępie do pracy polskiéj, a prócz tego niektóre szczegóły natury osobistéj. Ponieważ kwestya metody w oznaczeniu chronologii pism Platona ma bardzo doniosłe znaczenie, musimy tu jéj poświęcić bliższą uwagę. P. Lutosławski podnosi mianowicie zasługę filologa szkockiego Lewisa Campbella, który pierwszy zaczął się gruntownie zastanawiać nad s t y l e m Platona, nad wyrazami i zwrotami przezeń używanemi, a przez mozolne zestawienia doszedł do nader ważnych wyników w sprawie ustalenia chronologicznego następstwa utworów greckiego filozofa-poety. Zaznaczywszy, że Platon odznaczał się nadzwyczajném bogactwem języka i nietylko w całéj pełni korzystał z obfitéj mowy greckiéj, ale też wcale nie krępował swéj twórczości brakami spółczesnego sobie słownika, urabiając mnóstwo nowych wyrazów, często nawet dla jednorazowego tylko użytku; Campbell zauważył, że właściwość ta uderza najbardziéj w najpóźniejszém i najobszerniejszém dziele twórcy ideologii, w „Prawach". Ponieważ zaś wiadomo było skądinąd, że dyalogi p. t. „Tymeusz" i „Krytyasz" były również dziełem podeszłego wieku Platona, więc filolog szkocki wziął wspomniane tu trzy utwory za podstawę porównawczego badania stylu platońskiego wogóle, twierdząc, że te, których

styl zbliża się do stylu owych trzech dzieł starości, zostały najprawdopodobniéj napisane późniéj od tych, których styl się różni od stylu owych trzech dyalogów. Campbell naliczył w „Tymeuszu", „Krytyaszu" i „Prawach" aż 1,492 wyrazy, których Platon po za tymi dyalogami wcale nie używa. „Autor, rozporządzający tak bogatym zasobem, że może użytek blisko 1½ tysiąca wyrazów ograniczyć do trzech pism, i obejść się bez tych samych wyrazów w innych swych dziełach, daje dowód tak nadzwyczajnéj oryginalności stylu, że przez to samo widać, jak nieuzasadnione były rozumowania Schaarschmidta, który dla kilku wyrażeń w „Sofiście i Polityku" użytych, a w innych dziełach Platona się nie zdarzających, chciał wątpić o autentyczności „Sofisty i Polityka". Już samo stwierdzenie, że każdy z późniejszych dyalogów zawiéra setki wyrazów nowych, ma wielką doniosłość dla kwestyi autentyczności dyalogów i uniemożebnia nadal powątpiewania oparte na argumentach podobnych do tych, które Saarschmidt podawał, a które za nim do dnia dzisiejszego wielu filologów, nie znających pracy Campbella, powtarza." Na tym wyniku nie poprzestał jednak Campbell i robił dalsze poszukiwania. Przekonał się, że dyalogi: „Sofista" i „Polityk", stosunkowo do swéj małéj objętości, zawiérają prawie taką samą ilość rzadkich wyrazów, jak i „Prawa", że zatém pod względem czasu napisania muszą być do nich zbliżone. W dalszym ciągu badań filolog szkocki zaczął obliczać ilość wyrazów wspólnych kilku dyalogom, a jednak o tyle rżadkich, że po za tą grupą dyalogów Platon ich nie używał. Okazało się, że jeżeli weźmiemy za podstawę porównania grupę pism uznanych za najpóźniejsze („Tymeusz", „Krytyasz", „Prawa"), to żadne dzieło Platona nie jest do téj grupy tak podobne jak „Polityk", lub téż „Sofista i Polityk", rozważane jako jedna całość. Równie zbliżonym jest „Fedr", a dopiéro po nim postawić można „Państwo" i „Teeteta". Podobieństwo „Fileba" do najpóźniejszych pism Platona na pozór jest mniejsze, ale w istocie okazuje się daleko większém, gdyż ilość rzadkich wyrazów, zdarzających się w „Filebie", „Tymeuszu", „Krytyaszu" i „Prawach", sztucznie się uszczupla przez pominięcie takich wyrazów, które oprócz tych czterech dyalogów zdarzają się jeszcze w „Sofiście i Polityku". Ponieważ Campbell rezultaty swych poszukiwań wyłożył nie dosyć przejrzyście, więc p. Lutosławski dla ich rozpowszechnienia przedstawił je w kształcie tablicy statystycznéj rzadkich wyrazów w dziełach Platona i tablicę tę w dodatkach do swojéj rozprawy polskiéj wydrukował. Chociaż poglądy Campbella były ogłoszone w r. 1867, żaden z uczonych znawców Platona z nimi się nie zapoznał, a więc nie mógł ich doniosłości ocenić. Zrobił to dopiéro nasz badacz. Niemcy tymczasem na włas-

ną rękę, ale dopiéro w 11 lat po pracach Campbella zaczęli się zastanawiać nad stylem filozofa greckiego. Pierwszy Roeper bardzo nieśmiało wystąpił ze swemi poszukiwaniami, dotyczącemi użycia liczby podwójnéj w pismach Platona. Potém pracowali nad stylem dyalogów: Dittenberger, Frederking, Hoefer, Schanz, Walbe, Siebeck, C. Ritter i in. P. Lutosławski, wykazawszy różnice zachodzące pomiędzy metodą Niemców a Campbella, dochodzi do przekonania, że jedna uzupełnia drugą, a „zupełna zgodność rezultatów, osiągniętych za pomocą tych dwóch metod nadaje wnioskom charakter niewątpliwéj pewności, jakiéj przedtém jeszcze żadna inna metoda określania chronologii dyalogów Platona nie osiągnęła.” Autor korzystał z obu metod, ale oprócz tego nie zaniedbywał dawniejszych, a ze swéj strony brał pod pilną uwagę rozwój teoryi logicznych Platona. Roztrząsnął w pracy obecnéj dwanaście dyalogów, ułożonych jeszcze w starożytności w trzy grupy, z których każda zawiéra cztery pisma (tetralogią). Trzy te tetralogie obejmują, zdaniem p. Lutosławskiego, najważniejsze dzieła Platona „pod względem logicznym”, więc pozwalają na „skuteczne zastosowanie metody polegającéj na porównaniu teoryi logicznych.” Dyalogi „dyalektyczne” dają klucz do rozstrzygnięcia kwestyi chronologii wszystkich innych, a wszystkie one należą właśnie do pierwszych trzech tetralogii. Po za temi tetralogiami tylko „Państwo”, „Tymeusz” i „Prawa” mają wielkie znaczenie logiczne; kto zatém usiłuje rozwiązać kwestyę chronologiczną głównie w celu zrozumienia logiki Platona, musi zacząć od rozbioru owych tetralogii. „Jeśli za pomocą porównania logicznych teoryi, w nich zawartych, przy wszechstronném uwzględnieniu innych proponowanych dotąd metod dojdziemy do niezachwianych wniosków, to określenie chronologiczne porządku dyalogów, stanowiących pierwsze trzy tetralogie, wielce uprości i ułatwi rozwiązanie ogólniejszego zadania, mianowicie określenia chronologicznego wszystkich dzieł Platona.” Autor słuszny kładzie nacisk na porównywanie logicznych teoryi — czego przed nim nikt na tę skalę nie stosował — „w żadnym bowiem dziale filozofii rozwój filozofa nie jest tak widocznym i łatwym do wskazania jak w logice, w żadnym też raz zdobyte prawdy nie bywają tak uparcie i niezmiennie utrzymywane.” Dyalogi, które p. L. wszechstronnie w książce swojéj rozbiéra, są: „Eutyfron”, „Apologia”, „Kryton”, „Fedon”, „Kratylos”, „Teetet”, „Sofista”, „Polityk”, „Parmenides”, „Fileb”, „Biesiada”, „Fedros”. Niepodobna tu streszczać wywodów autora; muszę więc zaznaczyć tylko, że wyniki z porównania teoryi logicznych okazały się zgodnemi z tém, co osiągnięto za pomocą innych metod, dowodząc, iż do najpóźniejszéj epoki piśmienniczéj działalności Platona, prócz „Tymeusza”,

„Krytyasza” i „Praw”, należą także „Polityk” i „Fileb”, napisane przeześ prawdopodobnie po 65-ym roku życia, również jak poprzedzający ich „Sofista”. Wcześniejszym od „Sofisty” jest „Parmenides”, jednak nie rychléj napisany jak po 60-ym roku życia. Ostatnią tę grupę poprzedziły „Państwo”, „Fedr” i „Teetet”, oddzielone od „Parmenidesa” długą przerwą, tłómaczącą wielkie różnice stylu i treści między tymi dyalogami, a grupą poczynającą się od „Parmenidesa” i „Sofisty”. „Eutyfrona”, „Apologię” i „Krytona” napisał Platon przed 30-ym rokiem życia, „Kratyla” później, ale przed „Biesiadą”, która powstała wkrótce po założeniu Akademii w 385 r. przed Chr. Po „Biesiadzie”, a przed „Fedrem” pozostaje miejsce na „Fedona”. Jak poprzednie prace p. L-go, tak i obecna odznacza się wielką jasnością i przejrzystością wykładu, oraz niepospolitą ścisłością i siłą przekonywają w rozumowaniu. Wzbogaca ona nietylko naszą, ale i ogólną literaturę filozoficzną.

= Ks. *Zygmunt Chełmicki.* **Requiescat in Pace.** Opowiadanie. Warszawa, 1897. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 154.—W zapadłym pogranicznym kącie, Jaworzynie, któremu nazwa „miasta” z dawnych została czasów, jest gromadka ludzi bardzo upadłych moralnie: praca ich polega na kontrabandzie i kradzieży koni, odpoczynek i rozrywka—w szynku. Pola leżą odłogiem niełedwie, chaty pozostają w zaniedbaniu, żony i dzieci w ostatniéj nędzy, bo wynagrodzenie mężów i ojców, nawet znaczne, zostawało u Moszka karczmarza i herszta téj bandy. Zasłyszał o tém młody ksiądz, Malutki, a wiedząc, że Jaworzyn i plebana nie ma — uzyskawszy pozwolenie swojéj władzy — zjeżdża na miejsce. Tu następuje opowiadanie o szeregu uczynków tego niezaprzeczenie olbrzyma miłości, człowieka rozumnego, znającego i miłującego lud, z którego zresztą bierze swe pochodzenie, a bardzo taktownego. Więc ściągają powoli ludzie na plebanię, bo im ten ksiądz imponuje i swą olbrzymią postacią, i umysłem, i poświęceniem, i miłością wielką. Figura bezwątpienia piękna, a zasług nawet ateusz odmówić mu się nie poważy. Bo oto z kałuży myśli i czynów wyprowadza pasterz owieczki swe na piękne, uprawy domagające się pole. Żyd-karczmarz stracił wiele na tém postępowaniu księdza i wymyślił zemstę, chce pewnie spalić plebanię, ale podpala tylko obórkę... I to czyni żydek, tchórz jak zwykle, zawsze winny, a umiejący udawać królika. Żyd ten w noc burzliwą odważa się iść podpalać — to czyn (na niego) za heroiczny. Moszek mógł namówić Mądralę — ale sam... Obórkę ludzie, zwołani odgłosem dzwonu, uratowali, ale podpalenie się wydało, Moszka uwięziono, który potém przepadł na zawsze. Po nim

zginął i ostatni „niezwyciężony", Mądrala. Dwadzieścia lat upłynęło od od czasu jak Jaworzyn zaczął się stawać umoralnioną osadą; o kontrabandzie i kradzieżach ani słychu. A to wszystko zdziałał ksiądz Malutki, który w końcu opowiadania umiéra wskutek pracy nadmiernéj w czasie cholery. Beletrystycznego talentu autor nie okazał. Opowiadanie dość nużące, styl i język bez wyższych zalet, intrygi nie ma, a zajmuje zaś głównie ksiądz Malutki. Figury, choć na pierwszym planie, zaledwie naszkicowane i mówią poprawnie. Autor nie umiał pokazać ich nam dokładnie. Nie mają oni ani swego języka, ani żargonu właściwego kontrabandzistom. Żony ich rozprawiają niekiedy po literacku. Opowiadanie ks. Chełmickiego, mające cel etyczny, bardzo byłoby odpowiedniém dla tych, dla których „siewcą zdrowego ziarna" był jego bohatér. *L. R.*

NEKROLOGIA.

† **Edward Siwiński**, urodzony w Warszawie 16 lutego 1831 r., ukończył gimnazyum filologiczne w Suwałkach r. 1848 i po kilkoletniéj pracy nad językiem i literaturą polską, otrzymał posadę nauczyciela tych przedmiotów w szkołach rządowych. W r. 1861 powołany został do wykładu historyi literatury polskiéj (wraz z rosyjską i słowiańską wogóle) w świéżo utworzonych wtedy kursach przygotowawczych do Szkoły Głównéj w Warszawie. Prelekcyą wstępną ogłosił wówczas drukiem (1863 str 27). Od r. 1858 umieszczał artykuły krytyczne, dotyczące obcéj i swojskiéj literatury w odcinku „Gazety Warszawskiéj", któréj do końca r. 1862 był stałym spółpracownikiem. Otrzymawszy uwolnienie od służby rządowéj, wyjechał za granicę i zamieszkał w Paryżu, gdzie przez lat kilka wykładał literaturę, umieszczając równocześnie różne artykuły w pismach polskich. W r. 1876 utracił wzrok; w 1884 przeniósł się do Warszawy i pomimo kalectwa dość żywy brał udział w tutejszém czasopiśmiennictwie, zwłaszcza w „Przeglądzie Tygodniowym." W domu jego zbierało się wielu literatów; przymioty bowiem towarzyskie posiadał ś. p. Siwiński w wysokim stopniu. Zmarł w Warszawie 1 kwietnia r. b.

† **Jan Szutkiewicz**, syn profesora szkoły realnéj w Krakowie, urodzony 8 maja 1861 r. ukończywszy gimnazyum w Tarnowie, wszedł

do teatru krakowskiego w 20 roku życia. Talentu wybitnego nie posiadał, ale był aktorem inteligentnym i „użytecznym.“ Na polu literackim zaznaczył się kilkoma nowelami (jedną z większych p. t. „Konik” drukował „Wędrowiec”) oraz obszerniejszą powieścią, na tle stosunków teatralnych osnutą p. t. „Jeden z wielu,” drukowaną r. 1896 w „Dzienniku dla wszystkich.” Najwięcéj rozgłosu osięgnął za pośrednictwem komedyi „Popychadło”, odegranéj latem r. 1896 w Warszawie przez towarzystwo teatru łódzkiego, i wielokrotnie powtarzanéj. Wykończył potém dramat p. t. „Kula u nogi”, który ma być odegrany na scenie krakowskiéj. Przyjechał do Warszawy w celu poddania się operacyi wycięcia złośliwéj narośli w lewym boku. Operacya nie pomogła, chory zmarł 2 kwietnia w naszém mieście.



Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Апрѣля 1897 г. — Druk Jana Cotty.